

John Updike

Farma



Przekład Maria Skibniewska

Toteż gdy uczciwie uznałem, że człowiek jest istotą, której egzystencja poprzedza esencje, że jest wolną istotą, która w rozmaitych okolicznościach może pragnąć jedynie własnej wolności, uznałem jednocześnie, że mogę jedynie pragnąć wolności dla innych.

Sartre



Z autostrady skręciliśmy na zwykłą szosę, a z niej na czerwonawą polną drogę. Krótką ostrą stromizną wjechaliśmy na płaski grzbiet w miejscu, gdzie zniszczona skrzynka na listy Schoelkopfów stoi po kolana zanurzona w kapryfolium i sumaku, z daszkiem krzywym jak kapelusz włożony na bakier, i stąd moja żona po raz pierwszy zobaczyła farmę. Z niepokojem wychyliła się obok mnie naprzód i poczułem na ramieniu ciężki łokieć jej syna, który siedział w głębi samochodu. Znajomy budynek czekał na następnym odległym wzgórzu, oddzielonym wklęsłą zieloną łąką.

— To nasza stodoła — powiedziałem. — Matka kazała wreszcie usunąć wielki wystający nad nią strych na siano, bo zawsze uważała, że to jest brzydkie. Domu nie widać za stodołą. Łąka należy do nas. Posiadłość Schoelkopfa kończy się na tej linii sumaków.

Stoczyliśmy się w dół drogą wymytą przez erozję aż do piaskowcowego kośćca i prowadzącą na nasze terytorium.

— A więc do was należy ziemia po obu stronach drogi? — spytał Richard. Miał jedenaście lat i wyrażał się bardzo ściśle, tonem trochę agresywnym.

— Oczywiście — odpowiedziałem. — Pierwotnie farma Schoelkopfów stanowiła część naszej, ale mój dziadek sprzedał ją przed przeprowadzką do Olinger. Około czterdziestu akrów.

— Ile zostało?

— Osiemdziesiąt. Jak okiem sięgniesz stąd, cała ziemia należy do naszej farmy. To chyba największy wolny jeszcze od zabudowy obszar w tak bliskim sąsiedztwie Alton.

— Nie macie żywego inwentarza — stwierdził Richard. Chociaż sam mu o tym powiedziałem, jego słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

— Tylko parę psów — odparłem — a w stodole jest mnóstwo jaskółek i na łąkach dużo bekasów. Za życia mego ojca matka hodowała kury.

— Po co trzymać farmę, na której nic się nie produkuje? — spytał Richard.

— O to musisz zapytać moją matkę. — Umilkł na długą chwilę, jak gdyby wyczuł w tej odpowiedzi naganę, ale ja nie miałem tej intencji. — Sam tego nigdy nie mogłem pojąć — dodałem. — Byłem w twoim wieku, kiedy się przeprowadziliśmy tutaj. Nie... Byłem starszy. Miałem czternaście lat. Zawsze czułem się młodszy, niżby wypadało z metryki.

Wtedy Richard spytał:

— Czyje są te wszystkie lasy?

Zrozumiałem, że przewiduje odpowiedź i chce, bym jej udzielił z dumą.

— Nasze — powiedziałem. — Z wyjątkiem prawa przejazdu, które sprzedaliśmy elektrowni dwadzieścia lat temu. Wyrabali drogę, ale nigdy z niej nie korzystali. Można stąd zobaczyć przesiekę, to ten pas młodszych drzew, widzisz? Las wyrósł na nowo. Ale wyrabali dęby, a wyrosły klony i sasafrazy.

— Po co kupowali prawo przejazdu, jeżeli nigdy z niego nie korzystali? — spytał. Roześmiał się niezręcznie i to mnie wzruszyło, bo zażartował sam z siebie, może próbując naśladować mój sposób bycia i usiłując oduczyć się przedwczesnej powagi, którą mu narzuciły lata przeżyte bez ojca.

— Tak to już tutaj jest — powiedziałem. — We wszystkim rozrzutność. Masz szczęście, że mieszkasz w Nowym Jorku, gdzie przestrzeń jest skąpo odmierzana.

Teraz odezwała się Peggy.

— Rzeczywiście tutaj wydaje się wszystkiego za dużo — powiedziała oceniając farmę, która rozpościerała się wokół nas, i odgarniając włosy z czoła i policzków. Tym gestem zwykle kończyła wypowiedź, gdy spodziewała się, że wywoła ona sprzeciw; mężczyzna w podobnej sytuacji zakasałby rękawy.

To prawda, ilekroć wracałem do tej ziemi, choćby po nie wiem jak długiej przerwie, pola rozbiegały się promieniście wokół mnie niby szczególna forma samochwalstwa. Moja żona to wyczuła, a była od tak niedawna moją żoną, że uznała za wskazane zganić mnie. Ceniłem w niej instynkt, który skłaniał ją do robienia mi takich uwag (pierwsza



moja żona, Joan, nigdy mnie nie krytykowała, co samo już wystarczało za najsurowszą krytykę), lecz obawiałem się starcia między nią a moją matką. Joan w swej naiwności zauważyła kiedyś grzecznie, że matce przydałaby się pralka. Nigdy jej tego nie wybaczone. Instynkt radził mi teraz, w ostatnich chwilach przed spotkaniem z matką, mówić o niej głośno, jak gdybym chciał wyładować to wszystko, co później będzie trzeba zostawić nie wypowiedziane.

— Wiesz, Richard — powiedziałem — na farmie jest traktor. Ciągnie za sobą wał z obracającymi się ostrzami, które tną trawę. W Pensylwanii obowiązuje ustawa, że jeśli farma ugoruje, trzeba koniecznie dwa razy do roku kosić chwasty.

— Co to znaczy ugoruje?

— Sam dokładnie nie wiem. Farma jest nie uprawiana.

— A kto jeździ na traktorze?

— Moja matka.

— To dla niej zabójstwo — powiedziała ostro Peggy.

— Dobrze zdaje sobie z tego sprawę — odparłem równie ostro.

— A ja mógłbym pojeździć? — spytał Richard.

— Chyba nie. Co prawda, tutejsze dzieci to robią, ale zdarza się, że traktor je... — Połknąłem słowo "miażdży"; pewnemu mojemu rówieśnikowi traktor zgruchotał miednicę i przypomniał mi się dziwaczny, rozchybotany chód kaleki. — ...od czasu do czasu kaleczy.

Oczekiwałem, że Richard będzie nalegał, ale już się zainteresował czymś innym.

— Co to?

Wśród bujnej zieleni mignęła różowa ruina.

— Fundamenty starej szopy na tytoń.

— Można by je nakryć dachem i byłby garaż.

— Szopa spaliła się przed czterdziestu laty, kiedy farma należała do kogoś innego.

— Zanim matka was tutaj ściągnęła z powrotem? — spytała Peggy.

— Nie trzeba tego tak określać. Ona teraz wierzy, że ojciec również pragnął odzyskać farmę.

— Boję się, Joey!

Jej okrzyk zabrzmiał w chwili, gdy na oślep brałem zakręt pod górę, by okrążyć stodołę. Wóz pędzący nieostrożnie z góry byłby niewidoczny do ostatniego momentu, w tym miejscu łatwo było o zderzenie. Ale ryzykowałem to już tysiąc razy i zawsze z powodzeniem, chociaż miejscowi chłopcy na swoich rozklekotanych samochodach lubili przemykać naszą drogą, żeby drażnić psy i dokuczyć matce. Wiezorami włóczyli się czasem po polach małymi ciężarówkami i płoszyli światłem reflektorów sarny. Teraz już zapadał zmierzch. Szczęśliwie zajechałem przed stodołę i zatrzymałem wóz na placu, nie używanym od lat i zarośniętym trawą.

— Nie bój się — powiedziałem do Peggy. — Nie mam nadziei, żebyście się z sobą zaprzyjaźniły. Liczyłem, że polubi Joan, ale się zawiodłem.

— Jeszcze mniej ma powodów, żeby mnie polubić.

— Nie myśl o tym. Bądź po prostu sobą. Ja cię kocham.

Ale wyznałem swoją miłość w pośpiechu i prędkim, szorstkim gestem klepnąłem udo Peggy, bo sylwetka matki, ciemna plama, już wyłoniła się z domu i posuwała w szafirowym cieniu kanadyjskiego świerka strzegącego ścieżki. To drzewo właśnie sprowadzało do domu przedwcześnie wieczory i nieraz w dzieciństwie o tej porze, gdy wyglądałem przez okno, przekonany, że jest już noc, zdumiewał mnie blask słońca jak ruda złota spiętrzony jeszcze na górnej połowie muru stodoły. Ze skwapliwością winowajcy otworzyłem drzwiczki samochodu i machając ręką zawołałem:

— Hej!

— Witajcie, pielgrzymi! — odpowiedziała tonem, w którym brzmiała lekka nuta ironii, prawie niedosłyszalna w osobliwej ciszy, jaka zapadła po umilknięciu silnika, bo nasz citroen już opadł z sykiem na poduszki powietrza.



Byłem wstrząśnięty powolnością, z jaką matka zbliżała się ku nam ścieżką. Pamiętałem, jak dawniej prześcigała ojca biegnąc pod deszczem ze stodoły do domu. Cierpiała na angina pectoris i — mimo że nigdy nie paliła — na rozedmę płuc. Największym wyczynem jej życia było kupno tej farmy, ale miała płuca zasiedziałej mieszkanki miasta, jak powiedział jej lekarz. Dla ochrony przed sierpniową wilgocią włożyła męski sweter, stary sweter dziadka, zrobiony żłobkowanym ścięciem z szarej wełny, zapięty z przodu na starej różowej bluzce, która przypominała mi wielkanocne święta z lat mojego dzieciństwa. Szczeniak collie, jedyny pies nie zamykany w budzie, doskakiwał do nas, zatrzymywał się na parę stóp przed rybim pyskiem citroena, ujadając i jeżąc sierść, a potem wracał pędem do mojej matki. Niecierpliwiła go straszliwa powolność jej kroków; jasna pierś i koniec ogona migały na ciemnym trawniku. Trawnik wybujał zielskiem i żałośnie domagał się strzyżenia.

Richard i ja wynosiliśmy z wozu walizki, ale Peggy z nerwowym pośpiechem poszła ścieżką na spotkanie mojej matki, irytując ją, jak się obawiałem, tym bezwiednym popisem zwinnego zdrowia. Zdawało się, że jej wysokie obcasy chwieją się trochę na regularnie rozmieszczonych piaskowcowych płytach. Miałem wrażenie, że widzę ją oczyma mojej matki, wysoką, umalowaną kobietę, zbliżającą się ku mnie, a jednocześnie własnymi oczyma, od tyłu, oddalającą się białą spódnicę, której połyskliwa rozpiętość była ośrodkiem i siedzibą mojego życia. Moja żona, chociaż nieotyła, jest po kobiecemu rozłożysta, ma spadziste, rozkołysane ramiona, a szerokie biodra wydają mi się jak gdyby radosne i sprawiają, że chód jej ma jakiś krzepiący rozmach, przypominając o przestrzeni zamkniętej jej udami.

Dwie kobiety przywitały się pocałunkiem. Spotkały się przedtem raz tylko, na ślubie, chociaż usilnie prosiłem matkę, żeby nie przyjeżdżała na tę uroczystość. Odbyło się to w tydzień po moim rozwodzie z Joan w prywatnym biurze sędziego magistrackiego, którego syn był moim znajomym. Gmach, rzadki zabytek przeszłości, miał klatkowe windy i korytarze wyłożone brązowym linoleum, wzdłuż których drzwi biurowych pokoi, przesłonięte matowymi szybami, wyglądały jak wejścia do rzędu toalet. Był czerwiec, upał. Okna staroświecką modą otwarto i do pokoju wdzierały się hałasy z East River. Sanktuarium sędziowskie było obszerne, zgodnie z przestarzałymi pojęciami o właściwych rozmiarach biurowych pomieszczeń, a umeblowanie, obejmujące drewnianą ławkę, na której siedziała moja matka, wyglądało skąpo i obco, jakby te martwe przeżytki minionej ery gmachów sądowych podlegały na równi ze śmiertelnymi ludźmi niepojętemu przersedzeniu. Matka ustawicznie zwijała, rozwijała i wygładzała na kolanach maleńką batystową chusteczkę, podnosząc ją co chwila i przyciskając do szyi gestem tak gwałtownym, jakby ją coś ukłuło. Pomyślałem, że beznadziejnie nie pasuje do tej ceremonii, ale właściwie wszyscy tu byliśmy nie na miejscu: duży już syn panny młodej, sztywna para z Park Avenue, której piękniejsza połowa, kobieta o wyłupiastych oczach, pełniła funkcję druhny ze strony Peggy; piegowaty eks-kochanek Joan i eks-mistrz olimpijski narciarstwa, zarazem mój kolega po fachu, zaproszony na drużbę z braku kogoś odpowiedniejszego, ojciec Peggy, czerstwy wdowiec, dyrektor domu towarowego w Omaha; wreszcie, najmniej oczekiwany, siostrzeniec mojej poprzedniej żony, cierpiący na nadczynność tarczycy student teologii, unionista, reprezentujący niejako Joan i moje dzieci, które wraz z nią schroniły się u jej rodziców nad pewnym kanadyjskim jeziorem. W tak niedobranym gronie matka już nie mogła razić. Sędzia, łagodny stary albinos w ubraniu z bawełnianej tkaniny, potraktował ją z uroczą uprzejmością. Jak gdyby odkładał do registratora gruby plik akt sądowych, usadowił ją ostrożnie na ławce sękatymi brunatnymi dłońmi, których palce stulał w sposób typowy dla pracowników fizycznych. Siadłszy przygładziła fałdy i sapała cichymi, szybkimi westchnieniami jak odpoczywający pies. Jej przyjazd (autobusem, z godzinnym czekaniem w Filadelfii), chociaż przeciw niemu oponowałem, teraz wydawał się niezwykłym wysiłkiem, który podjęła dla mnie i za który byłem wdzięczny. Czułem jej obecność nawet w szczytowym momencie obrzędu, gdy kątem oka widziałem, jak stanowcza broda Peggy czerwienieje, czarna



gwiazda rzes przesuwająca się, a cały profil schyla ku drżącemu bukietowi fiołków, przyciśniętemu do boku. Przeczytała gdzieś, że pannie młodej, która już raz była zamężna, nie wypada mieć białych kwiatów, spędziła więc ranek przy telefonie, szukając po całym mieście fiołków w czerwcu. W tej chwili mimo wstydlivej młodości profilu wydała mi się niemłoda już, tak samo jak ja; oboje wkraczaliśmy w wiek średni, staliśmy w niepewnej pozie na krawędzi, na skraju jakiegoś wielkiego terenu pośredniego, nad rzeką szerszą niż oba jej brzegi. Przez otwarte okna ponad okrytym togą ramieniem sędziego widziałem rzekę, z tej wysokości nachyloną ukośnie, a na niej mało ożywiony ruch, trochę miniaturowych barek, a poprzez blask tego niezwykłego popołudnia, w którym Brooklyn lśnił niby zorza przetykana dźwigami budowlanymi, wzniósł się powiew wiatru i zaszeleścił papierami na niewzruszonym jak prawo dębowym stole. Samotna mucha okrążyła zasupłaną linię światła. Wreszcie śluby zostały zaprzysiężone i wydało mi się, że runąłem, wpadłem w końcu w twardą głębinę faktu, którego dokonanie zbyt długo i zbyt boleśnie odwlekałem. Gdy odwróciłem się, żeby przyjąć powinszowania i wymienić uściski z garstką osób, które wraz ze mną wznosiły się na te wyżyny, zaskoczyła mnie obcość w gniewnych oczach matki i chłód jej policzka, niespodziewany wobec skwaru tego dnia.

Teraz w chłodny dzień pocałowałem ją i twarz matki wydała mi się rozpalona od gorączki. Jesień, wcześniejsza w głębi ładu, była wyczuwalna właściwie nie tyle w zapachu opadłych owoców w sadzie, ile w lawendowym odcieniu zmierzchu, w atmosferze zamierania. Łąkę przesłaniało pasemko mgły tam, gdzie płynęła wzdychając rzeczka, nikła struga zaduszona przez zielsko i rzesę. Nietoperz jak plama smutku szamotał się to tu, to tam w błoniastej purpurze między czubami drzew. Matka ledwie dotknęła Peggy i jak gdyby podkreślając kontrast zatrzymała długo ręce na mnie — jedną na moim ramieniu, drugą poniżej łokcia.

— Bardzo zmęczeni? — spytała. Miało to znaczyć, że wyglądam mizernie.

— Wcale — odparłem. — Wydostaliśmy się za most przed porą najgorszego tłoku i zjedliśmy coś niecoś w New Jersey.

— Och, nie miałam na myśli, że Peggy wydaje się zmęczona — powiedziała matka, zbyt zręcznie zmieniając ton. — Peggy zawsze wygląda świetnie. — Głos jej dobywał się z najpłytszych stref ciała, z gardła i ust raczej niż z płuc i nie związany z wewnętrzną głębią był, mimo że trochę zdyszany, lżejszy niż dawniej. Trochę ironii tkwiło w tej lekkości i w ruchu, jakim ściągała ramiona, jakby starając się pogłębić oddech; była to może szczególna parodia, która w swojej przesadzie miała na celu odwrócenie naszej uwagi od rzeczywistego stanu.

Wesołość na twarzy Peggy przygasła; uśmiechnęła się jednak dzielnie, mówiąc:

— To tylko fasada.

— Bardzo ładna fasada — powiedziała matka.

Wziąłem Peggy pod rękę, żeby ją poprowadzić do domu, lecz odsunęła się ode mnie i odwróciła do Richarda, który szedł za nami. Zapomniałem o nim. Uparł się dźwigać najcięższą walizkę z ubraniami swojej matki. Przełożył ciężar do lewej ręki, a prawą wyciągnął na powitanie do mojej matki.

— Ma pani tutaj piękną farmę — powiedział. W krótszych wystąpieniach zdobywał się na imponująco niski głos.

— O, dziękuję, bardzo jesteś łaskawy — odparła matka — ale nic prawie z mojej farmy nie zdążyłeś jeszcze zobaczyć. Miałam nadzieję, że twoi rodzice przyjadą dość wcześnie, byśmy mogli za dnia przejść się trochę.

— Zrobimy to jutro — powiedziała Peggy. — Ja też się na to cieszę.

— Co do mnie, będę musiał skosić pola — oznajmiłem zastanawiając się, czy tylko ja sam wzdygnąłem się, gdy matka z taką nieścistością użyła określenia "rodzice".

— Biedny Joey — powiedziała matka. — Zawsze sumienny.

— Podobało mi się to, co już widziałem — zapewnił ją Richard. Głos mu przeskoczył



z powrotem w dziecinne rejestry. — Przejeżdżaliśmy koło starych fundamentów, które łatwo można by przerobić na garaż dla dwóch samochodów.

— Richard mówi o starej szopie na tytoń — wyjaśniłem. — Zawsze myślałem, że to będzie schowek na sprzęt, jak zamienimy farmę w tereny golfowe.

Tereny golfowe stanowiły tradycyjny przedmiot rodzinnych żartów, pochodzących z czasów życia ojca; nigdy nie rozumiałem ich dokładnego sensu, ale użyłem ich teraz jako osłony dla naiwności pasierba.

Matka przyglądała mu się uważnie i z udaną rozpaczą krzyknęła:

— Ależ tam rosną najlepsze jeżyny!

Wszyscy roześmieliśmy się, wdzięczni, że choć na chwile rozproszyła chmurę, która ją osnuwała, odkąd zdrowie przestało jej dopisywać. Humor jej nabrał niepokojącego rezonansu, mrocznej subtelności, podwójnie przygnębiającej tutaj, pod gołym niebem, jak gdybyśmy stojąc tak pośród jej farmy zanurzali się w świat jej myśli.

Idąc z tą swoją — może ironiczną — powolnością matka wprowadziła nas do domu. Od mojego pierwszego powrotu z college'u, przed dwudziestu prawie laty, wszystkie przyjazdy do domu zbiegły się teraz w tym jednym momencie, który znów przeżywałem: dotknąłem stopą wytartego proggu z piaskowca na kuchennym ganku, a psy zaczęły ujadać radośnie i zapalczywie w psiarni koło kalekiego krzaka ligustru, który niegdyś potargał rogami zbiegły byk, nim go moja babka poskromiła własnym fartuchem. Zdarzyło się to pierwszego lata naszego życia na farmie. Pewien menonita, prowadzący gospodarstwo mleczne, wydzierżawił od nas łąkę dla małego stada bydła, wśród którego znajdował się byk rdzawej maści; ten właśnie byk trafił na słabsze miejsce w ogrodzeniu za szopą koło źródła. Wpadł do naszego ogrodu, chrapnął i zaatakował kulisty jasnozielony krzaczek, po czym zatrzymał się potrząsając łbem, jakby próbował uciszyć szum w uszach. Moja babka machając fartuchem i przemawiając do zwierzęcia takim samym gniewnym sykiem, jakim pozbywała się zwykle natrętnych domokrażnych handlarzy — podczas gdy my skuleni ze strachu wrzeszczeliśmy w kuchni — broniła małego ligustru przesadzonego tu z jej ulubionego ogródka w Olinger, dopóki nie nadbiegli z powrozami parobcy menonity. Krzak przeżył, ale każdej zimy ciężar śniegu poszerzał coraz bardziej rozdarcie, aż w końcu ligustr rósł dwiema oddzielnymi kępami.

Weszliśmy do kuchni. Jej ciepłe, zniszczone drewniane sprzęty były oświetlone łagodnie. Przez wszystkie lata, gdy tutaj dorastałem, nie mieliśmy nigdy dostatecznie dużo lamp i nie kupowaliśmy dostatecznie jasnych żarówek. Byliśmy skąpi w drobnych wydatkach, szastaliśmy dużymi sumami. Wnętrze małego domu o grubych ścianach wzbogaciło się dziwnie, zagrabiło pstrokacizną podarunków, które ofiarowywałem w ciągu wielu lat. Boże Narodzenie, urodziny, rocznice, nawet Dni Matki zaznaczyły się na parapetach okien i półkach kredensu cackami z kopenhaskiej porcelany, meksykańskiej wypalanej gliny, włoskiego szkła, przysyłanymi przeze mnie pocztą, zwykle w pośpiechu i z opóźnieniem, z Cambridge, z Rzymu, z Berkeley i z Nowego Jorku. Dary, chociaż kosztowne, wydawały mi się tanie jako namiastka mojej miłości i obecności, i było to tak, jakbym wchodząc do znajomego wnętrza z nadzieją odnalezienia swej surowej młodości spotykał zamiast niej błyszczący osad swego zepsucia. Za każdym powrotem z silniejszą odrazą stwierdzałem, jak dużo tutaj jest mnie. Fotografie — ja w dniu dyplomu (trzy), ja w dniu ślubu (pierwszego), ja błaznujący w słońcu ze swoimi dziećmi, ja, mumia z szeroko otwartymi oczyma, patrząca z nagłówka pożółkłego wycinka gazety "utrwalonego" pod celofanem — stały albo wisiały wszędzie w głównym pokoju domu, pomiędzy rozmaitymi medalami i dyplomami, które zdobyłem w latach szkolnych; ta obfitość pamiątek po mnie nasuwała myśl, że musiałem już chyba umrzeć. Nie było natomiast żadnej podobizny mojego ojca, który nie cierpiał fotografować się (przez trzydzieści lat doroczne księgi pamiątkowe szkoły średniej, gdzie pracował jako nauczyciel, zamieszczały tę samą zawsze, niepochlebną jego fotografię), i właśnie dlatego nieobecność ojca zdawała się tak żywa. Miałem w oczach tę scenę, gdy usuwał się poza zasięg obiektywu mówiąc: "Nie szpecmy fotografii moją gębą." Nasłuchiwałem, czy na



werandzie nie rozlegną się jego kroki, czy jego ręka nie szarpnie drzwi kuchennych charakterystycznym, niezrozumiale gwałtownym gestem, jak gdyby spodziewał się zastać je zamknięte na zasuwę. Nie zdawało mi się wcale nieprawdopodobne, że lada chwila wejdzie do pokoju niosąc wieczorny prezent, oszronione pudełko trójkolorowych lodów, spojrzy na mnie trochę żartobliwie, a trochę smutnie, poda mi rękę i obracając się do matki powie: "Chłopiec wygląda dobrze!", a potem do mojej żony: "Karmisz go, jak widzę, przepisowo."

Ale nie wszedł, zostaliśmy sami, we czworo tylko. Ściany świeciły inną jeszcze nieobecnością. Nad kanapą, na której poduszkach dostrzegłem kłaki zgubionej przez liniejącego psa sierści, wisiał przez dwanaście lat oficjalny portret Joan, para do mojej fotografii zrobionej tego samego dnia w pewnym atelier w Alton, gdy oboje mieliśmy niewiele ponad dwadzieścia lat i byliśmy od niedawna małżeństwem. Matka zamówiła te zdjęcia u fotografa nie pytając nas o zdanie, co nam obojgu wcale się nie spodobało. Ten sentymentalny pomysł wydał mi się niezgodny z charakterem matki. Patrzyłem na nią jeszcze oczyma dziecka jak na kogoś, czyja obecność odnawia się z każdym dniem. Namiętność do gromadzenia pamiątek po mnie zbudziła się w niej, zanim zrozumiałem, że naprawdę opuściłem rodzinny dom. Posłusznie wsiedliśmy w upalny dzień do samochodu i pojechaliśmy dziesięć mil na południe, żeby dotrzymać jej umowy z fotografem. Joan, manifestując jednocześnie pogardę dla tej imprezy i zaufanie do własnej młodej urody, włożyła zwykłą kretonową sukienkę, taką, w jakiej dziewczyna wiejska mogłaby sprzedawać z wózka truskawki, w spłowiwały deseń drobnych niebieskich kwiatków na żółtym tle, wyciętą szeroko w karo, niedbale odsłaniającą ładną szyję i ramiona. Gdy przysłano próbne odbitki, matka wybrała do powiększenia zdjęcie, na którym Joan, zaskoczona w momencie zapomnienia o pozie, wyglądała jak gdyby spłoszona, co jej się często zdarzało, całym ciałem, wyprężonym niby kwiat ku światłu, odpowiadająca czujnie na jakiś sygnał niebezpieczeństwa z oddali. Fotografia ukazywała jej postać od bioder w górę, klęczącą niewidzialnym kolaniem na krześle, którego rzeźbione oparcie ścisnęła obu rękami tak kurczowo, że delikatne ich kostki rysowały się ostro pod skórą. Ręce miała ładniejsze niż Peggy. Jasne, krągłe, wyciągnięte na całą długość ramię podtrzymywało ją, wyprostowaną, z twarzą obróconą w trzech czwartych ku światłu, które niemal zacierało lekki grymas wydętych trochę warg. Pomimo sztywności pozy i chociaż zdjęcie było za mało ostre, fotografia uchwyciła żywość jej wdzięku, wrodzonego wdzięku, nieuchwytnego wskutek powściągliwości wyrazu i upartej nieśmiałości, której jednak zaprzeczał olśniewająco, którą przekreślał każdy jej jasny, doskonale symetryczny uśmiech. Fotografia taji pewien sekret. Joan była w ciąży. W siedem miesięcy potem urodziła się nasza najstarsza córka, Ann. Ta utajona treść w połączeniu z cennym dla mnie obrazem, który pamięć moja wywoływała spoza oficjalnej fotografii, obrazem Joan niechętnie wślizgującej się w żółtą suknię i jazdy do śródmieścia Alton w parne południe, tak typowe dla tych dawnych, pełnych napięcia wizyt na farmie, gdy kurz jak różowa mgła wisiał nad drogą po przejeździe każdego samochodu, gdy ojciec przywoził do domu lody wracając po codziennych utarczkach ze swoimi uczniami, gdy moja chłopięca lojalność szamotała się bezradnie między matką a żoną, które nie wiadomo dlaczego dzielił jakiś rozdźwięk. Typowe dla ich stosunku, że fotografia okazała się w końcu nie tym, czego matka sobie naprawdę życzyła. "Chciałam — powiedziała do Joan w kilka lat później — mieć twój uśmiech."

Teraz na tym miejscu, niedokładnie zasłaniając wymowny prostokąt mniej spłowiej tapety, wisiał mały sielankowy pejzaż, znacznie zmniejszona reprodukacja olejnego obrazu, która dawniej, gdy mieszkaliśmy w miejskim domu dziadków, zdobiła mój pokój dziecinny. Natychmiast podszedłem przyjrzeć jej się z bliska i chciałem, żeby matka zauważyła to i odczuła jako wyraz mojego niezadowolenia. Pieciokątną ścianę stodoły przecinał ukośnie fioletowy cień rzucany przez niewidoczny przedmiot, a bezlistne drzewo nieokreślonego gatunku wyrastało z bujnej, nieprawdopodobnie zielonej trawy. Za nim odnalazłem, sięgając w głąb pejzażu, cudowne niebo z poziomymi pa-



stelowych smug, po którym w dziecinnej wyobraźni biegałem, zawieszony głową w dół, jak po pudełku kredek. Maleńkie czarne V — jeden jedyny ptak — wetknięte było w to niebo między dwie bruzdy kolorów i zdawało mi się, że gdybym mógł palcami przebić szkło, wyciągnąłbym ten znak jak marchewkę z grządki. Ten cudaczny obraz, przedstawiający bajkowy wiejski świat, wisiał po naszej przeprowadzce na farmę w pokoju na wprost schodów, gdzie sypiałem w chłopięcych latach i gdzie z kolei po moim wyjeździe sypiał ojciec. Wchodząc na górę z Richardem bałem się, że zastanę tam ojca śpiącego w jaskrawym świetle lampy, z śliską płachtą jakiegoś czasopisma rozpostartą na piersi, z oczyma zamkniętymi za szklami okularów. Zamiast niego zobaczyłem, otulając kocem Richarda leżącego w pustym łóżku, że matka nie schowała fotografii Joan, ale tylko zamieniła miejsca jej i pejzażu. Joan patrzyła z mojej ściany.

— Ładna dziewczyna. Kto to jest? — spytał Richard.

Mój głos już się dobywał z gardła, żeby mu odpowiedzieć, ale natrafił na nieprzewidywaną przeszkodę, jak gdyby brak wzrokowego wyobrażenia o kobiecie, której miejsce zajęła jego matka, był tak cenną częścią nieświadomości, że miałem obowiązek jej strzec. Przytuliłem do piersi jego dużą, kudłatą głowę, na której strzyżone na jeża włosy domagały się pilnie wizyty u fryzjera, bo chciałem, żeby nie widział mojej twarzy, ale i tak ją zobaczył, więc wyjaśniłem niepewnie:

— Ten dom jest za bardzo pełny mnie.

Zanim położyłem do snu Richarda, zjedliśmy kolację i porozmawialiśmy trochę. Matka, nie wiedząc, czy po drodze zatrzymamy się w jakiejś restauracji, czy nie, przygotowała pensylwańską zakąskę w naszym stylu: kiełbasę wieprzową i paprykarz z kapusty (pamiętając o moim guście, o którym ja sam zapomniałem, zachowała dla mnie jako przysmak oskrobany kapuściany głąb, zimny z pozoru, piekący w ustach), purée z jabłek, sufler i kawę bez kofeiny, nieszkodliwą dla jej chorego serca. Peggy i Richard trochę się przerazili na widok tych brunatnych, dymiących półmisków. Zdziwiłem się, że chłopiec w wieku, w jakim ja nigdy nie miałem dość sufletu, grzecznie podziękował za drugą porcję. Matka zaproponowała mu kawę, a Peggy powiedziała, że jej syn nigdy jeszcze kawy nie pił.

— Nigdy?

— Owszem, zeszłego lata — oznajmił Richard — ale to było na wycieczce w góry Adirondack z ojcem, piliśmy kawę, bo mleko skondensowane było nie do przełknięcia.

— I wróciłeś do domu z mdłościami — powiedziała Peggy.

— W tej nie ma kofeiny — powiedziała matka nalewając Richardowi pół filiżanki. Ta czynność w przyjemnym skojarzeniu z kształtem i fakturą starego stołu jadalnego zachęciła ją do mówienia; zawsze rozmawialiśmy, gdy rodzina zbierała się przy posiłku.

— Jeśli się nie mylę, zaczęłam pijać kawę mając trzy lata — powiedziała. — Pamiętam, że siedziałam na wysokim krzeselku tutaj, gdzie teraz ty siedzisz, Peggy, a przede mną na tacy stawiano dużą czarną filiżankę. Nie wiem, co myślała moja matka, ale w tamtych czasach nikt nie znał się na zasadach żywienia, a mój ojciec nie chciał mieć ani kropli mleka w domu. Aż po dzień swojej śmierci wypijał do dwunastu filiżanek kawy codziennie, i to czarnej jak smoła i bardzo gorącej; nie spotkałam w życiu człowieka, który by mu w tym dorównał. Prosto z kuchni brał ją i wychylał duszkiem, bardzo był dumny z tego talentu. Z takich rzeczy ludzie dawniej bywali dumni, mój Richardzie.

Richard objął palcami filiżankę i jak gdyby jej dotknięcie zbliżało go bezpośrednio do mojej matki, powiedział śmiało:

— Niech mi pani coś opowie o swojej farmie.

— A co chciałbyś o niej wiedzieć? Z pewnością Joey... — urwała, bo wydało jej się, że mówiąc o mnie do mojego pasierba nie powinna używać imienia, które w tej sytuacji brzmiało dziwacznie, ale że nie mogła, podobnie jak i ja, znaleźć nic lepszego, ciągnęła po chwili dalej: — ...opowiadał ci więcej nawet, niż miałaś ochotę usłyszeć. — Zerknęła na mnie i podjęła znów: — A może nie. Prawdopodobnie nigdy nie mówi o farmie. Za-



wsze na niego działała przygnębiająco.

— Więc jak to było? — spytał Richard. — Ten pani ojciec, który umiał pić bardzo gorącą kawę, sprzedał farmę, czy jak? Nie mogę dopasować do siebie tych różnych szczegółów.

Matka złożyła ręce aż po łokcie na stole i wychyliła się naprzód; ten gest, pod pozorem uprzejmości dla rozmówcy, miał jej ułatwić oddychanie.

— Mój ojciec — powiedziała — był taki sam jak mój syn, farma go przygnębiała. Jego ojciec przeciążał go pracą, więc gdy doszedł mniej więcej do tego wieku, w jakim teraz jest... — przyglądała mi się badawczo, szukając znów dla mnie imienia — ...mój syn, sprzedał farmę i wszystkich nas zawiózł do miasta, gdzie on — wskazała na mnie — się wychował.

— A w jaki sposób pani ojciec zarabiał na życie? — spytał Richard.

— Otóż to! Nic nie robił. Nie miał do niczego powołania, a dla człowieka bez specjalnego powołania najlepszą rzeczą jest farma. Siedział w fotelu, pił kawę i przyglądał się, jak jego pieniądze topnieją podczas wielkiego krachu na giełdzie.

— Mój ojciec mówi, że już nigdy więcej nie dojdzie do krachu na giełdzie.

— Miejmy nadzieję, ale ta katastrofa, jak wiele innych nieszczęść, miała swoje dobre strony. Wpłynęła na poprawę manier mojego ojca. Tak, bo dopóki miał pieniądze, był dość nieznośny.

— Richard — powiedziała Peggy — jest bardzo przywiązany do swojego ojca.

Przyglądała włosy. Jej słowa, jak mi się wydało, dowodziły nieporozumienia; dostrzegła w opowiadaniu matki insynuację, której w nim wcale nie było. Matka kochała swojego ojca i uważała, że "nieznośność" jest pożądaną cechą charakteru. Peggy okazała się trochę tępa, że tego nie wyczuła, i muszę wyznać, że gorliwość, z jaką niezmiennie w obecności Richarda stawiała w obronie człowieka, z którym rozwiodła się przed pięciu laty, drażniła mnie, jak każdy inny objaw delikatności zdegenerowanej do postaci odruchu. Mimo to rozumiałem jej niepokój, bo matka miała niebezpieczny zwyczaj traktowania dzieci jak równorzędnych partnerów. Przed laty w tej samej kuchni mój syn Charlie, wówczas dwuletni, paradyjąc wokół stołu z długim kijem w rękę, przypadkiem uderzył matkę. Bez namysłu wyrwała mu kij i oddała cios z rozmachem. Gdy Joan tuliła płaczące dziecko, matka, wciąż jeszcze trzymając kij — pamiętam jego kolor pomarańczowy i wypisaną firmę składu narzędzi gospodarskich w Alton — wyjaśniła, że chłopczyk od rana już "patrzył na nią spode łba" i obmyślał, jak by ją "wystawić na próbę". Jak prymitywni wyznawcy przypisują obojętnemu światu określone wyraźne intencje, matka zabobonnie czytała w duszach istot żywych, między innymi psów i dzieci, przypisując im mnóstwo pobudek, których tam na pewno być nie mogło, chociaż, jak zawsze wszyscy wyznawcy, umiała natchnąć otoczenie tak, że dostarczało jej materiału dowodowego.

— To ładnie ze strony Richarda — powiedziała spokojnie i przechyliła głowę, pozwalając Peggy zajrzeć sobie w oczy poprzez dwuogniskowe szkła. — Ale nie widzę powodu, żeby było inaczej.

Wzdrygnąłem się przewidując, że Peggy zechce replikować, na szczęście jednak Richard — którego oczy lśniły blaskiem zaczarowanych ksiąg z bajki, przemienionych w żaby lub jelenie — nalegał, żeby matka opowiadała dalej swoją historię.

— Jak mógł odkupić z powrotem farmę, jeżeli nie miał pieniędzy?

— Sprzedaliśmy dom — powiedziała matka — miejski dom, w którym on się urodził. Po wojnie. Bo trzeba ci wiedzieć, że po depresji gospodarczej, kiedy to wszyscy z wyjątkiem Binga Crosby stracili pieniądze, nastąpiła wojna, podczas której wszyscy, nawet nauczyciele, trochę pieniędzy zarobili, o ile nie polegli.

— Kto to był Bing Crosby?

— Bardzo popularny śpiewak. Tak się o nim mówi.

— Rozumiem — powiedział i uśmiechnął się z powagą. Miał szparę między przednimi zębami, co zwykle idzie w parze z piegami, ale nie w jego przypadku, bo po ojcu



odziedziczył cerę niezmiennie rumianą.

— Po wojnie mieliśmy z mężem trochę oszczędności, on pracował podczas letnich wakacji, a ja — wyobraź sobie! — byłam krojczynią w fabryce spadochronów, i dowiedzieliśmy się, że farma jest właśnie wystawiona na sprzedaż. Poszłam do pewnego starego człowieka, który zawsze udzielał mi rad, gdy prosiłam. Zanim urodził się Joey, pytałam tego doradcy, czy powinnam mieć dziecko, bo groziło mi to podobno dużym niebezpieczeństwem, a mądry staruszek powiedział: "Krew, jeśli nie płynie, jest marta." Znaczyło to, jeśli dobrze zrozumiałam, że ród wygasa, rodzina bez dziecka zamiera. Więc urodził mi się syn, a żadna z moich ciotek nie chciała wierzyć, że się na to zdobyłam. Uważały mnie za cudaka. Później, kiedy chciałam odzyskać farmę, mój doradca powiedział: "Jest takie hiszpańskie przysłowie: Bierz to, czego pragniesz, i płać cenę." Tak też zrobiłam.

Zapadło milczenie, wszyscy zastanawialiśmy się nad tą ceną.

— A pani mąż lubił gospodarować? — spytał Richard.

"Nie!" — krzyknęłam w duchu tak głośno, że aby ten krzyk zagłuszyć, powiedziałem:

— Nigdy nie gospodarował.

— Nigdy nie gospodarował — powtórzyła matka. — To prawda. Ale kupił traktor i pozwalał mi kosić pola. Był chłopcem z miasta, jak ty.

— Po co trzymać farmę, jeśli nikt na niej nie gospodaruje? — zapytał Richard, pamiętając pewnie moją odpowiedź.

Zdjął mnie strach, że teraz już zanadto się zagalopowaliśmy, ale matka nieoczekiwanie zdawała się zadowolona z pytania i wysuwając dalej jeszcze głowę nad splecionymi ramionami, nabrała tchu do dłuższej wypowiedzi.

— Jakże! — powiedziała żywo. — Właśnie w tym cały sens, że nikt jej nie uprawia. Ziemia tak jak ludzie potrzebuje odpoczynku. Z ziemią jest zupełnie podobnie jak z człowiekiem, z tą tylko różnicą, że nigdy nie umiera, po prostu staje się bardzo zmęczona.

— A poza tym — wtrąciłem się, żeby wyręczyć jej strudzony głos — trochę jednak gospodarujemy. Czasem zbieramy i sprzedajemy siano, a kilka lat temu wydzierżawiliśmy pewnemu menonici gorsze pole, na którym uprawiał kukurydzę, hodujemy też warzywa, a dawniej sprzedawaliśmy truskawki.

— Tak — powiedziała matka zwracając się nagle do Peggy. — Zmuszałam tego uczonego wychowanka Harvardu i jego wytworną żonę z Bostonu, żeby przy szosie ustawiali deskę na dwóch kozłach i sprzedawali truskawki niedzielnym turystom.

Zdziwiłem się, że Joan i ja z dawnego okresu weszliśmy do matczynej legendy o farmie.

— Robiliśmy to bez przykrości — powiedziałem, żeby stać się trochę mniej mitem i trochę zmniejszyć dystans między sobą a drugą żoną, która nie handlowała truskawkami.

— Nie cierpiałeś tego — stwierdziła stanowczo matka. — Bałeś się, że żaden samochód nie zatrzyma się przy was. — Zwracając się do Peggy wyjaśniła: — Joey nie jada truskawek, więc nie mógł zrozumieć, że ktoś inny zechce je kupić.

— Teraz jada truskawki — powiedziała Peggy.

— Naprawdę? — spytała mnie matka.

— Z lodami — odparłem.

— A kto to był ten stary pan? — spytał Richard.

Matka zamrugnęła powiekami.

— Jaki stary pan?

— Ten, którego pani prosiła zawsze o radę, jak pani miała na coś ochotę.

— Och... tej historii chyba nie powinnam ci opowiadać. Jak myślisz, Peggy?

— Nie wiem przecież, co to za historia.

— To był stary nasz krewny, nazywał się wuj Rupe, ludzie mówili, że kiedyś miał



wielką słabość do mojej matki. I zachował tę słabość długo, gdy już jego starania zostały wynagrodzone, jeśli wierzyć pogłoskom. W każdym razie byłem jego ulubienicą, więc coś w tym musiało być dziwnego. Z wszystkich ludzi na świecie on jeden uważał, że jestem sprytna.

— To rzeczywiście dziwne — powiedział Richard.

Matka spojrzała na niego uważnie, ale błyszczące oczy i jawnie zafascynowany wyraz twarzy, nie dopuszczający podejrzenia o zuchwałe intencje, wystarczyły mu za obronę.

— Jak też tak myślę — oznajmiła.

Peggy, która zeszytniała w momencie niebezpieczeństwa, powiedziała teraz:

— Richard, powinieneś już od godziny leżeć w łóżku.

— Ani trochę nie chce mi się spać — odparł. — Pewnie zmiana klimatu tak na mnie działa. Albo wzniesienie nad poziom morza. Alpiniści, którzy wdrapali się na szczyt Everestu, cierpieli na bezsenność.

— Czy wyrzuciłaś te moje stare antologie opowiadań fantastyczno-naukowych? — spytałem matkę. — Richard właśnie zaczyna lubić taką lekturę.

— Daje mi rozkoszny dreszcz strachu — powiedział Richard.

— Niczego nie ruszałam — odparła matka znużonym głosem, w którym kryła się nieuzasadniona nuta skargi.

Podszedłem do półek przy oknie wychodzącym na stodołę, o tej porze widoczną jako jaśniejsza pustka w ciemności nocy, zasłaniająca gwiazdy; na półkach tyleż książek stało, co leżało, a pod broszurowymi tomikami Thorne Smitha i P. G. Wodehouse'a, które niegdyś bawiły mnie i których wystrzępione staromodne okładki wystarczały teraz, żeby wskrzesić wrażenie kurzu nasyczonego pyłkiem kwiatów, a także nastrój długich bez końca letnich dni z okresu przed uzyskaniem prawa jazdy i możliwości ucieczki z farmy, znalazłem zachowane pewno cudem grube, spłowiałe egzemplarze z serii wydawanej przez Doubledaya w latach czterdziestych. Z czasem spłowiały nie tylko ich grzbiety, ale i brzegi okładek nie przykryte przez inne książki. Tą wystrzępioną przynętą skusiłem Richarda do pójścia wąskimi schodami na piętro.

— Umyj zęby! — zawołała za nim Peggy.

Zostawiłem go otulonego w łóżku — jego pocałunek miał smak pasty do zębów — opartego na dwóch poduszkach, pod starą lampą z długim kabłąkiem i połamanym papierowym abażurem, pod którą ojciec mój zwykł zasypiać w pełnym jej blasku. Lampę znalazłem osnutą pajęczynami w kącie, nie włączoną do gniazdka.

Na dole dwie kobiety zmywały naczynia. Ze świeżą wizją fotografii mojej pierwszej żony w oczach, przypominałem sobie, jak Joan stale urażała matkę pomagając jej zbyt gorliwie. Matka była straszliwie uczulona na najlżejsze choćby podejrzenie, że ktoś ją mógłby wyprzeć z jej roli, może dlatego, że jej matka, która nie ustąpiła władzy nad kuchnią do śmierci, to jest do siedemdziesiątego dziewiątego roku życia, broniła się zaciekle przed abdykacją. Peggy zajęła główne stanowisko przy zlewie, a matka potulnie podawała i odbierała od niej naczynia. Potulność nie była tylko wrażeniem wzrokowym, w matczynej atmosferze — a byłem na jej nieuchwytnie zmiany ciśnienia bardziej wrażliwy niż na różnice pogody — nie wyczuwałem żadnych oznak zbierającej się burzy lub urazy i znów uderzała mnie słabość matki. Podawała Peggy talerze znużonymi, niepewnymi ruchami człowieka chorego. Gdy skończyły zmywanie, wyszukała powoli trzy kieliszki do wina i butelkę kseresu, jedyne alkoholu, jaki był w tym domu, i przeszliśmy we troje do pokoju, żeby porozmawiać.

Porozmawiać... Wszystkie lata, dopóki nie dorosłem, zdawały się wypełnione nie kończącymi się rozmowami. Mówienie było dla nas wszystkim — pożywieniem i miłością, pieniędzmi i błotem, Bogiem i diabłem, spowiedzią, filozofią i gimnastyką. A chociaż zabrakło wypowiedzi mojego dziadka, rzeźbionych długimi pauzami, tym bardziej dostojnych i dobitnych, że podkreślanych licznymi rozważnymi chrząknięciami i wznoszeniem



ku niebu rąk obciążniętych pergaminową skórą, chociaż umilkły na zawsze żartobliwe, kapryśne skargi mojego ojca, głos matki, to wznosząc się, to opadając, zamierając w westchnieniu i odradzając się z własnej woli, pozwalając sobie na takie niedbalstwo i rozproszenie, że stawał się podobny do szmerów przyrody, a potem nagle uściślany, usprawiedliwiający się, przyspieszony — sam ten głos wystarczał, mimo rozszerzenia serca i rozedmy płuc, by podtrzymać prawie nieprzerwany, gęsty potok wokalny, w którym kąpałem się i wychowywałem. Rozmowa w naszym domu była jakimś kontinuum, we wszystkich swoich punktach uczulonym na przeszłość i terażniejszość, niestrudzenie to zawracała wstecz, to przystosowywała się wciąż na nowo, jakby w poszukiwaniu stanu równowagi, nareszcie wolnego od zadrażnień. Matkę nękało to, co godzinę przedtem powiedziałem o ojcu: "Nigdy nie gospodarował" — bo wynikało z tych słów, że farma była ojcu ciężarem i skróciła jego życie. Ja byłem przeświadczony, że to prawda, matka obawiała się, że to może być prawda. Próbując oczyścić się z winy i szukając równowagi zaczęła opisywać Peggy obszernie, zawile i z osobliwymi szczegółami naszą finansową i osobistą sytuację w okresie przeprowadzki na wieś. W tej historii, zmieniającej się nieco za każdym razem, gdy ją słyszałem, jej matka ("którą — jak powiedziała do Peggy moja matka — ty bardzo mi przypominasz; nie miała, jak ty, rudych włosów, ale tę samą energię, tę samą zręczność w zmywaniu naczyń i podobnie zaostrzony na końcu nos. Gdybym była odziedziczyła nos matki zamiast tej niefortunnej kluski po ojcu, nie skończyłabym życia jako stara zwariowana pustelnica") uważała, że dom w Olinger jest za duży, zbyt uciążliwy do utrzymania. Dziadek pograżył się już w apatii. Rachunki za opał i konserwację mogły wpędzić mego ojca przedwcześnie do grobu, a mnie — jej synowi — groziło, że wyrosnę na "olingerskiego ignoranta, a to jest typ, który musiałabyś, Peggy, zobaczyć, żeby uwierzyć, że coś takiego istnieje, nie do wiary, ale ci ludzie z Olinger najzupełniej serio uznają swoje miasto za pępek świata. Nie chcą nigdzie wyjechać, nie chcą niczego innego poznać, nie chcą nic robić, tylko siedzą na miejscu i adorują się nawzajem. Nie chciałam, żeby mój jedyny syn wyrósł na olingerczyka, chciałam, żeby był mężczyzną." Dlatego wywiozła mnie na farmę. A co do mojego ojca... — Widzisz, Peggy, ani mąż mój, ani ja nie mieliśmy wielkiej wyobraźni, nasze potrzeby były bardzo skromne, toteż gdy jednemu z nas przychodziło na myśl coś, czego naprawdę jego czy jej serce pragnęło, drugie starało się zaspokoić to życzenie. Ja pragnęłam naprawdę w ciągu całego życia tylko dwóch... nie, trzech rzeczy. Najpierw marzyłam, żeby mieć konia, i ojciec kupił mi konia, ale nie mogłam go zatrzymać, gdy wynieśliśmy się do miasta. Potem chciałam naprawdę mieć syna i farmę, i George nie odmówił mi spełnienia obu tych pragnień.

— A czego on pragnął? — spytała Peggy.

Matka przechyliła głowę, jak gdyby usiłowała rozpoznać daleki głos jakiegoś ptaka.

Pytanie było w umyśle Peggy zupełnie jasne, spróbowała więc wyjaśnić je także matce.

— Jakie życzenie pomogła mu pani urzeczywistnić? On dał pani syna i farmę, a co pani jemu dała?

Wyraz jej twarzy pozostał uprzejmy, ale oczy, podkrążone zielonawym cieniem wielkomiejskiego życia zdradzały niebezpieczne zmęczenie.

Serce waliło mi w piersi, czułem mrowienie w obrzmiałych palcach, ściskających zimny rdzeń nóżki kieliszka z winem. Milczenie matki, gdy jej dusza, wycofując się z oczu i ust, wróciła w przeszłość i zanurzyła się w ciemnościach, w których, gdyby nie jej łaska, ja zostałbym pogrzebany przed urodzeniem, było jak zawsze straszne.

— Ależ tak — powiedziała wreszcie, rozkładając szerokim gestem ręce — dałam mu wolność.

W tej odpowiedzi, w śmiałej obronie swojego małżeństwa odzyskała nagle cały dawny dowcip i zląkłem się widząc, że Peggy tego nie zrozumiała. Broda Peggy wyrażała upór i wyczułem w całym ciele swojej żony sprzeciw; jak w sukni, skrojonej na cudzą miarę, nie mogła pomieścić się w konstrukcji założeń i hipotez, w którą nazwa



“wolności”, nadana przez matkę bolesnemu niepokoju mego ojca, była harmonijnie wkomponowana. Matka w ramach mitologii, stworzonej ze swego życia, postępowała jak matematyk, gdy raz przyjąwszy pewne ściśle ograniczone założenia śmiało snuje wnioski, kreśli warianty, buduje paradoksalne ogniwa, które postronnemu obserwatorowi, nie uwięzionemu na płaszczyźnie ich logiki, mogą wydać się irytująco dowolne. A teraz, po śmierci ojca i po moim rozwodzie z Joan, nie było już obserwatora wtajemniczonego prócz mnie... prócz mnie i uwielbiających matkę psów.

Peggy spytała brutalnie:

— Czy można dać człowiekowi wolność?

Gniewało ją, że matka przedstawia jako dar swoją niezdolność do zawładnięcia ojcem; uraziło ją to, trafiając w najwrażliwszy punkt, wokół którego krążyła jej własna mitologia, mit kobiet oddających się mężczyznom i mężczyzn ofiarowujących w zamian kobietom jakiś sens życia.

Matka wolała przetłumaczyć to pytanie na kategorii innej religii.

— Myślę, że tylko Bóg daje wolność naprawdę — odparła. — Ale człowiek może ją dać nie zaprzeczając prawa do niej innemu człowiekowi, i w końcu to na jedno wychodzi.

I znów, jak strumień, który ominął leżącą w poprzek kłodę, nurt jej wymowy popłynął dalej, wspomnienia o kupnie farmy rozszerzyły się w opis samej farmy, jak wyglądała w chwili ich powrotu, zniszczona, zżarta przez erozję, jaka była w jej latach dziewczęcych, gdy wielkie górne pole szumiało jak morze łanami jęczmienia, na małym górnym pólku ciągnęły się rzędy pomidorów, trójkątne pole za łąką mieniło się zielenią i złotem kukurydzy, a najdalsze pole srebrzystą zielenią lucerny, w ogrodzie warzywnym rosły ziemniaki, cebula i kapusta, a fasola tyczkowa zajmowała cały piaszczysty wał z sadem, w którym niższe gałęzie drzew, uginające się pod ciężarem owoców, podpierano tyczkami, nawet las rodził bogate plony jagód, orzechów hikorowych, drewna na opał; wreszcie jaka jest teraz ta farma, leżąca odłogiem, z zarośniętymi zielskimi polami domagającymi się skoszenia. Tak więc w końcu monolog matki dotarł do spraw konkretnych: celem naszego przyjazdu było skoszenie pól, ja miałem sięść na traktor, bo matce już na to sił nie starczało. Musiałaby zapłacić grzywnę, gdyby nie spełniła tego obowiązku. Nasza wizyta została zaplanowana po kilkakrotnych ostrożnych pertraktacjach telefonicznych, w których, wśród buczenia sygnałów odmierzających czas i szumu krzyżujących się nad New Jersey rozmów, każde z nas, matka i ja, usiłowało zgadnąć, czego drugie sobie naprawdę życzy: ja miałem skosić pola, matka — zobaczyć Peggy, pogłębić znajomość z moją nową żoną i, jeśli to okaże się możliwe, pokochać ją. Peggy spała. Moja szerokobiodra żona zamknęła ciężkie powieki i schroniła się w sen podczas przemówienia matki. Spoczywała nieświadoma niczego w splewiałych objęciach starego brunatnego fotela, który był ongiś ulubioną trybuną mojego dziadka. Spiczaste żółte pantofelki na wysokich obcasach leżały obok jej stóp, jakby odrzucone siłą odśrodkową. Stopy z długimi palcami, osłoniętymi popielatym nylonem pończoch, opierały się bokiem o podłogę, zakotwicząc długie nogi, oparte kolanami o poręcz fotela. Spod przekręconej spódnicy widać było ciemne kręgi u górnego końca pończoch. Okryte puszkami i piegami przedramiona, jedna bezwolna dłoń i porysowany żyłkami napięstek, zwrócone ku górze w pełnym świetle lampy, leżały na jej udach, a twarz kryła się w ocienionym czerwonym suknie obicia w głębi fotela; długie włosy wymknęły się z uścisku szpilek i, nieruchomą falą spływając na zaokrąglone pokornie plecy, przekreślały białość szyi. Peggy nie mieściła się cała na fotelu i poczułem się z tego dumny wobec matki, jak gdybym podczas jej opowiadania o farmie w milczeniu prezentował moje włości, wydarte światu. Ale spojrzenie matki, zatrzymawszy się chwilę na długim kobiecym ciele skulonym we śnie i ufnym jak dziecko, zwróciło się ku mnie i wyczytałem w nim urazę. Zanim zdążyła powiedzieć coś, co by nas oboje mogło poniżyć, zapytałem niecierpliwie:

— Czy nie można by kogoś wynająć do koszenia? Dlaczego masz to robić ty albo ja?



— Bo to jest nasza ziemia.
— Twoja.
— Wkrótce będzie twoja.
— Nie mów tego.
— Uważam to za przyjemną perspektywę. Czy ty poważnie myślisz o terenach golfowych?

— Oczywiście, że nie. Na urządzenie trzeba by wydać tysiące dolarów, a kto potem zarządzałby klubem? Ja mieszkam przecież w Nowym Jorku.

— Myślałam, że mógłbyś sprzedać to dalsze, płaskie pólko, rozparcelować na działki po pół akra; mój duch pogodziłby się z tym chyba, a za uzyskane pieniądze dałoby się utrzymać resztę nienaruszoną. Nie ma tygodnia, żeby ktoś mnie nie nagabywał, czy nie chciałabym sprzedać kawałka ziemi. Sępy już się gromadzą.

— Jaką cenę proponują?

— Otóż to, chcą prawie darmo. Dwieście za akr. Wyobrażają sobie pewnie, że już mi się rozum całkiem zmącił. Pewien Żyd z Filadelfii ofiarowywał dwadzieścia pięć tysięcy, ale żądał, żebym mu odstąpiła dom i sad; to najlepsza oferta, jaką dotychczas miałam. Ręczę, że można by u niego wytargować do czterdziestu tysięcy.

— Zapłaciłaś kiedyś cztery.

Wzruszyła ramionami.

— To było dwadzieścia lat temu. Teraz jest więcej i ludzi, i pieniędzy. To już nie ten kraj, w którym się wychowywałaś. Znów wszyscy mają pieniądze. Ale to przypomina mi coś. Wiesz, Schoelkopf ma wnuka i doszedł do wniosku, że przydałaby mu się nasza łąka.

— Cała?

— Właśnie. Wiesz, dał mi nawet do zrozumienia, że to byłoby ładnie wobec ciebie, gdybym ciągnęła jakieś zyski z farmy zamiast przyjmować pomoc od syna.

— Proszę cię, nie kieruj się nigdy tymi względami.

— Och! — Przekreśliła ręką powietrze tak, jak to zwykł robić jej ojciec, gestem, który przypominał mi, gdy byłem dzieckiem, tajemnicze zdanie z Biblii o palcu poruszającym się, piszącym wyrok, znikającym. — Nie mów tego tak bez namysłu. Masz teraz dwie żony, a ja mogę cię narazić na duże wydatki, rachunki lekarza i apteki. Doktor Graaf chce mnie wyprawić do szpitala.

— Doprawdy? Masz lekką zadyszkę, ale poza tym...

— Miewam, jak oni to nazywają, ataki. Ostatnio zdarzyło mi się zasłabnąć daleko w polu, kiedy wyszłam z psami, chyba one mnie przywlokły z powrotem, bo pamiętam tylko, że wczołgałam się na czworakach po schodach do domu i zażyłam wszystkie proszki, jakie znalazłam, po jednym z każdego pudełeczka. Ocknęłam się dopiero następnego dnia o tej samej porze, Flossie zdążyła przegryźć do połowy ramię nad półką biblioteczną. Psy po dawnemu opierają łapy na parapecie tego okna i zaglądnęły, czy George nie wraca.

— Powinnaś była mnie wezwać.

— Byłeś wtedy w podróży poślubnej. Zresztą... w wielu sprawach różniliśmy się z twoim ojcem, ale co do jednej zgadzaliśmy się zawsze, że chcemy umrzeć tanim kosztem. Wiesz, że teraz o to wcale niełatwo. Lekarze mają rozmaite maszyny, żeby podtrzymywać człowieka przy życiu, póki nie wyczerpie się jego konto w banku.

— Nie można wszystkiego sprowadzać do kwestii pieniędzy.

— A do czego? Do seksu?

Zaczerwieniłam się i w ciągu jednego oddechu znalazła dla mnie litość.

— Powiedz szczerze — podjęła znowu. — Czy jestem dla ciebie ciężarem?

— Nie. Nie sprawia mi najmniejszej nawet trudności przesyłanie ci tej sumy, którą ode mnie dostajesz.

— Wierzę ci, ale renta po ojcu prawie mi wystarcza i mogłabym się obejść bez dodatków. Nie chce, żebyś mnie w końcu znienawidził z powodu tych kilku dolarów, to nie



do pomyslenia.

— Nigdy do tego nie dojdzie. Powodzi mi się dobrze pod każdym względem, pieniężnym i seksualnym.

— Czy wolno zapytać, ile cię kosztował rozwód?

— No cóż, wliczając podróże samolotem i adwokatów, około czterech tysięcy.

— Tak też myślałam. A Joan?

— Była bardzo skromna i rozsądna w żądaniach, jak zawsze. Jeżeli w ciągu dwóch lat wyjdzie po raz drugi za męża, wszystko ułoży się znośnie.

— Z trojgiem małych dzieci to bardzo wątpliwe. Joan nie ma tyle energii co twoja nowa żona.

Żal czy może irytacja — straciłem zdolność do rozróżniania tych dwóch motywów — zdławiły mój głos.

— To silniejsze ode mnie, mamo.

Z zadowoleniem poprawiła się na fotelu. Siedziała w fotelu, który zawsze budził we mnie zakłopotanie, bo to był ogrodowy, wyplatany drucianą siatką fotel, który ubóstwo wprowadziło do pokoju przemalowując go na niebiesko.

— A teraz powiedz szczerze. Nie baw się w grzeczności. Czy chcesz, żebym sprzedała?

— Farmę?

— Część farmy. Kilka działek.

— Oczywiście że nie.

— Dlaczego?

Naprawdę dlatego, że ona tego nie chciała.

— Bo to niepotrzebne.

— Czy zgodzisz się przyrzec mi coś? Daj słowo, że powiesz mi, gdy będzie to potrzebne.

— Wolałbym zostawić to twojej domyślności.

— Lepiej nie. Teraz już nie jestem taka domyślna jak kiedyś. A więc zależało jej na pozorach rzeczowej umowy.

— Przyrzekam — powiedziałem.

Peggy poruszyła się, jej długie nogi przesunęły się uciekając od jakiegoś bólu, jedna stopa trąciła pusty, stojący prosto na obcasie pantofel, ręka bezwiednie obciągnęła spódnice.

— Twojej nowej żonie zdrętwieje kark — powiedziała matka.

Peggy miała oczy otwarte i usłyszała ostatnie zdanie. Zamrugnęła oszołomiona, nie wiedząc, gdzie jest. W tym stanie zaczadzenia snem zdawała mi się bezbronna i słaba. Wstałem i odwrócony plecami do matki wyciągnąłem do Peggy rękę. Bezwładna w swej senności, starała się odgadnąć sens zawarty w geście tej mojej przynaglającej, surowej, błagalnej ręki, a potem spojrzała na moją twarz i widać wyczuła, że ja w tej sytuacji widzę niebezpieczeństwo i chcę ją ratować, bo zdobyła się na wysiłek, żeby oprzytomnieć.

— Wstawaj, moja pani — powiedziałem. — Pójdiesz do łóżka.

— Zachowałam się idiotycznie — odparła kładąc rękę na mojej dłoni i pozwalając mi się wyciągnąć z fotela. Gdy stała przede mną bez pantofli na nogach, wydawała się mniejsza. Jej ręce, trochę za szerokie i zaczerwienione na kostkach i czubkach palców, zawsze miały w mojej wyobraźni kształt owalny. Myślę, że to one pierwsze wzbudziły we mnie pociąg do niej, te ręce pierwsze zauważyłem tamtego wieczora na przyjęciu, gdy Peggy stała, nieśmiała i poważna, a ręce opuszczone bezwładnie wzdłuż boków, stulone ku udom, wyglądały jak nie używane narzędzia; ramiona miała na całą długość wyprostowane i po jej wyrzeczeniu się wszelkiej osłony, choćby papierosa lub obronnego gestu, poznałem, że można ją zdobyć.

— Dobranoc — powiedziała zwracając się do matki. — Przepraszam, że tak głupio zasnąłem.



— Uważam, że ty jedna w naszym towarzystwie zachowałeś się rozsądnie — odparła matka. — Dobranoc, Peggy. W komodzie jest dodatkowy koc, gdyby ci było chłodno. Mnie nie powiedziała dobranoc, jakby licząc, że na pewno wrócę.

W naszym pokoju — w dawnej sypialni rodziców, gdzie na ścianie wisiała moja fotografia z lat dziecińczych — Peggy spytała:

— O czym rozmawialiście?

Na fotografii miałem wargi lekko rozchylone, brodę spiczastą, nos prosty, płaski i usiany piegami. Oczy, moje oczy, przykuły mój wzrok, tak uroczo były jasne, tak doskonale jasnowidzące, tak wyrozumiałe. Zdawało się, że zostaliśmy zaślubieni ich spojrzeniem. Pod fotografią na stoliku przy łóżku, nakrytym pawioszafirowym laufrem, stała lampa — z plecionym plastikowym abażurem, częściowo stopniałym wskutek przypadkowych zetknięć z żarówką — i żelazna popielniczka w kształcie słonia. Oczyma wyobraźni widziałem w zamkniętej szufladzie stosy listów, migawkowych zdjęć, świadectw szkolnych i starannie przechowywane książeczki czekowe z wyrwanymi czekami. Na dolnej półce, między nogami etażerki, tuż nad podłogą leżała zapomniana, ciężka jak trumna biblia rodzinna w wytłaczanej skórze, ze złożonymi brzegami, odziedziczona po ojcu ojca mojego ojca. Kiedyś wpisałem swoje imię na karcie rodowodu.

Odpowiedziałem na pytanie Peggy:

— O farmie.

— I co mówiliście?

— Czy nie trzeba by sprzedać kawałka pola.

— Co postanowiliście?

— To już z góry było postanowione. Matka nie ma ochoty sprzedawać.

— A ty byś chciał, żeby sprzedała?

— Nie bardzo.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Zawsze tu dostawałem kataru siennego.

— Spodziewałam się, że powiesz: dostawałem gęziej skórki.

— Nie, to mój ojciec tak mawiał.

Głos matki, w którym nuta onieśmienia była dla mnie bardziej przejmująca niż krzyk, dobiegł od stóp schodów. Już zdjąłem koszulę, ale włożyłem ją z powrotem, nim zbiegłem na dół.

— Chodzi o psy — powiedziała. — Czy mógłbyś im zanieść resztki kiełbasy i postawić na słomie miskę z wodą? Przykro mi, że cię nudzę takimi sprawami, ale jeżeli sama do nich pójdziesz, będą myślały, że je wezmę na spacer, a prawdę mówiąc, mam wrażenie, że trochę się dziś przemęczyłam.

— Źle się czujesz?

— Kiepsko, jak by powiedział tatuś.

Spojrzałem na nią z niepokojem. Stała za progiem pokoju, tuż przy drzwiach do kuchni, jak w płytkim pudle. W kuchni paliła się tylko jedna mętna żarówka nad piecem i czoło matki miało metaliczny odcień, jak cera dziadka w ostatnich dniach życia. Bujne włosy, w których przeważała siwizna zmieszana z resztkami czerni w kolor gorzki dla oka, zwisały sztywno, układając się w kształt ciężkiej piramidy wokół jej głowy. Z rozpuszczonymi włosami matka od dzieciństwa wydawała mi się podobna do czarownicy i często śledziłem ją, jak szcztokowała je w ogrodzie za domem w Olinger, żeby ptaki mogły jej wyczesane włosy wpleść w swoje gniazda; wieczorem, gdy czesała się w sypialni rodziców, widziałem ze swego łóżka niebieskie skry śpiące się spod szcztoki.

— Czy nie powinnaś zażyć jakiegoś proszku? — spytałem.

Zrobiła pół kroku naprzód i ramiona jej, lepiej teraz oświetlone, miały dziwnie kremową biel. Jedno ramięczko nocnej koszuli przesunęło się na bok.

— Och, mam mnóstwo proszków. Proszki w lodówce, proszki pod poduszką. — Zmieniła ton. — Nie przejmuj się, idź, daj psom wody i połóż swoją żonę do łóżka. W nocy może będzie jej chłodno... w trzeciej szufladzie komody tatusia jest stary in-



diański pled. Przyjdę do siebie, jak się położę.

— Będiesz spała tutaj na kanapce?

— Jak zwykle. Ani razu chyba nie spałam na górze, odkąd... odkąd jego nie ma.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale tylko wzruszyłem ramionami. Odwróciła się do mnie plecami, ruchem nagłym jak skurcz bólu. Ojciec umarł poprzedniego lata.

Wyszedłem w noc. Pod bosymi stopami poczułem ciepły piaskowiec ganku, a potem lodowato zimną rosę.

Krzak ligustru zwracał się rozszczepioną fasadą ku księżycowi. Gdzieś daleko, po lewej stronie, sowa huknęła głosem zgorszonej matrony czy może pogrzebowej płaczki, a dalej jeszcze, na szosie, ciągnik z rozpaczliwym zgrzytem zmienił bieg; oba te odgłosy doleciały od tej samej strony, od niemal przezroczystej smugi lasu, położonego między ogrodem a polami przytykającymi do drogi, od strony, gdzie niegdyś była farma menonity, a teraz powstawało osiedle domów mieszkalnych. Wśród tych drzew przez całą zimę matka rozsypywała po wklęsłych kamieniach i sterczących pieńkach pestki słoneczników dla ptaków. Na tym rąbku lasu napór wciskającego się na farmę świata odczuwała najdotkliwiej.

Psy zdawały się rade z mojego przyjscia, chociaż zazwyczaj wściekle atakowały obcych: kilka razy pogryzły kogoś, a jeden z uszkodzonych wytoczył nam nawet sprawę sądową. Widocznie dla nich pachniałem trochę podobnie jak matka, a może węszyły we mnie mojego ojca. Prócz szczeniaka collie — którego matka wzięła od Schoelkopfów, by nie dopuścić do zgłodzenia go — w budzie były dwa kundle, oba z tego samego miotu; znałem dobrze matkę ich matki, wabiła się Mitzi i była moją własnością, a miała na języku czarne plamy jak kwiat bratka, zjeżoną lśniąca kryzę z miedzianej sierści, delikatnej jak puch mlecza, nieproporcjonalnie małe, bardzo ruchliwe uszy i drobnokosiste tylne łapy, które pewnego lipcowego południa obcięła kosiarka ciągnięta przez wypożyczony traktor; prowadził go młody Schoelkopf, a stało się to, gdy ja przebywałem w college'u. Po tym właśnie wypadku — psa trzeba było zastrzelić — matka kupiła z trzeciej ręki traktor, nauczyła się go obsługiwać sama i przekazała tę umiejętność zarówno ojcu, jak mnie. Psy, niesamowicie ciche, jakby ton ich nadziei był tak wysoki, że moje uszy go nie chwytały, ocierały mi się o nogi. Postawiłem miskę z kiełbasą, zachowując kawałek w ręku dla szczeniaka, by rzucić mu ten kęs na osobną słomiankę, potem zabrałem pustą miskę, starannie zamknąłem za sobą rygiel w drzwiach psiarni, wróciłem przed ganek i napełniłem miskę po wręby wodą, włączając się w ten sposób do wiejskich hałasów. Grzechotliwy pisk rączki od pompy rozlega się w ciepłe pogodne noce od farmy do farmy. Teraz lelek zagłuszył monotonną skargę sowy. Odniosłem do psiarni rozchwianą miskę (światło podskoczyło i chlupnęło, nieostrożne psie pyski zderzyły się z sobą), popatrzyłem w oczy księżycowi i wywnioskowałem, że tylko jednej nocy brakuje mu do pełni. Chwilkę stałem na dworze, czując, jak czas przepływa koło mnie, i niemal z wdzięcznością wróciłem między cztery ściany domu.

Zgasiłem ostatnią lampę w kuchni. Obok w pokoju matka leżała w ciemnościach. Wszedłem tam, chociaż myśl o Peggy czekającej na górze ciągnęła mnie za włosy. Niewidoczne otaczające mnie pamiątki i przedmioty zdawały się skupione, nasycone nadzieją jak dary wotywnie w świątyni. Pachniało nie moją młodością, lecz kurzem. Usiadłem w fotelu na biegunach, który niegdyś należał do babki i który teraz pod moim ciężarem kiwnął się gwałtownie wstecz, jakby ona z niego zeskoczyła ustępując mi miejsca. Było bardzo cicho.

— Chłopiec wydaje się bystry — powiedziała matka.

— Tak, myślę, że jest bystry.

— Ciekawa rzecz, bo matka nie robi tego wrażenia.

Cios padł z ciemności jak ciepła poduszka prosto w moją twarz. Znalazłem się w takiej samej sytuacji jak kiedyś, przed laty, w tym samym pokoju, gdy nie dochowałem obowiązku lojalności wobec Joan. A jednak szanowałem instynkt prawdy w mojej matce, byłem jego więźniem. Odpowiedziałem niepewnie:



- Czy tak?
- Dziwię się bardzo — ciągnęła dalej matka głosem, który wskutek tego, że leżała w poziomej pozycji, stracił dźwięczność.
- Czemu się dziwisz?
- Że potrzebujesz głupiej kobiety, aby nabrać pewności siebie.
- Nic o niej nie wiesz. Nie chcesz wiedzieć.
- Wiem, co się rzuca w oczy. Patrzę na mojego syna i widzę mężczyznę, którego ojciec by nie poznał.
- Ojca zostaw w spokoju. Słuchaj mnie. — Mówiłem świszczącym szeptem. Wstałem, a uwolniony fotel kiwnął się naprzód, uderzając mnie w łydki. — Zatrulaś moje pierwsze małżeństwo, nie życzę sobie, żebyś się wtrącała do drugiego. Masz być grzeczna dla mojej żony. Nie miała obowiązku przyjeżdżać tutaj. Bała się tej wizyty. Sama nas zaprosiłaś. No więc jesteśmy.
- Roześmiała się — zapomniałem już, jak brzmi ten krótki sygnał wesołości połączonej z wciągnięciem powietrza w płuca, jej zwykła reakcja na zaskoczenie.
- Ja przecież mówię tylko, że chłopak musiał odziedziczyć inteligencję po swoim ojcu — powiedziała.
- Nie wiem. Jego ojca widziałam tylko raz.
- Westchnęła.
- Nie zważaj na mnie, Joey. Jestem stara wariatka, za długo siedzę sama, nie mając do kogo ust otworzyć, chyba że do piesków. Myślałam, że będę mogła porozmawiać z synem, ale widocznie za wiele sobie obiecywałam.
- Taktyka samooskarżenia, chociaż ją dobrze znałem, jak zawsze okazała się potężna; moje oburzenie rozplynęło się w tej czarnej miksturze patosu i komedianstwa, więc żeby nie dać się wciągnąć do spiskowania z nią razem, postanowiłem uciec.
- Muszę ci już powiedzieć dobranoc.
- Śpij smacznie, Joey.
- Przyjemnych snów, jak mówił dziadek.
- Przyjemnych snów, Joey.
- Wyszedłem z pokoju, w którym światło księżyca zaczynało już, jak złodziej, wybierać błyskotki i srebrzone kanty; po omacku wspiałem się na strome, chłodne schody wiejskiego domu. Richard oddychał regularnie. Musnąłem palcami jego głowę, odwróconą profilem. W Nowym Jorku trzeba go zaraz zaprowadzić do fryzjera i ostrzyc. Gdy wchodziłem do naszej sypialni, ciemność wydała mi się odwrotną stroną ostrej widzialności; sam niemal ślepy, czułem na sobie spojrzenie dwóch prostokątów szafirowych szyb, wychodzących na zalaną blaskiem księżyca łakę. W dalekim oknie, załamane w skazie na szkło, unosiło się, niby jakiś błyszczący przedmiot w bruździe fal morskich czerwone światełko na szybie telewizyjnej anteny przekaźnikowej wzmocnionej siatką drucianą, niedawno postawionej w pobliżu autostrady. Pod lekkim naporem odległego światła pokój rozszczepiał się na części składowe: okno, gzyms kominka, komoda, lustro, łóżko. Słupki łóżka rysowały się w sylwetach, których zakończenia w formie szyszek stopniowo wyokrąglały się nabierając trzeciego wymiaru, ale przestrzeń łóżka tonęła w nieprzeniknionych ciemnościach; pełna treści pauza, aksamitne jezioro między jaśniejszymi plamami głębokich framug okiennych. Namacałem krzesło i rozebrałem się przy nim.
- Gdzie moja piżama?
- Tajemnicza przestrzeń łóżka skrzyknęła i Peggy zapytała:
- Po co ci piżama?
- Czy będzie nam dostatecznie ciepło?
- Zobaczymy.
- Kiedy wsunąłem się do łóżka, spytała:
- Co ci się stało?
- Właściwie nic takiego.



— Drżysz jak szczeniak. Włożysz piżamę?

Znalazłem przeguby jej rąk i przytrzymałem, jakbym się bał, że Peggy odsunie się, ucieknie od tego, co miałem jej do powiedzenia, i połową ciała leżąc na niej, z twarzą tak blisko jej twarzy, że wargi wyczuwałem jako wilgotny oddech i po lśnieniu białek poznawałem, że ma oczy otwarte, wpatrzona we mnie, powiedziałem prosto w jej usta:

— Mam trzydzieści pięć lat, przeżyłem piekło, nie rozumiem, dlaczego ta starsza pani ma nade mną tyle władzy. To śmieszne. Poniżające.

— Mówiła coś o mnie?

— Nie.

— Mówiła.

— Śpijmy już.

— Chcesz spać?

— Nie jesteś zanadto zmęczona?

Odpowiedziała bez słów. Słowa w końcu miłosiernie milkną.

Moja żona jest rozłożysta, szerokobiodra, ma długi stan i gdy na nią patrzę z góry, wydaje mi się bogatą krainą, która mnie, swego posiadacza, zmusza do słodkiego wysiłku, abym mógł objąć ją własnym ciałem; w niej widzę różnorodne krajobrazy, to jak gdyby śnieżną falistą perspektywę otwierających się torebek bawełny oglądaną poprzez murzyńskie arabeski wykute w żelaznej kracie balkonu, to sztywny szereg płaskich skał zastygłych pośród różowawej malarskiej ochry; to szary francuski zamek doskonale wrośnięty w strome zielone wzgórze, którego terasy naśladują wieżyczki; to jak gdyby Antarktydę, to znów daleką dolinę, mieniającą się czernią i fioletem, i na jej dnie gładką niewidzialną rzekę między cienistymi brzegami rodzącymi winne grona, przez nikogo nie skosztowane. Nad wszystkim jak niebo, dalekie i chłodne, rozciąga się — waha się, zatrzymuje, jest — poczucie jej obecności, jej spokoju, bezstronności tego światka, poczucie ratujące mnie od klaustrofobii, nawet gdy schodzę w największe głębie. W Joan nigdy nie wyczuwałem tego nieba. W niej czułem się zagrożony uduszeniem. Wydawała mi się takim samym jak ja poszukiwaczem przygód, bezkarnym w ciemnej krainie, nad którą stężone światło mogło tylko wybuchnąć w konwulsjach. Trudną podróż można było podjąć dopiero po wielu przygotowaniach, a potem pełzałem wśród tajemnic, zawsze niepewny, czy osiągnę cel. Ale z Peggy szybuję, mknę, jestem wolny, a ta wolność, gdy raz poznałem jej smak, odrobinę tego smaku, ukradkiem skosztowanego, stała mi się niezbędna jak tlen, podsycała siłę potężniejszą niż prawo grawitacji.

— Czy zaśniemy?

— Cisza jest taka głośna.

— W komodzie leży indiański pled. Chcesz, żebym go przyniósł?

— A tobie potrzebny?

— Nie, jeżeli zostaniesz przy mnie.

— Aha, już wiem, dlaczego powiedziałam, że przypominasz szczeniaka. Zalutuje troszeczkę od ciebie dziwny psi zapaszek po tej wizycie w psiarni. Podobasz mi się jako wiejski chłopak.

— Moja śliczna. Kocham twoją muszkę.

— Kochaj moją muszkę, kochaj mnie.

— Jeżeli każesz...

Zapadałem już w sen.

Matka życzyła mi przyjemnych snów. Tej nocy po raz chyba dziesiąty, jeśli pamięć mnie nie myli, powtórzyła się wizja, która pierwszy raz ukształtowała się w mojej wyobraźni wówczas, gdy możliwość rozwodu i ponownego małżeństwa zaczynała świtać w moich myślach na jawie. Byłem u rodziców, na farmie. Stałem przed domem i ponad rozpiętą na kracie winoroślą, której jagody były nie mniej zielone niż liście, patrzyłem w okno sypialni jak mały chłopak, gdy przyszedłszy wywołać towarzysza zabaw nie śmie zapukać do drzwi. Jej twarz pokazała się w oknie przez mgłę zasłony. Peggy miała na



sobie luźną pomarańczową nocną koszulę, którą lubiłem, ramiączka zsuwały się trochę z jej ramion, a kiedy się wychyliła, żeby mnie zawołać zza siatki, uśmiechnęła się cudownie, była szczęśliwa, zachwycona niezwykłością tego miejsca, zakochana w farmie, pełna gorliwej chęci odkupienia słońcem swej obecności długich lat posępnych godzin, jakie przeżyłem tutaj. Jej uśmiech zapraszał mnie do domu, wysoką jasną nutą obejmował i streszczał całą naszą historię strachu i smutku, i zamierzonego okrucieństwa; wtajemniczony, przekazywał sobą przebaczenie innej jakiejś instancji i był taki wesoły. Nigdy farma nie była taka wesoła.

Zbudziłem się i stwierdziłem, że jak to bywa często, różnica między snem a jawą polegała na drobnym przestawieniu. To ja znajdowałem się w sypialni, a głos Peggy dobiegał spod okna. Światło płynęło z zewnątrz, blask rannego słońca, złagodzony przez siatkę, padał ukośnie na szeroki parapet. Niewidzialne ręce okryły mnie indiańskim pledem. Moja chłopięca podobizna uśmiechała się mgliście ze ściany, miękki kołnierzyk rozplątywał się, dzięki modnej niegdyś sztuczce fotografa, w czystej bieli tła. Głosy na dworze krążyły niezrozumiale wokół wybuchów śmiechu. W pustej szafie znalazłem robocze spodnie ojca, za duże dla mnie. Zawijając je na dole i wtykając u góry pod własny pasek, jakoś je do siebie dopasowałem. Z kieszeni wyłowiłem gwóźdź, który ojciec zgiał, posługując się nim pewnie jako narzędziem.

Po latach "prymitywnego bytowania", jak je nazywał ojciec, z konieczności, podczas śmiertelnej choroby dziadka, w dawnej szwalni urządzono na piętrze łazienkę. Wszystko tu wydawało się dziwnie pomniejszone, a woda spływała leniwą strużką, niepodobna do gwałtownego potoku wielkomiejskich instalacji. Framuga jednego okna zastępowała szafkę apteczną i tam, między różnokolorowym zbiorem fiolek z lekarstwami matki i trochę kłopotliwym kompletem przyborów toaletowych, które Peggy wyjęła ze swojej walizki, leżała maszynka do golenia, własność ojca. Była cięższa od maszynek wyrabianych obecnie i pokryta turkusową patyną śniedzi. Górna część po rozkręceniu dzieliła się na warstwy jak sandwicz, w którym plasterkiem mięsa byłaby żyletka. Założyłem własną żyletkę i ogoliłem się; ostry narożnik maszynki drapał i kaleczył, zahaczałem wciąż, tak samo jak ojciec, o łuk dolnej szczęki. Zadraśnięcia, krew, piekący ból sprawiały mi satysfakcję i wspominałem dziwny, potulny uśmiech ojca, gdy schodził na dół z resztkami mydła jeszcze przyklepionymi na uszach niby plasterki. To niezręczne golenie było jednym z wielu drobnych gwałtów, które sobie zadawał, by przejednać upiora biedy. Tego dawniej nie rozumiałem. Nigdy jeszcze nie wszedłem w jego skórę tak dobrze jak teraz. Pierwszego ranka po przebudzeniu się w domu zawsze odczuwam ożywcze, lekkomyślne wątpliwości, kim właściwie jestem.

W pokoju, gdzie spał Richard, fotografię Joan, modną i sztywną, światło dzienne spłaszczyło i odsunęło na ten sam daleki plan co moją dziecinną fotografię, dziesięć lat spłowiło tak samo jak trzydzieści pod ciśnieniem terażniejszości bezchmurnego poranka. Na dole, na płowych deskach kuchennej podłogi, porysowanej i podrapanej psimi pazurami, przed wejściowymi drzwiami, które pojedynczą szeroką taflą zwracały się ku altanie zarośniętej przez wino i za nią ku łące, leżał, niby papierowa złota mata, romb słońca, upstrzony lekko drżącymi cieniami winnych liści, nie zmieniony w swym kształcie od dwudziestu lat, odnajdywany tutaj co rano.

Peggy smażyła naleśniki. Richard i matka siedzieli przy stole, chłopiec jadł owsiankę, a matka piła kawę. W stanowczym ruchu, jakim podnosiła do ust filiżankę, było coś, co przesłoniło mi inne obecne w kuchni osoby, chociaż Peggy spojrzała na mnie z uśmiechem, a Richard mówił z ożywieniem. Opowiadał treść fantastyczno-naukowej historii, którą poprzedniego wieczora przeczytał do poduszki. Peggy była uczesana w warkoczyki. Jej długie włosy, rudziejące latem, a kasztanowate w zimie, czasem grzywa, czasem ul, czasem upięte ciasno w stylu skromnej nauczycielki, a czasem zwinięte w luźny węzeł w stylu Brigitte Bardot, były teraz splecione w dwa grube sterczące warkoczyki ściągnięte na końcach gumkami. Zastanawiałem się, czy matce to uczesanie wydaje się niedorzeczne, zbyt śmiałe, czy też lekceważące. Zapach naleśników zawiał



w powietrzu niby nie przyjęty dar, a Richard mówił jak gdyby do siebie:

— ...i został na świecie jeden tylko człowiek, który czołgał się w gorącym popiele starając się dotrzeć do morza.

— Skąd wzięłaś te stare, wymięte spodnie? — zapytała Peggy.

— Skaleczyłaś się — powiedziała matka. Głos jej był monotony jak szarość nieba przed całodziennym deszczem.

— Goliłem się maszynką tatusia.

— Dziwny pomysł. Dlaczego?

Czy postąpiłem nietaktownie? Czy zbezcześciłem świętość?

— Wydała mi się taka opuszczona — powiedziałem. — Leżała beczynnienie.

Matka odwróciła głowę i uwolniła mnie od groźby, którą przedtem wyczuwałem. Głos jej zabrzmiał swobodniej, zmienił tonację.

— Dawno powinnam była ją wyrzucić, ale podobał mi się kolor, którego nabrała. Śmiało posunąłem się naprzód.

— Co to za piękna niewolnica smaży naleśniki?

— Prawda, jaka sprytna? Znalazła pudełko sproszkowanego ciasta, o którym ja zapomniałam. Pachną bardzo apetycznie.

— Mój ojciec — powiedział Richard — umie smażyć naleśniki po prostu z odrobiny mąki i wody, nad obozowym ogniskiem.

— A więc on też musi być sprytny — zauważyła matka.

— Co za historię opowiadałaś o gorącym popiele? — zapytałem Richarda.

Peggy przy akompaniamencie nowego syku na patelni, zawołała:

— Historia zanadto chyba okropna do czytania przed snem.

— To się dzieje po wojnie atomowej czy coś w tym rodzaju — wyjaśnił Richard.

— Nie jest to wyraźnie powiedziane, ale został jeden tylko człowiek, ostatni człowiek na planecie zwanej Ziemią, i czołga się przez radioaktywną pustynię do jakiegoś celu, a potem można się domyślić, że chce dojść na brzeg morza. Słyszysz jego szum.

— A ty słyszałaś w nocy około trzeciej, jak psy szczekały? — spytała mnie matka. — Musiał w pobliżu kręcić się jeleń. Albo też suka Schoelkopfów. Nagle zaczęła się grać.

— Czy to może się stać tak nagle? — spytała Peggy.

— Nie słyszałem — odpowiedziałem. — Spałem jak suseł do rana. Jak zawsze, przecież wiesz. Jak wszyscy dorastający chłopcy.

— Mnie teraz byle szmer budzi — odparła. — Nawet łóżko w waszej sypialni skrzypiało tej nocy.

— Kupimy do niego tłumik.

— Więc ten człowiek pełźnie ku morzu — powiedziała Peggy. — I co dalej?

— Ach tak, przepraszam cię, Richard — powiedziała matka. — Mów, co dalej było.

— Dociera na brzeg i kładzie się w wodzie, i przygotowuje na śmierć z uczuciem wielkiej ulgi, bo myśli, że jeżeli umrze w morzu, komórki jego ciała będą nadal żyły i staną się zaczątkiem nowego życia, a więc proces ewolucji powtórzy się raz jeszcze.

— Twoja matka ma rację — powiedziała moja matka. — Ta historia jest zanadto przerażająca, żeby ją czytać przed snem.

— Kto chce naleśnika? — spytała Peggy. — Bo stygną.

— Ale to się tak nie kończy — bronił uparcie swojej historii Richard i głos jego matki przebijał przez gorliwy ton jego głosu. — Najpiękniejsza rewelacja, naprawdę wspaniała, zjawia się dopiero w ostatnim zdaniu, kiedy on leży w wodzie i spogląda w niebo... zapomniałem powiedzieć, że jest noc... więc spogląda w niebo i widzi gwiazdy, ale w zupełnie innym układzie, niż my je teraz widzimy. Bo... rozumie pani?... przez cały czas myśleliśmy, że to się dzieje w przyszłości, a to było dawno, dawno, przed milionami lat, w przeszłości.

— Nie rozumiem, jak to jest z tymi gwiazdami — powiedziała Peggy, zręcznie rozstawiając talerze i dzieląc między nas naleśniki sprawnymi rękami.

— Ja też nie rozumiem — powiedziała matka. — Myślałam, że gwiazdy nie zmienia-



ją swoich miejsc.

— Mamusiu, nie bądź taka tępa — powiedział Richard. — Gwiazdy wciąż zmieniają położenie, ale tak powoli, że tego nie dostrzegamy. Kiedyś Arcturus będzie Gwiazdą Polarną.

— Nie odzywaj się do mamy tak arogancko.

— Ja wcale nie odzywam się arogancko.

— Przypominam sobie tę historię — powiedziałem. — Czytałem ją. Wynika z niej, że my wszyscy, włącznie z dinozaurami, pluskwami i dębami, pochodzimy od tego jednego człowieka. Richard, czy czasem wieczorem, tuż przed zaśnięciem, czujesz się okropnie duży? Jakby twoje palce miary kilka mil w obwodzie?

— Bardzo często — odparł Richard. — Niesamowite uczucie. Czytałem gdzieś naukowe wyjaśnienie tego zjawiska, ale zapomniałem gdzie. Może w "Scientific American".

— Ten człowiek umierając w wodzie musiał tak właśnie się czuć, co?

— Przypuszczam, że tak — powiedział Richard zaniepokojony, że prawdziwe życie przywłaszcza sobie fantazję, którą znalazł w książce i uważał za swoją wyłączną własność.

— To nawet ładnie ze strony tego człowieka — powiedziała matka — że tak się troszczy o swoje potomstwo. Peggy, naleśniki są za dobre. Powinnam się wystrzegać mącznych potraw.

— Niech pani je śmiało. W tym jest więcej pęcherzyków powietrza niż mąki.

— Pęknię! — wykrzyknęła matka i musiałem roześmiać się, bo najwyraźniej we własnej wyobraźni była ofiarą niezwykle podstępного morderstwa.

Po śniadaniu poszedłem razem z matką uruchomić traktor. Dochodziła już dziesiąta. Czas na farmie zawsze miał nieuchwytną elastyczność. Nieraz jako chłopiec, z mokrymi od potu plecami, z oczyma piekącymi od wypatrywania czerwonych plam wśród zieleni, wracałem przez sad od półka truskawek z czterema pełnymi łubiankami na prawym ramieniu i dwiema w lewym ręku, po wielu długich godzinach dreptania między nie kończącymi się rzędami gęstych liści, aby dowiedzieć się od stojącego na kominku zegara (zegar chyba stał; wyobrażałem sobie, że ma to związek z biciem serca mojego dziadka, jak w piosence, i zląkłem się w pierwszej chwili, że dziadek umarł), że jest dopiero wpół do dziesiątej, a więc dzień się ledwie zaczął. A jednak tego samego dnia (wiele było takich dni), gdy chwilę tylko spędziłem przeglądając jakieś czasopismo, aby lepiej strawić przyrządzony naprędce przez babkę obiad, i gdy potem spojrzałem z głębi kanapy w okno, zobaczyłem zakurzony chevrolet listonosza przy naszej skrzynce na listy, do połowy ukrytej w cieniu stodoły, bo już nadeszło, w jednym okamgnieniu, późne popołudnie.

Teraz dzień i objęte nim pola zdawały się wzbierać jak fala przyprływu, gotowa załamać się lada sekunda nad naszymi głowami, a traktor wciąż jeszcze spał. Matka starała się spieszyć i dotykała dłonią piersi, gdy brakowało jej tchu. W świetle dziennym trawnik raził oczy chwastami i zielskiem.

Traktor, staroświecki szary ford o wąskiej masce przypominającej łeb muła, dawniej stał pod brzydkim okapem, który matka w końcu kazała rozebrać. Teraz, na zarośniętym kępkami trawy i wybrukowanym startymi kamieniami podwórku przy stodole, był wprawdzie chroniony od deszczu, ale wystawiony na wiatr, który w dżdżyste dni przynosił na to miejsce, w podmuchach i chluśnięciach, drażniące wiadomości o ulewie... Ta osłonięta przestrzeń miała dla mnie za lat młodzieńczych urok cennej fantastycznej intymności; patrząc na ciosane belki i słupy wokół mnie miałem wrażenie, że słyszę uderzenia topora, a traktor, postukując w miarę stygnięcia silnika, stawał się niemal żywym towarzyszem dla mnie, który przed chwilą obserwowałem, jak matka prześciga ojca biegnąc wśród deszczu do domu.

Teraz trzymano traktor w stajni, gdzie bezsłoneczne powietrze miało smak rozpylonego nawozu. Matka po omacku znalazła w żłobie bańkę z oliwą i naoliwiła przekładnię traktora; głuche cmokanie brzmiało tak, jakby karmiono mechanicznego oseska. Pod-



niosłem pokrywę silnika i wlałem ropę. Lawendowa mieszanka, gdy spływała z lejka, w zbiorniku, za sprawą jakiejś alchemii cienia, przybierała kolor brunatnozłocisty, a kanister, pozbywając się stopniowo swej płynnej zawartości, przeciwstawiał się chwytowi ręki niby świszcząca szpulka. Matka, nie ufając już swoim siłom, nie brała się do tej czynności. Ale silnik uruchomiła ona; niespodziewanie podskoczyła, oparła jedną nogę na stopniu, chwyciła się spękanego gumowego koła i dźwignęła swoje ciężkie ciało na żelazne siodełko. Co prawda ja, podobnie jak ojciec, wobec trudnej zagadki wyładowującego się akumulatora lub niepojętej czkawkii wadliwej pompy paliwowej traciłem głowę i wpadałem w panikę. Ale matka miała trafny instynkt istoty nic nie wiedzącej o mechanice, toteż wkrótce staroświecki silnik zakrzuszył się i ożył, dygocząc tak gwałtownie, że jaskółki śmignęły ku błękitnemu prostokątowi nieba, który teraz, po zdjęciu okapu, znalazł się tuż za drzwiami stajni.

Matka, zadowolona, ustąpiła mi swego miejsca. Metalowe siodełko było ciepłe. Przypomniałem sobie układ pedałów, przesunąłem ręczny gaz na średni ząbek, popuściłem sprzęgło i potwór wypełznął na otwartą przestrzeń. Matka krzyknęła, więc szarpnąłem dźwignię, która podniosła ciężki nóż kosiarki wlokący się po kamieniach; kołysał się i szczekał za mną, gdy skręciłem na trawnik.

Peggy i Richard stali na werandzie podziwiając mnie, jednoosobową defiladę, podstarzałego aktora, na pół posiwiatego, z miękkim wielkomięskim ciałem, absurdalnie porwanego młodzieńczą rolą. Wydali mi się opuszczeni, wykluczeni z mojego tryumfu. Skinąłem ku nim ręką i zatrzymałbym się, ale nie panowałem jeszcze instynktownie nad maszyną i bałem się, że utknę w miejscu. Silny bez wysiłku, ciągnąc za sobą na holu półkulę przestrzeni, wyjechałem skosem przez trawnik pod górę, przeciąłem ścieżkę, minąłem skrzynkę pocztową i skierowałem się na wyższe pole. Ogromne koła obracały się tak wolno, że patrząc z wysokości siodełka rozróżniałem poszczególne karby na oponach sunące z rozmachem niby tępe głowy maszerującej naprzód armii. Nie wychowywałem się wśród traktorów, więc zdawały mi się czymś niezwykłym. Gdy paraboliczne przekładnie mechanizmu zamieniają ich małe, rachityczne silniki w niewyczerpane źródła mocy, ta moc, odwrotnie, staje się doskonale łagodna, dając wrażenie intronizacji na szczycie wielkiej uległości.

W polu opuściłem i włączyłem nóż. Traktor, przytulając się na każdym wzniesieniu do nierównego gruntu, zmieniał kierunek, posłuszny mojej woli, i trawożernie sunął ku odległym jeziorom tawuły. Pod moimi stopami trawa obijała się o metalowe krawędzie. Łoskot i zgrzyt stał się w moich oswojonych już uszach cieniem ciszy; wleczony za traktorem, przykryty blachą nóż kładł pokos, jakby rozwijał sztukę sukna. Jaskółki znęcone przez wypłoszony rój owadów gromadziły się wokół jak mewy eskortujące statek. Pole było duże, ale powolność mojego ruchu — matka nauczyła mnie używać głównie trzeciego biegu, chociaż ojciec kosił zwykle na czwartym, podskakując i chwiejąc się niebezpiecznie — ujarzmiła je zapewniając, że gdy dotrę do odległej linii wybujałych jak drzewa chwastów, sumaków i baldaszków chińskich, dzielącej pole duże od najdalszego, powrócę z tą samą statecznością. Matka kosząc stosowała taką metodę, że najpierw okrążyła całe pole znacząc jego granice, a potem z wolna wypełniała je kanciąstą spiralą, aż w końcu pozostawał mały kawałek pośrodku, trójkąt wysokiej trawy lub klepsydra, która zmieniła się w dwa trójkąty, nim znikła zupełnie. Ja wolałem jednym ekstatycznym, prostym pociągnięciem przecinać środek, później zaś zwęzać dwie połowy, obciosując to jedną, to drugą, bawiąc się manewrami oskrzydlającym na szerokości akra i stopniowym oczyszczaniem, piędź po piędzi, nieprzyjacielskiego terenu. Naśladowałem wojnę, podczas gdy matka naśladowała miłość. W końcu nasze skoszone pola wyglądały jednakowo, z tą tylko różnicą, że na matczynym zostawało więcej zwichrzonych kęp zielska w miejscach, gdzie podnosiła nóż, żeby oszczędzić zauważone gniazdo bażantów lub wyjątkowo barwną plamę polnych kwiatów.

Czarnookie bratki, stokrotki, Inica, solidago, żółte narcyzy, których każdy kwiat przypominał maleńkiego tancerza skaczącego ze złączonymi nogami, ocierały się o koła



traktora. Rozproszone łany kwiatów skupiały się w jedną całość, jak niebo, po prawej stronie, obrotem moich kół przeobrażone w gwiazdozbiór, gdy po lewej leżały już w postaci schnącej paszy. Drobne muszki żyły w nieruchomych chmurach i chociaż moje wtargnięcie zakłócało ich spokój, nie ścigały mnie, lecz wracały do zamkniętego kręgu swoich rozmów. Pasikoniki z chrzęstem uskakiwały spod kół, motyle zrywały się ponad swój wałący się wszechświat i wahały się nad spłaszczoną trawą jak ręce niemej nałożnicy dotykające z drżeniem trupa olbrzymiego kochanka. Słońce podnosiło się wyżej. Nad metalową pokrywę silnika drgała aureola gorącego powietrza, zniekształcając wizję każdej łodygi. Piana plamiła boki traktora, a ja kołysząc się to wstecz, to naprzód na żelaznym siodełku ukształtowanym jak biodra kobiety, sam na sam z przyrodą, ukryty w jaskrawym blasku nieba jak w ciemnościach nocy, podniecony dziełem zniszczenia, nieważki, odkryłem w sobie przyptyw, który biernie znosiłem myśląc o Peggy. Moja żona jest polem.

Plamka wielkanocnej różowości, moja matka, zjawiała się na drodze, gdy zakręciłem w drugim końcu pola. Posuwałem się dalej brzegiem koszonego pasa ziemi, w kierunku matki. Zbliżało się południe. Zdawało mi się, że na głowie zamiast włosów mam siano, nagle zacząłem kichać raz za razem, każdy cal sześcienny powietrza był jak gdyby przeżroczyście nasycony pyłkiem kwiatowym; źle widząc, omal nie zmiażdżyłem dwóch przepiórek, które furknęły tuż spod kół w górę. W pierwszej chwili nie spostrzegłem Peggy i Richarda, którzy przyszli razem z matką, ani psów radośnie zataczających w pędzie wielkie kręgi. Zatrzymałem się wśród nich i wyłączyłem zapłon.

— Biedaku, czy od samego rana tak źle z tobą? — spytała matka.

— Jak to?

— Mówię o tym twoim okropnym katarze.

— Złapał mnie dopiero w chwili, kiedy was zobaczyłem.

— Kiedy nas zobaczyłeś? — Zwróciła się do Peggy: — To jest podobno psychosomatyczne.

Peggy przyniosła mi lemoniadę w staroświeckim słoju na kompoty, z drucianym uchwytem przymocowanym do szkła. Biorąc go z jej rąk postarałem się, żeby końce naszych palców się spotkały, ale nie zauważyłem żadnej zmiany w wyrazie jej twarzy, pogodnym i czujnym. Miała na sobie szorty i żółtą bluzkę bez rękawów, z ciemnymi plamami tam, gdzie obrąbek ocierał się o jej spoconą skórę. Gdy odsunąłem słoje od ust, Peggy oblizała górną wargę, nad którą perliły się kropelki potu, a ten odruch empatii zdawał się zdradzać lęk. Nie odpowiedziała na uwagę matki, lecz wpatrywała się we mnie z takim napięciem, jakby usiłowała sobie przypomnieć, skąd się znamy.

— Co robiłaś przez cały rana? — spytałem. — Czy już czas na lunch?

— Zaledwie godzinę kosisz — odpowiedziała za nią matka. — Pozmywałyśmy naczynia po śniadaniu, a teraz wzięłyśmy psy na spacer dokoła całej farmy, jak to sobie wczoraj obiecywałyśmy. Pójdiesz z nami?

— Muszę kosić.

— Dużo już zrobiłeś. Na którym biegu jeździsz?

— Na trzecim.

— Uważasz na ptasie gniazda?

— Ani jednego nie widziałem.

— Ale ja widziałam, jak wypłoszyłeś dwie przepiórki. Ile kamieni potrafiłeś?

— O jeden zawadziłem tam, blisko narożnika.

— Aha, to ten wielki głaz. Ojciec za każdym razem odłupywał z niego kawałek; można by się spodziewać, że do tej pory już się zrównał z ziemią.

— Traktory są bardzo powolne, prawda? — odezwał się Richard.

Po wyrazie jej twarzy poznałem, że matka spróbuje jakiejś ambitnej sztuki. Wyjaśniła Richardowi:

— Bo są podobne do umierających ludzi, stopy mają w ziemi zamiast na jej po-



wierzchni.

Chciała wbić we mnie głębiej haczyk swojej śmierci.

Twarz chłopca zeszywniała. Byłem zły na matkę, że tak go speszyła.

— Masz ochotę się przejechać?

Zadałem to niefortunne pytanie nie tylko w odruchu sprzeciwu, zemsty na matce. Uważam się za słabego człowieka; moja słabość przybiera czasem formę pragnienia, żeby inni ludzie wiedzieli, co mogą, a czego nie mogą osiągnąć. Toleruję jedynie w określonych granicach nacisk niedopowiedzeń. Natomiast matka czuje się w swoim żywiole w strefie aluzji, w której wszystko da się zawsze odwołać.

— Rzeczywiście, mam wielką ochotę — odparł Richard niskim, beztroskim głosem.

— Stanowczo nie pozwalam.

Gdyby Peggy tak się nie pospieszyła, matka zapewne nie broniłaby tej sprawy.

— Ależ Sammy Schoelkopf prowadził traktor, gdy był o połowę młodszy od Richarda i nie miał nawet dziesiątej części jego inteligencji — powiedziała.

— Owszem, i obciął nogi starej Mitzi — odparłem.

— Jak byłem z moim ojcem na campingu, ojciec pozwalał mi sterować motorówką na jeziorze.

— Stanowczo zabraniam.

— Mamusia wie najlepiej — powiedziała matka do Richarda, a potem zwróciła się do mnie, próbując, czy chwyciłem haczyk: — Nie chciałbyś z nami obejść granic? Boję się, że dostaniesz tutaj porażenia słonecznego.

— Nie. Będę kosił do lunchu.

Będę kosił, a matka zapozna się bliżej z Peggy: na tym polegała umowa. Wymagałem od nich trojga, żeby się do siebie zbliżyli, nie wciągając jednak w to mnie. Bałem się zagubić wśród plątaniny ich wzajemnych nieufności i miałem nadzieję, gdy matka oderwała ode mnie urażony wzrok, a Peggy zacisnęła wargi, że gniew na mnie może je połączy. Odeszli stąpając ostrożnie po świeżo skoszonym polu; Peggy była obuta w sandały, które nie chroniły jej stóp z boku, a matka szła ze spuszczoną głową, kontrolując moją robotę, wypatrując błędów — zniszczonych gniazd, zamordowanych ptaków. Richard zaczął biegać w kółko jak psy, polując na kłaczki puchu mleczów, fruujące na przemian z bielinkami-kapustnikami w powietrzu. Z dumą stwierdziłem, że obie kobiety są wysokie, tęgie. Zdawało mi się dowodem wielkiego bogactwa, że stać mnie na potraktowanie ich z góry, a to dodawało jeszcze smaku i tryumfowi mego wywyższenia między wytrwałymi kołami, które poskramiały niesforne kwiaty naginając je do konturów zżętego pola.

Po pięciu czy sześciu okrążeniach zobaczyłem ich znów wychodzących z lasu, kolorowe punkciki skocznie posuwające się w kierunku domu na horyzoncie wzgórza, które opadało ku fundamentom opuszczonej szopy na tytoń. Rozhasane psy, zwinne dziecko, ciężko stąpające kobiety; traktor powoli, szeroko brał zakręt, gdy na nich patrzyłem, i doznałem złudzenia, że ciągnę tamtych troje na mocno naprężonym sznurku.

Około południa niebo, jak gdyby omdlewając, zaczęło igrać mirażami przezroczy-
stych, błękitnawych obłoków. Pod pierwszym podmuchem pot zasechł szybko od jednej strony mego ciała, chłodząc nagle skórę. Zieleń siana nabierała brudnego tonu, w miarę jak chmurki, jedna po drugiej, zanurzały je w cieniu, a niebo nad lasem zabarwiło się posępnym, ostrym kolorem, jaki mają tapety długo ukryte za kanapą i odsłaniające się podczas wyprowadzki. Dwa malejące czworoboki nieprzyjacielskiej armii nie skoszonej trawy, rozdzielone dwudziestokrotną szerokością traktora, opierały mi się jeszcze, gdy Richard nadbiegł drogą, żeby zawołać mnie na lunch.

W rogu położonego za drogą pola, małego górnego pólka, rosła stara, wysokopien-
na grusza, z kształtu podobna do rozwichrzonej fontanny. Wiele jej konarów spróchnia-
ło i obumarło, ale skupiła cały swój urodzaj na kilku żywych wciąż gałęziach; stłoczone
gruszki, chociaż niedojrzałe, opadały w wielkich ilościach. Postawiłem traktor w cieniu
tego drzewa, na trawie usianej robaczywymi, ostro pachnącymi owocami.



Poszliśmy drogą razem z Richardem. Ojcowskie spodnie zeszytywniały w kroku, dłonie świerzbiały i były szare od ściskania rozgrzanej gumowej kierownicy, oczy miałem pełne piasku, a wszystkie te wrażenia dawały przyjemne uczucie spełnionego obowiązku, jakiego nigdy nie budzi we mnie prawdziwa praca.

— Jak się udał spacer? — zapytał Richarda.

— Bardzo był interesujący. Widzieliśmy świstaka i jakąś rzadką odmianę drozda. Twoja matka zna nazwy wszystkich rzeczy.

— Tak samo jak ty znasz wszystkich członków drużyny "Jankesów".

— To co innego, ich nazwiska są w gazecie.

— Pewnie, że jest różnica. Matka ma, zdaje się, jakieś przyrodnicze książki; mógłbyś ją o nie poprosić, jeżeli masz ochotę.

— Świetnie.

— Nigdy nie mogłem dobrze skojarzyć obrazków z rzeczywistymi okazami. Ideał przeciw rzeczywistości.

— Problem starożytnej filozofii.

— Albo też kiepskie obrazki.

— Dziś rano czytałem w tej antologii o mutantach. Była wojna atomowa.

— Znowu?

— To w innym opowiadaniu. Tym razem uratowało się mnóstwo ludzi, ale wskutek napromieniowania pomieszały się geny i większość dzieci rodziła się z jakimiś dziwnymi cechami, dlatego nazwano je mutantami. Przeważnie były to kalectwa, ale w niektórych przypadkach okazały się udoskonaleniem organizmu, jeżeli na przykład ktoś miał cztery ręce zamiast dwóch, czy coś w tym rodzaju. To może brzmi głupio...

— Nie.

— Bohaterem tego opowiadania jest chłopiec o gigantycznym wskaźniku inteligencji. Mając osiemnaście miesięcy, czyta już od deski do deski słownik, żeby opanować język.

— Ale czy umie dopasować słowa do rzeczy, które oznaczają?

Richard potraktował mój żart serio.

— Jeszcze nie skończyłem tej historii, ma osiemdziesiąt siedem stron. — Milcząc zrobiliśmy kilka dalszych kroków na zakurzonej ścieżce. Potem Richard dodał: — Mój ojciec ma bardzo wysoki wskaźnik inteligencji.

— A mamusi podobał się spacer?

— Chyba tak. Zabroniła mi rzucać kamieniami, ale twoja matka powiedziała, że to nic nie szkodzi, bylebym nie rzucał w żadne żywe stworzenie.

— Czy twoja matka wojowała z moją?

— Co proszę?

— Jak myślisz, czy dojdą z sobą do porozumienia?

— Kiedy wróciliśmy do domu, twoja matka poradziła mojej, żeby umyła nogi marylskim mydłem, bo inaczej może dostać wysypki od sumaka jadowitego.

— To mi nie wygląda na wojnę.

— Ja przecież nic takiego nie mówię.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy idąc na przełaj trawnikiem ku domowi.

— Po południu spróbuję odszukać moją miękką piłkę do baseballa i może sobie trochę postrzelamy. Lubiłem rzucać tenisową piłką o ścianę stodoły, a potem chwytać ją, zanim się odbiła od ziemi. Jeżeli się odbiła, odliczałem punkt i tak dalej.

— Można wymyślić dużo różnych gier w pojedynkę, jeżeli trzeba.

— Ja musiałem. Jesteś chyba pierwszym towarzyszem zabawy, jakiego tutaj los mi zesłał.

— A Charlie?

— Nie liczę moich dzieci.

— Szczerze mówiąc, wolałbym pomóc ci w koszeniu.

— Pogadamy o tym.



Doszliśmy do pompy. Jaka piękna jest woda! Nic w świecie, ani sycenie żądzy, ani oglądanie krajobrazów, nie zaspokaja w nas głębszej istoty tak jak gaszenie pragnienia. Piłem z blaszanej miarki, którą matka kiedyś przez nieuwagę zostawiła tu na ławce i która później, uświęconym przez czas zwyczajem, stała się nieodłącznym rekwizytem na tym miejscu. Jej naznaczone podziałką ścianki zmieniły się dla moich ust w ściany pieczary, w której szeleścił mój oddech i kołysała się zimna studzienna woda. Przez zamknięte powieki niebo świeciło czerwono; chętnie bym się utopił. Wdzięczność dla żywiołu weszła ze mną pod dach domu i objęła kobiety przygotowujące lunch w kuchni. Warkoczyki Peggy rozplotły się, włosy splotywały swobodnie. Bose stopy, świeżo umyte, odciskały wilgotne ślady na podłodze. Matka w tej wspólnocie gospodarskich zajęć stała się jej uległą i głupszą siostrą.

Nakrywała stół serwetkami z rafii, podczas gdy Peggy nagimi, zwinnymi rękoma układała na owalnym niebieskim półmisku plastry sera i lebanońskiej kiełbasy. Półmisek należał do serwisu, który matka skompletowała, sztukę po sztuce, na wtorkowych wieczorach dla pań w kinie w Olinger, jeszcze przed wojną. Dom matki miał ten dziwny przywilej, że wszystko tutaj trwało wiecznie: nigdy nie stłukł się ani jeden talerz. Czułem, że matka drży, gdy Peggy energicznie stawiała talerze i szklanki na stole. Odchrząknąwszy matka powiedziała:

— Kiedy byłem zatrudniona w fabryce spadochronów, obok mnie pracowała pewna ruda dziewczyna, która krajała i szyła trzy razy prędeej ode mnie. W dniu lądowania naszych wojsk we Francji kazano nam wziąć się za ręce i modlić, a ja trzymając jej rękę miałam wrażenie, że schwyciłam ptaka; wicie, jak ptakowi serce bije, jaki się wydaje suchy, zgorączkowany. Nic dziwnego, że tak prędko szyła. Po prostu przeraziła mnie.

— Może to pani ją przeraziła! — roześmiała się Peggy.

Matka zakłosała ramionami i podniosła brwi, jak zwykł robić dziadek, gdy ktoś mu się przeciwstawił.

— Prawdę mówiąc, może tak było. Dopóki mnie nie spotkała, nie wyobrażała sobie nawet, że człowiek może tak się guzdrać. Teraz przypomniało mi się, co kiedyś powiedziała, że z początku brała mnie za uchodźczynię z Europy. Kiedy mnie zobaczyła po raz pierwszy, pomyślała, że jestem cudzoziemką, i dziwiła się tylko, że tak dobrze mówię po angielsku.

Richard roześmiał się, może trochę zbyt pochopnie, więc żeby zatrzeć wrażenie, spytałem:

— I co się potem z nią stało?

— Sama nieraz się nad tym zastanawiałam — odparła matka. — Obawiam się, że nic dobrego. Miała dziecko, chociaż była niezamężna i jeszcze nie skończyła dziewiętnastu lat. Z takim tętnem sądzone jej było chyba burzliwe życie. Zupełnie jak u ранego szpaka, zawrotna szybkość.

Mimika matki niepokoiła mnie, zauważyłem, że nabrała zwyczaju wytrzeszczania oczu przy końcu każdej wypowiedzi, jak to robią starzy ludzie w Pensylwanii. U dziadka ten retoryczny efekt wzmacniały jeszcze grube szkła okularów, które nosił po zdjęciu zaćmy.

— Zupa na stole — oznajmiła Peggy napełniając talerze. Obłok pary wspinał się wzdłuż jej ramion i owiewał włosy. Z trzaskiem odstawiła z powrotem na piec garnek i siedliśmy do stołu. Mieliśmy rosół z kury z ryżem. Siedząc na miejscu mego ojca za- pytałem Peggy ojcowskim tonem:

— Obejrzałaś dzisiaj rano całą farmę?

— Jest urocza — powiedziała Peggy i odwróciła się lekko do mojej matki, żeby ją wciągnąć do rozmowy. — Cieszę się, że poznałam jej granice. Wczoraj wieczorem miałam wrażenie, że jest olbrzymia, ale w świetle dziennym już nie wydaje się zbyt wielka.

— Jest w sam raz wielka — powiedziała matka przytakując gorliwie, jakby chciała potwierdzić spostrzeżenie Peggy, nim się ono rozwieje. — Idealne rozmiary. Pan Bóg z pewnością nie chciał, żeby ludzie żyli na kawałku ziemi mniejszym niż osiemdziesiąt



akrów.

— Według statystyki większość jednak żyje na mniejszych — powiedział Richard.

— Wiem — odparła matka. — Zasmuca mnie ta myśl. Nie rozumiem, dlaczego mnie przypadł tak szczęśliwy los. Na pewno nie zasłużyłam na to.

Czekała, żebyśmy zaprzeczyli.

— W roku dwutysięcznym setnym — powiedział Richard — na każdego człowieka wypadnie mniej więcej trzy stopy kwadratowe ziemi pod nogami, włączając pustynie i szczyty gór.

— Wiem — powiedziała matka, a ja w głębi serca przestraszyłem się fanatyzmu brzmiącego w jej głosie. — Widzę, że to nadchodzi. Wystarczy przyjrzeć się ludziom w Alton, hoduja sobie kanty, żeby lepiej pasować do swoich ciasnych prostokątnych ogródków. Ludzie powinni być okrągli.

— Czytałem niedawno historię — powiedział Richard — w której ludzie mieli kształt stożkowaty, a wszystkie drzwi były trójkątne.

— Platon mówi — odparła chłopcu moja matka — że Bóg stworzył ludzi doskonale kulistych, z czterema rękami, czterema nogami i dwiema głowami, i że te istoty umiały się toczyć, dokądkolwiek chciały, z zawrotną prędkością. Ludzie byli wtedy tak szczęśliwi i potężni, że Bóg, pod wpływem zazdrości, rozszczepił ich na połowy, troszkę różniące się od siebie; teraz każdy szuka brakującej połowy. Na tym polega miłość.

— A jaka była między nimi różnica? — spytał Richard.

— Bardzo niewielka — odpowiedziała matka.

— Pani ma na myśli członek?

Za moich dziecinnych lat nie używało się tego słowa, zastępując je, jak przypominam sobie dziś ze zdumieniem, nie istniejącą w słowniku nazwą "animula". Pamiętam, jak matka powiedziała kiedyś, gdy ojciec i ja ubieraliśmy się rano, a ona leżała w łóżku: "Moi mężczyźni mają takie duże animule". Wyczułem, że jej udany lęk był częściowo szczery, co zdawało się niedorzeczne, bo mój członek nie był wówczas większy od wielkiego palca, a ojcowskiego nigdy nie oglądałem. Richard zgorszył moją matkę.

— Tak — potwierdziła.

— Są prócz tego różnice psychologiczne — powiedziała do Richarda Peggy.

Matka, która lubiła sama rozwijać swoje tematy, oznajmiła:

— Nigdy w to nie wierzyłam. Twarda sztuka ze mnie. Wierzę tylko w to, co mogę zobaczyć i dotknąć.

— I w Boga — powiedział Richard.

Matka, zaskoczona, gwałtownie wysunęła naprzód głowę i jak gdyby chcąc uzasadnić ten gest, wzięła z półmiska dodatkowy plasterek wędliny.

— W Boga?

— Rozmawialiśmy o tym przed przyjazdem. Joey mówił, że pani wierzy w Boga.

— A ty nie?

Richard spojrzał na nas, na Peggy i na mnie, szukając pomocy, która nadeszła jednak z innej strony, od mojej matki.

— Widzę i dotykam Boga nieustannie — powiedziała. Richard znów miał oczy jak żaba wytrzeszczone, błyszczące i zafascynowane, gdy na nią patrzył. Matka ciągnęła dalej: — Gdybym nie widziała go i nie dotykała tutaj, na wsi, gdybym mieszkała w Nowym Jorku, nie wiem, czybym wierzyła, czy nie. Rozumiesz, dlatego właśnie jest bardzo ważne, żeby farma istniała nadal. Inaczej ludzie mogliby zapomnieć, że jest coś oprócz kamieni, szkła i kolei podziemnej.

— W Nebrasce jest bardzo dużo farm — powiedział Richard.

— Nie mieszkam w Nebrasce.

— Jadąc szosą widzieliśmy po drodze mnóstwo farm.

— Nic mnie te farmy nie obchodzą. Obchodzi mnie moja farma.

Dziecko, w niemym wysiłku zacinając wargi, trafnie umiejscowiło tę sprawę nie w krajowej skali zagadnień ubytku ziemi uprawnej, lecz w osobistej skali mojej matki.



Richard wrócił więc do pierwszego pytania, stawiając je nieco inaczej.

— Jaki można by z niej zrobić użytek?

Matka, patrząc na Richarda, wskazała na mnie.

— On mówi, że tereny golfowe wymagałyby zbyt wielkich nakładów.

— W okolicach, gdzie zawiózł mnie mój ojciec, było dużo terenów utrzymywanych w stanie dzikim jako rezerwat ptasi. Ale tam było też jezioro.

— Moglibyśmy tutejsze tereny nazwać rezerwatem człowieka — powiedziała matka.

Richard wyszczerzył zęby, z regularną szparą pośrodku, jakby gotów roześmiać się, ale nie wydał żadnego dźwięku.

— Byłoby to miejsce — ciągnęła matka — gdzie ludzie mogliby przyjeżdżać, stawać się jak ja uchodźcami na godzinę czy dwie, ścierać sobie kanty i odzyskiwać krągłość.

Ten nadmiar pomysłowości, który fascynował chłopca ukrytym tonem rozpacz, był dla mnie patetyczny i denerwujący nie do zniesienia.

— Matko — powiedziałem — oceniasz przesadnie brak wolnej przestrzeni. Gdybyś zobaczyła kraj z samolotu, przekonałabyś się, ile jej jeszcze mamy. Ziemia jest tania, dopóki ludzie jej jakoś nie zagospodarują.

— Bądź cicho! — odparła. — My z Richardem planujemy urządzenie rezerwatu ludzkiego. Ja będę tam, pod gruszą, sprzedawała bilety wstępu, a Richard, jako kustosz, będzie znaczył ludzi chorych, przeznaczonych na zagładę.

— Dziwny rezerwat — odezwała się Peggy. — Podobny do obozu koncentracyjnego.

— Peggy — zwróciła się do niej matka z oczyma nagle pełnymi łez i błyszczącymi odbiciem światła — ludziom trzeba mówić, kiedy przestają się już nadawać do życia, nie można tego pozostawiać ich domyślności, bo nikt sam o tym nie wie.

Wstała od stołu, wyszła z kuchni zatrzasnąwszy za sobą żaluzjowe drzwi, a jej różowa bluzka klóciła się z zielenią ogrodu.

Przez całe popołudnie mnożyły się sygnały zapowiadające burzę. W przezroczystych obłokach utworzyły się gęste jądra, a wiatr, który się zerwał, znosił je w bok. Zapomniałem, jak dramatyczne bywają obłoki w tej górzystej krainie, i podziwiałem je teraz z wyżyn traktora. Ukośne smugi słońca, cienia i oparów spływały ku ziemi z świetlistych fortów cumulusów rozproszonych jak gdyby strategicznie po złudnym napowietrznym kontynencie; widowisko miało wielkie historyczne wymiary, toteż uniki, zaćmienia i kombinacje różnych typów chmur nasuwały myśl o politycznych sytuacjach: lekki, pierzasty obłok grał rolę arystokraty, demagogiczne czoło burzy przeciwstawiało się parlamentowi drobnych baranków wypełniających niebo. Wybuch gniewu czy może rozżalenia mojej matki zawisł ciężko nad popołudniem. Gdy drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, Peggy spytała:

— Czy ja powiedziałam coś złego?

— Nie wiem. A ty wiesz?

— Co ja takiego powiedziałam?

— Nic takiego. Mówiłaś, co myślałaś.

— Czy to źle? Mnie się zdaje, że ona świadomie postanowiła wziąć to za wycieczkę osobistą.

— Gdy się ma do czynienia z moją matką, wszystko staje się osobiste.

— Gdybym nie powiedziała właśnie tego, znalazłaby inny pretekst, jakikolwiek. Zmienia nastrój co chwila, posługuje się swoimi humorami jak bronią.

— Ktoś tak ciężko chory jak ona musi posługiwać się każdą dostępną bronią.

— Czy mogę pójść i zapytać, o co się pogniewała? — spytał Richard.

— Możesz, jeżeli chcesz — powiedziałem, zaskoczony i wzruszony, że zgłaszał się tak na ochotnika. W jego wieku także uważałem za swój obowiązek przywracanie zgody w rodzinie; właściwie ta moja rola skończyła się dopiero ze śmiercią ojca. — Ona lubi opowiadać ci o farmie.

— A ja lubię jej słuchać. Podoba mi się tutaj. — Zerknął na Peggy, odwrócił się i ku-



chenne drzwi trzasnęły po raz drugi, tym razem za Richardem.

Peggy zabierając się do sprzątanania ze stołu spytała:

— Co mam robić?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Co mam robić, co robić przez całe popołudnie? Jak przebrnąć do końca tej okropnej wizyty?

— Rób, co chcesz. Poczytaj jakąś książkę. Poleż na słońcu. — W koalicji chmur powstał wyłom i potop słońca zalał skrawki zieleni, które widziałem przez szybę w kuchennych drzwiach: murawę w sadzie, trawę zbitą w kępki przy dwóch płaskich kamieniach u wejścia, zwisającą gałąź orzecha, mizerny krzak hortensji, od kilku miesięcy już przekwitły.

— Nie wiem — powiedziała odgarniając włosy z czoła. — Wszystko to wydaje się za bardzo skomplikowane.

— Za bardzo? — spytałem. — Spróbuj po prostu zdobyć się na trochę taktu.

Nie mogłem niczym usprawiedliwić swojego gniewnego tonu. Za siatką w drzwiach ukazała się twarz Richarda.

— Mamo, idę plec z panią Robinson — zawołał. — Naucz mnie odróżniać chwasty. Będziemy w warzywniku za sadem.

— Uważaj, żeby ci słońce nie przepaliło głowy — powiedziała Peggy.

Nad twarzą Richarda zjawiała się twarz mojej matki. Poprzez siatkę rysy zdawały się zatarte, była to jak gdyby głowa bogini odnaleziona w morzu.

— Nie zważaj na mnie, Peggy — zawołała. — Miałaś rację z tym obozem koncentracyjnym. To przez ten mój teutoński zmysł porządku. Odstaw tylko talerze, już ja potem wszystko pozmywam.

Ich kroki zastukały na werandzie. Peggy sięgnęła poprzez mnie po talerz i pogłaskałem jej pierś, zmalął skutkiem naprężenia mięśni ramion.

— Nareszcie sami — powiedziałem. — Chcesz?

— Pachniesz sianem. Będę kichać.

Wyczułem w jej ciele niechęć, więc zostawiłem ją w spokoju i wróciłem do koszenia wśród obłoków.

Sielanka kosiarza stawała się męcząca, w miarę jak dzień upływał, dłużąc się bardzo. Gdy zdawało mi się, że już minęła połowa popołudnia, zaszedłem na werandę, żeby napić się wody, i tykający w pustym domu zegar powiedział mi, że jest dopiero dziesięć minut po drugiej. Naczynia były pomyte i sprzątnięte. Za domem, od frontu, gdzie trawa była zawsze miękka i łatwiejsza do koszenia, Peggy leżała na indiańskim kocu w kostiumie bikini i spała.

— Śpisz?

— Nie.

— Dobrze ci?

— Tak sobie.

— Gdzie moja matka i twój syn?

— Mieli przecież pleć w ogrodzie.

— Nie widziałem ich nigdzie.

— Gdzieś muszą być.

— Nie chodziłaś do nich ani razu, żeby z nimi pogadać?

— Ledwie pół godziny temu wyszłam z domu. Zmywałam i sprzątałam. We wszystkich kątach pełno pajęczyny. Czy ona nigdy nie zamiata?

— Miała bardzo energiczną matkę, więc sama pewnie nie nabrała zwyczaju zajmowania się domem.

— Dlaczego zawsze znajdujesz dla niej usprawiedliwienie?

— To nie usprawiedliwienie. Racjonalne wyjaśnienie, jak by powiedział Richard.

Moja żona leżała dotychczas twarzą ku ziemi, z włosami zgarniętymi znad karku, jak gdyby spadała w przestworzach; teraz odwróciła się na plecy tak, że brzuch jej za-



jaśniał w słońcu, a porośnięte puszkami ramię przesłoniło oczy. Wargi jej rozchyliły się pod działaniem słońca wpijającego się w skórę.

— Kocham cię — powiedziałem.

Rozchyliła uda tak, że widziałem wymykające się kędzierzawe kosmyki bursztynowych włosów na jej łonie. Piękne ciało, którego nagość ledwie zakłócały dwa związane strzępki liliowego kretonu w kropki, drgnęło nagle, jak rozdrażnione dziecko pod dotknięciem czyjejś ręki. Nie ośmieliłem się jej dotknąć. Nie zdejmując ramienia z oczu powiedziała:

— Nie dajesz mi tego odczuć tutaj. Jesteś taki... jak by to określić?... czynny. Czuję, że przez cały czas emocjonalnie krzątasz się koło nas wszystkich, i przez to jeszcze pogarszasz sytuację.

— Nie wiedziałem, że jest zła.

— Oczywiście, że jest zła, i z góry to przewidywałeś.

— Richard, o ile zauważyłem, bawi się doskonale.

— Ona stara mu się przypodobać, bo myśli, że w ten sposób mnie dokuczy. A poza tym brakuje mi papierosów i zbliża się miesięczna klęska.

— Masz tampaxy?

— Nie. Tego też mi brak. Przyszło za wcześnie, nic z sobą nie wzięłam.

— Może matka ma coś takiego.

— Mój chłopcze, takich cudów nawet po niej nie możesz się spodziewać.

Zaczerwieniłem się i przypomniałem sobie, że przed dziesięciu laty Joan w takim samym kłopotcie pożyczyla by tampax od mojej matki. Jako dziecko w Olinger dostałem kiedyś burę za to, że bawiłem się koło śmietnika tymi białymi wałeczkami. Teraz stałem z głupią miną w workowatych ojcowskich spodniach i mimo wszystko ogarnęła mnie władcza chęć obdarzenia mojej żony dzieckiem, by w ten sposób zahamować krwawienie.

— Powiem jej — odezwałem się — że musimy zorganizować mały wypad do sklepów. Prawdopodobnie trzeba też kupić coś do jedzenia.

— Zdaje mi się, że na milę mniej więcej przed skrętem w waszą drogę mijaliśmy jakiś sklepik.

— Tak. Sklep Hartza. Prowadzi go menonita, więc nie sprzedają tytoniu. Papierosów nie dostaniemy bliżej niż o pięć mil stąd w kierunku Alton, u Potteigera w Galilee.

— Galilee?

To słowo, powtórzone przez nią, rzuciło na mnie czar. Świat zamienił się w puchar, z którego przelewało się światło. Podniosłem wzrok i zaskoczył mnie widok łąki i drzew rosnących między ogrodem a łąką (była tam młoda akacja, czarny orzech i srebrny świerk, nigdy nie wyższy ode mnie), zieleni trawnika zanurzonej w lśniącej ciszy, w doskonałej, widzialnej ciszy, jak oktawa odpoczynku w biegu zdarzeń; każdy polewany liść, każde posrebrzane źdźbło wchłaniało sierpniowy blask z taką precyzją, że serce zaczęło mi bić zdwojonym tempem, jakby przeszyte strzałą. Potem wizję tę z lekka zakłóciły, docierając do mej świadomości, głosy owadów i ptaków, tworzące stały akompaniament wiejskiej ciszy.

Słońce się skryło. Peggy miała wciąż oczy zasłonięte ramieniem. Drogą przejechał samochód pocztowy, wzbijając kłęb różowego pyłu. Pobiegnę do skrzynki, ale nie znalazłem w niej nic prócz jakichś drukowanych okólników przeznaczonych dla wszystkich właścicieli skrzynek pocztowych oraz koperty z celofanowym okienkiem zaadresowanej do mojej matki przez doktora I. A. Graafa. Matka z Richardem nadchodziła z głębi sadu; byli w górnej części pasma lasu oddzielającego naszą ziemię od rozparcelowanych terenów, przygotowanych pod budowę domów mieszkalnych. Poszedłem na przełaj dolnym sadem, żeby oddać matce pocztę i przedyskutować sprawę jazdy po zakupy.

— Widzieliśmy przed chwilą lisie bobki — oznajmił Richard. — Są ciemniejsze i rzadsze niż bobki świstaka.

— Lisy znów się rozmnożyły — powiedziała matka. — Zjawiają się gromadnie na



przemian z bażantami. Teraz mamy erę lisów. Przed pięciu laty bażanty podchodziły tuż pod kuchenne drzwi. — Spojrzała z ukosa na tę stronę domu, gdzie leżała Peggy. — Mam nadzieję, że Sammy Schoelkopf nie wyciągnął swojej lunety.

— To ja namówiłem ją na kąpiel słoneczną — powiedziałem. — Pozmywała naczynia i sprzątnęła duży pokój na dole.

— To pięknie! — Matka zaśmiała się beztrudno i odchyliła głowę do tyłu, jakby chro- niąc ją od mojego surowego tonu. — Pięknie. Jestem zawsze zwolenniczką natury, im bliżej do niej, tym lepiej.

— Brakuje nam papierosów.

— Myślałam, że rzuciłeś palenie.

— Rzuciłem. Ale Peggy pali.

— Powinieneś jej to wyperswadować, od tytoniu zęby ciemnieją.

— Mamusia nigdy się nie zaciąga — powiedział Richard. — Mój ojciec śmieje się z jej sposobu palenia.

— Kiedy ma okazję widywać ją z papierosem i wyśmiewać? — zapytałem.

— Jak po mnie przychodzi i potem, jak mnie odprowadza do domu.

— Peggy potrzebuje też pewnych kobiecych rekwizytów — powiedziałem zwracając się do matki.

— Ach, tak?

— Ktoś więc musi wybrać się do sklepów. Czy lubisz jeszcze wciąż prowadzić sa- mochód?

— Jeżdżę tylko tyle, ile koniecznie trzeba. Od czerwca boję się ataków. Nie mam nic przeciw temu, żeby opuścić ten świat z trzaskiem, ale wydaje mi się, że byłoby nieład- nie narażać z mego powodu inne samochody.

— Dobrze, więc ja poprowadzę. Czy potrzeba nam jakichś prowiantów?

— Pewnie tak. Zajrzę do lodówki i naradzę się z Peggy.

Mówiła "lodówka", chociaż na farmie była chłodnia elektryczna, i ta nazwa przenio- sła mnie z powrotem do Olinger, w świat dzieciństwa, gdzie każdy wyjazd miał podnie- cający smak przygody.

— Zorganizuj wyprawę — powiedziałem. — Kto ma ochotę, może jechać. Ja będę kosił, póki nie będziecie gotowi do drogi.

Matka położyła dłoń na moim czole badając jego temperaturę.

— Nie przemęczaj się, proszę. Pamiętaj, że teraz jesteś mieszczuchem.

— Czasem, kiedy mnie odprowadzał — powiedział mi Richard, naiwnie dumny, że go nie zlekceważono — zostawał u nas na noc, a rano jadł z nami śniadanie.

Odeszli ku domowi. Matka schyliła się, żeby z wysokiej trawy podnieść motykę. Peggy wstała z koca na ich powitanie. Może tylko uroiłem sobie, że gdy tak stała wy- prostowana, lekki ruch, jakim wysunęła naprzód biodra, był bezwstydnym, a gest, jakim odrzuciła z czoła włosy — arogancki. Pierwszego jej męża widziałem jeden jedyny raz w życiu, w New Haven, kiedy wstąpiliśmy do niego po Richarda wracając z Truro po mio- dowym miesiącu, który trwał dwa tygodnie, w tym dziesięć dni deszczowych. Nadgniłe schody prowadzące z plaży na piaszczyste urwiska wydawały mi się drabiną Jakubową, a różnorodność gładkich kamyczków — cudem; mżawka zacierała kontury naszych ciał dla wszystkich, lecz nie dla nas dwojga, i byłem nieostrożnie szczęśliwy, tak szczęśliwy, gdy Peggy zasnęła obok mnie w małym wynajętym domku, rozszepczanym w deszczu i zaopatrzonym w trzciniowe fotele, powieści kryminalne w wydaniu z lat wojny, popiel- niczki z muszel, tak szczęśliwy, że moje serce jak gdyby przekraczało granice wyzna- czone radości i błąkało się poza nimi, po ciemnościach zewnętrznych, gdzie wszystko nieuchronnie znajduje swój kres. Nasze krótkie wakacje skończyły się właśnie. Ojciec Richarda, McCabe — zawsze tak go nazywała, nie wymawiając nigdy imienia — był zastępcą dziekana na uniwersytecie Yale. Gotowy zniechęcić go, zaskoczyłem sam siebie, bo poczułem do niego sympatię. Wzrostu był nie większego niż Peggy, silny, nie- śmiały, łysawy, miał sposób bycia nerwowy, lecz zarazem miły, typowy dla urodzonego



akademika. Moja matka pragnęła, żebym był poetą, a gdyby to się okazało niemożliwe, nauczycielem; ostatecznie zawiodłem obie jej nadzieje. McCabe reprezentował to, czym mógłbym się stać. Odznaczał się nienaturalnie młodzieńczym wyglądem. Uprawiając tenisa i palanta wyrobił sobie sprężyste, energiczne ruchy. Niezwykle intensywna czerwień ładnie zarysowanych warg nasuwała mi wyobrażenie wampira pasożytującego na swoich uczniach. Podobnie jak Richard miał sympatyczną szparę pośrodku zębów i oczy ciemne, chmurne, niewesołego brązowego koloru, jakby gotowe każdej chwili wypełnić się dziecinny rozżaleniem. Nawyk do udzielania wywiadów, nabyty w zawodowej praktyce, objawił się w rozmowie z nami w postaci najgorliwszej uwagi potwierdzanej, w momentach gdy głos Peggy ze zdenerwowania wpadł w za wysoki ton, niespokojnym skrzętem przegubów w mankietach koszuli. Jego zachowanie wobec byłej żony było wprawdzie życzliwe i zrównoważone, ale przede wszystkim zdawało się ostrożne.

Spotkanie to wzbudziło we mnie chęć lepszego zrozumienia, kto właściwie w tym małżeństwie zażądał rozwodu. Dotychczas wyobrażałem sobie, że decyzję powzięła Peggy. Peggy domagała się wolności, walczyła o nią; teraz jednak niewesoły błysk w okrągłych brązowych oczach dziekana McCabe'a nasunął mi niepokojąco sprzeczne przypuszczenie, poparte jeszcze zagadkową wymową pożegnalnego uścisku dłoni. Zdawało mi się, że McCabe za wiele usiłuje wyrazić w tym krótkim zetknięciu rąk: żal, przebaczenie, własną godność rywala, ulgę, że okazałem się nieszkodliwy, wdzięczność, nienawiść... Co jeszcze? Nigdy nie mogłem dowiedzieć się od Peggy, co mu właściwie zarzucała. Po prostu nie dobraliśmy się temperamentami. Ja pierwsza to zrozumiałam, a McCabe przyznał mi rację. Ale na co się, ściśle mówiąc, uskarżałaś? Czy był okrutny? Może kobieciarz? Nie, właściwie nie. Właściwie? Nie, dopóki go sama do tego nie doprowadziłam. Tyś go do tego doprowadziła? Bezwiednie z początku. Przygładziła włosy. Może był impotentem? Oczywiście nie. Nie bądź niemądry, Joey. Jej zaprzeczenia wydawały mi się zbyt gorliwe, jakby były beznamiętnym odruchem, mechanicznie wyzwalanym przez nawyk samoobrony. Nie żądałem przecież, żeby mi powiedziała, że nigdy z sobą nie żyli jak mąż z żoną. A może tego chciałem? W czym więc zawiodłaś się na nim? Nie wiem. Nie umiem tego wyrazić. Nie czułam się z nim naprawdę kobietą. A co ze mną? Oczywiście tak. Dlaczego? Bo ty zachowujesz się, jak gdybym była twoją własnością. To jest cudowne. Żaden mężczyzna nie może tak postępować świadomie. Trzeba to po prostu mieć w sobie. A on nie miał? On był zarozumiały i nieśmiały. Byłam dla niego ciężarem. Lubił książki i męskie towarzystwo. Czy dlatego nie ożenił się powtórnie? Wystarczyłoby odpowiedzieć: tak, ale Peggy odpowiedziała mgliście: Częściowo dlatego, a także, jak myślę, ponieważ mu się zdaje, że jeszcze jest we mnie zakochany.

Chmury otaczające jej rozwód przemieniły się w chmury, pod którymi poruszałem się kosząc pole. Niebo, przedtem podobne do ufortyfikowanego kraju i do areny politycznych manewrów, teraz skłaniało się do wyjawienia anatomii martwego związku małżeńskiego: świetliste ramię przerzucone we śnie w poprzek zniekształconej piersi, posępne kłębowisko chmur deszczowych przypominało spierających się adwokatów, wyostrzony ton głosu Peggy zbyt piskliwie odbijał się od pięciokątnej plamy błękitu. Staralem się odpędzić myśl, której sprzyjała wytworzona przez matkę atmosfera, że byłem durniem i że McCabe odniósł się do mnie z politowaniem i kpina. Jeżeli spała z nim już po separacji i po rozwodzie, mogło to znaczyć jedno tylko: że chciała go odzyskać i że ostatecznie on do niej nie chciał wrócić.

Usłyszałem sygnał samochodu.

Matka wyprowadziła na drogę starego ojcowego chevroleta. Zaparkowałem traktor pod gołym niebem i strzepnąłem sieczkę z koszuli. Richard siedział na przednim miejscu obok mojej matki.

- Gdzie Peggy? — spytałem.
- Wolała zostać. Chcąc jechać musiałyby się przebrać.
- A zapraszałaś ją grzecznie?



— Bardzo grzecznie. Prawda, Richard?

Matka ustąpiła mi miejsca przy kierownicy.

— Powiedziała — rzekł Richard — że wolałaby zostać, jeżeli nie jest nam koniecznie potrzebna.

Obojgu im nie ufałem.

— Nieładnie, że nie chce nam dotrzymać towarzystwa. Czy to dobrze, że zostanie taka sama tutaj?

— Dajże spokój — powiedziała matka. — Przecież wrócimy za kwadrans. Ma zresztą psy do obrony. Ja tkwiłam tu samiuteńka dzień w dzień przez siedem lat, a w ostatnim roku także noc w noc, i nikt mnie nigdy nie napastował.

— No wiesz...

— Wiem, chciałeś powiedzieć, że przedstawiam mniej pokus, czy tak? — Była podniecona i śmiała. Nim zdążyłem ją ułagodzić, dodała: — Dlaczego w takim razie nie miałbyś zostać z nią, a wysłać mnie z Richardem, chociaż nie wyobrażam sobie, co w sklepie pomyślą, gdy zażądam paczki tampaxów. Zresztą, nie szkodzi, w Galilee i tak mają mnie za wariatkę. Muszę ci powiedzieć, że Peggy robi na mnie wrażenie osoby, która z nas wszystkich najlepiej umie sobie radzić.

Usiadłem obok niej, popuściłem sprzęgło, ale ponieważ byłem wciąż jeszcze nastawiony na prowadzenie traktora, poderwałem stary wóz gwałtownie i niezgrabnie. W jego mechanizmie zdawał się jeszcze żywy styl mojego ojca, pełen rozmachu i roz-targnienia. Pojechaliśmy polną drogą do brukowanej lokalnej, a potem znów na stanową szosę, która nas poprzedniego dnia przywiodła z autostrady na południe. Szosa ta ciągnęła się dalej do Alton. Ujechaliśmy milę po bitej drodze, którą zawsze jeździliśmy, gdy otworzyła się przed nami nowa czteropasmowa autostrada, przecięta pośrodku szaroniebieskim pasem żwiru. Na białych słupkach osadzone były tablice odbłaskowe o kształcie zwornika. Między gładko rozłupanymi skarpami czerwonej skały autostrada wcinała się we wzgórze, które stara droga okrążała, jechaliśmy więc do Alton zupełnie dla mnie nowym szlakiem. Była to czarodziejska jazda. Zdawało się, że mkniemy nie dotykając ziemi.

— Gdzie teraz jesteście? — spytałem.

— W głębi farmy Benjy'ego — odparła matka. Benjy Hofsteter był kuzynem jej i moim. — Władze stanowe zapłaciły mu dobrą cenę — dodała z dumą.

Okolica, przez którą tak często jeździliśmy z ojcem, do szkoły i z powrotem, zniknęła; zakrzewione skręty, nagłe zmiany znajomych perspektyw, ściany stodół oblepione reklamami, które rozwijały się w sekwencjach wzdłuż spirali naszej pielgrzymki, zastąpiono teraz przez migające zamazane obrazy spłowiełej dzikiej trawy i rozmiękłej gliny. Matka wcale nie czuła się tak zagubiona w tym jak ja, przeciwnie, poweselała jakby i tłumaczyła mi, że wobec tej zmiany w sieci dróg jedzie się obecnie równie długo do bliższego Galilee jak do ośrodka handlowego na peryferiach Alton.

Na życzenie matki pojechaliśmy więc do tego ośrodka. Pstra obfitość towarów, wszędobylska muzyka, surrealistyczne skupienie samochodów sprawiały, że wysiadając z zakurzonego ojcowego chevroleta poczułem się jak gość z krainy umarłych. Pamiętałem ten kawałek ziemi jako miejskie wysypisko śmieci, usiane nisko pełgającymi, cuchnącymi ogniskami i kępami rdzawego zielska. Ale supermarket niczym nie śmierdział, bo nawet rzepę sprzedawano w celofanowych torebkach, a powietrze tchnęło jednolitym i trochę kwaskowym chłodem plastyku. Łapczywość, z jaką matka i Richard wydawali w tym sklepie moje pieniądze, drażniła mnie. Gorączkowałem się, żeby wracać do Peggy, w strachu, że wskutek jakiegoś okrutnego zaburzenia w biegu czasu Peggy postarzeje się albo zniknie, a mnie nic nie zostanie prócz bieżącej chwili, prócz tego żalostnego echa mojej matki, prócz tego zachłannego chłopca, który uosabiał dawnego mnie, prócz tego miejsca przeładowanego jaskrawą tandetą i tej nędznej obfitości.

Richard i matka ociągali się, kolejki przy kasach były długie, a gdy wreszcie nasze paczki załadowaliśmy do samochodu, przyszło mi na myśl, że Peggy wieczorem wypła-



by zapewne chętnie szklaneczkę džinu na pokrzepienie. Sklep z napojami alkoholowymi, należący do stanu, znajdował się po drugiej stronie parkingu. Smoła mięknać wykrzywiła malowane na jezdni linie we wszystkich kierunkach. Richard poszedł z moją matką do drugstore'u kupić okulary przeciwsłoneczne. Nasza nieobecność przedłużała się irytująco. Zanim wrócimy do domu, upłynie z górą godzina od chwili wyjazdu. Pędząc z powrotem szeroką białą szosą, której magia wydawała mi się już przestarzała, wspominałem swoją żonę w momentach cierpienia. Przywołałem na pamięć okres, o którym wolałbym zapomnieć, dwa lata mojej rozterki narażającej ją na serię zawodów i upokorzeń. Widziałem ją znów taką, jak pewnego bladego niedzielnego ranka w początku marca, po męczącej sobotniej nocy, podczas której pierwszy raz wyznałem wszystko Joan, i gdy spotkałem się z Peggy w Parku. Richard jeździł tam i z powrotem alejką na gwiazdkowym rowerze, który przez skąpstwo kupiła na wyrost. Powiedziałem jej, że przyrzekłem Joan odczekać pół roku przed powzięciem decyzji i że w ciągu tych sześciu miesięcy nie możemy się widywać, inaczej umowa straciłaby wszelki sens. Peggy przytakiwała, przytakiwała, wyrażała skinieniem głowy zgodę, jak gdyby uznając, że nie ma innego wyjścia, pochwalając mój rozsądek, moje miłosierdzie wobec Joan, moje samozaparcie, toteż osłupiałem, gdy nagle przylgnęła twarzą do mego ramienia i z ustami wciśniętymi w materiał mojego płaszcza krzyknęła: "Idź już, idź, Joey!", a burza łez spływających mi po szyi miała gwałtowność sztormu, i zrozumiałem, że Peggy nie okłaskiwała mojego zwycięstwa nad miłością do niej, lecz sama jest tą miłością, odnajduje siebie jedynie w mojej miłości i teraz czuje się unicestwiona, widzi przed sobą ten ginący w wieczności obszar czasubez spotkań ze mną, obszar (szara alejka, garstka wiernych spieszących do kościoła, czarne sylwetki wśród roztopów, zarysy drzew miękące od pierwszych pączków, murzyńskie niańki w przezroczystych kaloszach), którego ja, nagle to pojąłem, dotychczas nie ogarnąłem wyobraźnią. Przypominałem ją też sobie nagą, wspartą w łóżku wysoko na poduszkach, tak że ramiona i smukła szyja rysowały się na tle rozpuszczonych włosów rozświetlonych blaskiem miasta, płynącym zza okna, w którym górne szyby były niebieskie, i jej głos, nagle osłabły, jękający: "Czy zapomnisz mnie?". Czy następnego ranka obudziłem się, oficjalnie przebywając w St. Louis, by ujrzeć śnieg nad Nowym Jorkiem? Na wysokości jej okien po drugiej stronie ulicy każdą torebkę nasienną uczepioną bezlistnych gałęzi platana zdobił sierp białego puchu. Ubierając się (zgodnie z rozkładem czasu mojego wiernego sobowtóra z St. Louis, który teraz właśnie spieszyłby na lotnisko, by zdążyć na odlatujący o dziewiątej czterdzieści samolot) przesłuchałem płytę, którą jej podarowałem poprzedniego wieczora, lecz wtedy miłosny pośpiech nie zostawił nam czasu na słuchanie muzyki. Był to Bach śpiewany przez chór sylabami zamiast słów: Vo de oh oo oo, la la lalala. Głosy dźwięczne jak dzwony przebiegały coraz prędzej barokową partyturę, mokry śnieg znoszony przez wiatr na ukos zdawał się naśladować to subtelne, bezładne tempo, Peggy w łazience zajęta była przezornymi ablucjami, a ja zastygłem bez ruchu, w spodniach już i w czystej białej koszuli, która wskutek rzekomego pobytu w południowym mieście nabrała dziwnie zwiewnej wilgotności; stałem boso pośrodku boliwijskiego kilima, gdzie leżeliśmy, zachwyceni wielkim miastem za oknem, na którego parapecie Peggy rozsypała ziarno dla wróbla. Czułem, że serce moje jest przyszpilone w punkcie przecięcia śniegu, Bacha i kąpiącej się Peggy. Nigdy tak jasno nie uświadamiałem sobie szczęścia i tak trzeźwo nie oceniałem kruchości tego stanu graniczącego z delirium. Gdy wychodziłem, ubrany w biurowy garnitur (niewinny mój sobowtór szybował już ku północy), Peggy nagle zaczęła mnie błagać: "Nie przychodź więcej. Coraz trudniej mi jest żegnać się z tobą. Przepraszam, nie umiem tak, chciałam być dla ciebie po prostu miłą kochanką, ale nie mogę zdobyć się na to. Za bardzo jestem zaborcza. Wracaj do domu, bądź miły dla Joan. Zaplątałam nas wszystkich beznadziejnie przez to, że cię pokochałam."

A kiedy po raz pierwszy — przedwcześnie — zaofiarowałem się, że opuszczę dla niej Joan, wykrzyknęła: "O nie! masz dzieci! Tego nigdy nie mogłabym ci zastąpić."

Obrazy ukazywały mi się rozszczepione, jak gdyby w wodach udręki, w której to-



nęła Peggy. Jej twarz podczas spotkania z Joan zdawała się krucha ze strachu, a potem z chęci walki, w chwilach rozstań ze mną twarz ta czerwieniała i kurczyła się w wybuchach płaczu, w chwilach powitań była blada i znużona; Peggy wiele razy przyjmowała mnie do swojego łóżka i do swojego ciała tak, jakby przyjmowała nieuchronne pchnięcia szpada. Wspominając to zastanawiałem się, dlaczego kazałem jej tyle wycierpieć, a raczej, jakim prawem zaimprovizowałem dla nas dwojga tę pokutę. Wyobrażałem ją sobie bezradną, samotną, zgwałconą, teraz gdy miara jej cierpień dopełniła się i widziałem, że Bóg, który w swej twórczości lubi stosować ironię, mógłby bez skrupułów to sprawić. Matka krzyknęła. Marząc o ratowaniu Peggy, jechałem za szybko. Matka denerwuje się łatwo w samochodzie; śmieszne, jak bardzo przywiązana jest do życia.

Szeroka biała autostrada, z rozjazdem na skrzyżowaniu ułożonym w kształt liścia koniczyny, wyglądającym tutaj na pomysł kabotyński, doprowadziła nas do starej czarnej szosy i skręciłem z niej na szarą, trzeszczącą pod kołami drogę lokalną, a potem wreszcie na naszą drogę polną i zobaczyłem Peggy, i roześmiałem się, bo Peggy na wysokiej grzędzie ogrodu w swoim kostiumie bikini okopywała fasolę.

Stanowczość jej postawy, nieumiejętna energia, z jaką wbijała motykę w ziemię, podkreślały szerokość sylwetki zwężającej się stopniowo aż do kostek, niemal grzęznących w glebie. Zatrzymaliśmy chevroleta pod gruszą, której ocalałe gałęzie uginały się pod nieproporcjonalnie dla nich ciężkim brzemieniem owoców. Wysiedliśmy. Miałem na czubku głowy skórę napiętą i obolałą.

— Co was tak bawi? — spytała Peggy.

— Ślicznie wyglądasz, Peggy — powiedziała matka. — Nie pozwól tym dwóm mężczyznom kpić z siebie. Wymagają, żeby kobiety dla nich i za nich pracowały, ale kiedy to robią, śmieją się z nich.

Najgłośniej śmiał się Richard.

— Mamo, ten strój nie wydaje mi się najstosowniejszy — powiedział.

— Uważaj tylko, żebyś motyką nie naruszyła fasoli — powiedziała matka. — Ma bardzo płytkie korzenie.

— Staralam się, żeby mój odcinek wyglądał tak samo jak wasz — odparła Peggy i brudną ręką odgarnęła włosy z twarzy.

Wzruszył mnie widok jej bosych stóp z polakierowanymi paznokciami, płasko przylegających do ziemi i aż po kostki oblepionych gliną, jak stopy dziecka albo Cyganki; pożądanie musiało ze mnie promieniować jak zapach czy jak fale ciepła, bo Peggy skuliła się zakłopotana i zrozumiałem, że ją naraziłem, podkreśliłem ryzykowność jej kostiumu.

— Pali mnie wierzch głowy — powiedziałem, żeby odwrócić uwagę matki. — Czy nie ma w domu jakiegoś starego kapelusza ojca, żebym mógł nakryć głowę?

— Już masz lekkie porażenie słoneczne — odparła. — Nie koś dzisiaj więcej.

— Trzeba to zrobić.

— Pewnie, ale co znowo, to niezdrowo. Nie karz mnie w ten sposób. Zamęczysz się, a potem twoja żona będzie miała do mnie żal.

— Słońce już zachodzi. Jest czwarta godzina.

— Peggy, czy uważasz, że powinien wracać na traktor? Jego ojciec był tak samo zawzięty w robocie, ale potem przez całą noc męczyły go torsje. Jakby to mogło być dla innych przyjemne!

— Nie można tej roboty odkładać — powiedziałem. — Jutro mamy niedzielę.

— A co się tu dzieje w niedzielę? — spytała Peggy oganiając się od muszek, które wyczuwały krew między jej udami.

— Matka nie pozwoli nikomu pracować w niedzielę — powiedziałem.

— Właśnie! Strój sobie żarty z przesądów starej kobiety.

— Pani naprawdę uważa, że nie można pracować w niedzielę? — zwróciła się Peggy do mojej matki.

Teraz znów naraziłem matkę.



— W naszych stronach uchodzi to za skandal — odparła matka. — Ale myślę, że zachwaszczone pole starej wariatki może być takim samym wyjątkowym przypadkiem jak osioł w studni.

— Jak co? — zdziwił się Richard.

— To z Biblii — wyjaśniła mu Peggy.

— Rób, co chcesz, Joey — rzekła do mnie matka. — Ja uważam, że dosyć już nakośiłeś. Zawołam Sammy'ego albo też ty przyjedziesz znów na następny weekend, jeżeli koniecznie chcesz skończyć tę robotę.

— Ależ to okropnie głupio! — wykrzyknęła Peggy, przerażona możliwością powtórzenia wizyty na farmie w tak bliskim terminie. Matka zaatakowała ją natychmiast:

— Głupio czy mądrze, ale gdy mój syn tak wygląda, pora, żeby przerwał pracę.

— A jak ja wyglądam? — spytałem.

— Jesteś blady i masz wypieki.

— To chyba niemożliwa kombinacja. Znosi się na deszcz, więc chcę przynajmniej skosić do końca duże pole. Pozwól mi być dumnym z dokonanego dzieła. Nie trzeba mi nic prócz jakiegoś kapelusza po ojcu.

— Ojciec nigdy nie nosił kapelusza. Dziwię się, żeś o tym zapomniał.

— Ja mógłbym kosić — odezwał się Richard.

— Niezła myśl — powiedziała matka. — Niech chłopak zrobi kilka pokosów. Dasz mu odpowiednie wskazówki, a potem będziesz go pilnował siedząc pod gruszą.

— Stanowczo zabraniam — powiedziała Peggy.

— Ojej, mamo, pozwól. Będę bardzo ostrożny.

— Proszę cię — zwróciłem się do mojej matki — nie podjudzaj. Widzisz, jaki jest podniecony.

— Czy ja podjudzam? Ale jeżeli ja mogłam nauczyć się prowadzenia traktora mając lat pięćdziesiąt, to Richard też jest do tego zdolny. Skoro jeździ na rowerze po Nowym Jorku, to mógłby pojeździć tutaj na traktorze.

— Rower zatrzymuje się na zawołanie — odparłem. — Traktor wymaga całej nowej serii odruchów.

— Och, błagam, błagam! — Richard zaczął bulgotać jak kipiący garnek, a twarz jego, gdy podniósł ją ku Peggy, płonęła nieśmiałym zapałem, który przypominał mi jego ojca.

— To okrucieństwo z pani strony — powiedziała Peggy do mojej matki — choćby wspominać o takiej możliwości. Nie ma o tym mowy.

Usta matki drgnęły i wydobył się z nich krótki śmieszek, jakim zwykle reagowała na niespodzianki.

— Wszyscy wiejscy chłopcy w jego wieku są już doświadczonymi traktorzystami — stwierdziła.

— Richard nie jest wiejskim chłopakiem — wtrąciłem się do dialogu.

Matka z wdzięcznością obróciła się ku mnie i spróbowała skrócić na inny zupełnie tor, przenieść sprawę w sferę czystej fantazji i tak ją umorzyć.

— Jeżeli Richard nie może prowadzić traktora, jakże będzie mógł zarządzać moim rezerwatem ludzkim? — powiedziała.

— Niczym dla pani nie będzie zarządzał — zaprotestowała ostro Peggy. — Nie stanie się drugim Joeyem.

To był odruch, bezlitosny i niepotrzebny.

Matka, smagnięta biczem, widząc, że jej podstęp został udaremniiony, powiedziała z cicha:

— Droga Peggy, jeden Joey zupełnie mi wystarcza.

— Mnie też — powiedziałem. Ale żadna z kobiet nie roześmiała się, żadna nawet nie spojrziała na mnie.

Richard przysłuchiwał się nie rozumiejąc, że jego los został przypieczętowany. Ciągnął za dolną część kostiumu Peggy prosząc:



— Tylko jeden jedyny raz, mam! Lekcja pierwsza, leçon première.

Była to aluzja do programu oświatowego w telewizji, który oglądali razem jeszcze przed moją erą.

Peggy przykucnęła, żeby się zniżyć do niego. Pot zwilżał zagłębienie między pierśmi; objęła syna długimi ramionami mówiąc:

— Pozwolę ci posiedzieć na siodelku i manewrować drążkami, ale przy zgaszonym silniku. Najpierw jednak pójdiesz z babunią do domu i pomożesz jej wynieść paczki z samochodu.

— Świetnie! — powiedziała matka.

Wstrzymując oddech uczułem, że ucisk w mojej piersi łagodnieje, gdy ludzki skrzep wokół mnie zaczął topnieć. Richard wsiadł do samochodu, który matka podprowadziła przed sam dom. Zawołałem za nimi przypominając, żeby przynieśli mi kapelusz. Peggy wróciła do swojej roboty. Dotknąłem styliska motyki, żeby ją od tego oderwać.

— Przepraszam — powiedziała — ale ona mnie doprowadziła do wściekłości.

— Trudno. W każdym razie na zakończenie pięknie wszystko naprawiłaś.

— Jeszcze wciąż jestem wściekła.

— Bądź wściekła na mnie.

— Jestem zła częściowo i na ciebie.

— Dlaczego?

— Niczemu się nie przeciwstawiasz, pozwalasz nam się bić z sobą, a potem dopiero usiłujesz przywrócić pokój.

— Byłem po twojej stronie.

— Nie czułam tego.

— To nie matka wystąpiła z pomysłem jazdy na traktorze, ale sam Richard.

— Ona go zachęcała. To wariacki pomysł. Określenie wydało mi się zbyt jaskrawe.

— Jak słyszałaś, wszyscy tutejsi chłopcy to robią.

— Wariacki pomysł.

— Powiedz mi, Peggy, czy McCabe sypiał z tobą po rozwodzie?

Peggy spojrzała na mnie zaskoczona i odgarniając brudną ręką włosy zostawiła skośną smugę na czole.

— Dlaczego o to pytasz?

— Richard opowiadał wesolutko, że jego ojciec spędzał nieraz noc u ciebie.

Gdy Peggy nie uśmiecha się, lewy kącik jej ust opada w automatycznym grymasie.

— Nic mi z jego strony nie groziło. Znałam go i myślałam, że to może nam obojgu dobrze zrobić.

— Zrobiło wam dobrze, z pewnością.

Cokolwiek wyrażało moje spojrzenie, zbyła je wzruszeniem ramion.

— Urzędowy papierek nie przekreśla wszystkiego.

— Wiem. Wiem aż za dobrze. Zapominasz, jak się zdaje, że w mojej sytuacji muszę o tym wiedzieć.

— Więc nie patrz na mnie takim wzrokiem.

— Nie patrzę na ciebie jakimś specjalnym wzrokiem. Widzę, że jesteś bardzo piękna, że masz więcej urody, niż potrzeba na jedną osobę, a każde marnotrawstwo mnie zasmuca.

— No więc niech i tak będzie. Nie chciałam się marnować.

— Ale jednocześnie spotykałaś się z innymi mężczyznami.

— Nie wtedy. To było w krótki czas po rozwodzie. Przed wielu laty, Joey.

— Więc dlaczego Richard to pamięta tak żywo?

Spojrzała w dół wzdłuż trzonka motyki w kierunku próżnującego ostrza, a kłamstwo zdawało się wypisane na jej czole ziemistą smugą, podobną do komety.

— Dziwna rzecz — powiedziałem — że o wszystkich innych nie mam pretensji, tylko właśnie o biednego starego McCabe'a, którego w gruncie rzeczy lubię.

— Inni są dla ciebie nierealni — odparła, ale zrozumiała nietakt tego wyjaśnienia.



Więc dodała: — Dla mnie teraz także — i nadstawiła usta, ofiarując mi pocałunek. Przyjąłem go i poczułem jakby dotknięcie ciepłego kurzu. Objęła mnie za szyję ramionami, tymi samymi, pokrytymi jasnym puszkim ramionami, którymi przedtem odejmowała Richarda, i szepnęła: — Słuchaj, to wszystko było, zanim ty zacząłeś dla mnie istnieć, to tak, jakbyś przejmował się czymś, co się działo przed twoim urodzeniem. Czy nie czujesz, że cię kocham?

Starąłem się być precyzyjnie dokładny.

— Czuję, że jesteś kobietą chętną do miłości, a ja przypadkiem jestem obok ciebie w łóżku.

— Nie — zaprotestowała. — Mówisz, jakbym była dziwką, a to ty, tylko ty sprawiasz, że jestem chętna do miłości, bo ty umiesz przyjmować miłość. Tego nauczyła cię twoja matka. To cudowny dar.

— Talent człowieka słabego — uznałem za stosowne odpowiedzieć.

Drogą nadchodził Richard niosąc kapelusz. Kapelusz ten należał nie do mego ojca, ale do matki, duży kapelusz chińskiego kulisa, z plecionej słomy, ze wstążkami do wiązania pod brodą wzmocnionymi zwykłym sznurkiem. Oboje, Richard i Peggy, śmiało się, kiedy go włożyłem na głowę. Mój błazeński kostium był teraz skompletowany. Przeszliśmy z Richardem na drugą stronę drogi, gdzie ciągnęło się świeże ściernisko, pomogłem chłopcu wleźć na siodło traktora i pokazałem mu, przy wyłączonym zapłonie, jak działają pedały i dźwignie. Wyglądał jak pucołowaty król wywyższony na tle usianego obłokami nieba, promieniujący zadowoleniem. Po lekcji wróciliśmy do ogrodu, do Peggy. Richard bębnił pięściami po jej brzuchu, udawali, że się boksują, a ja im się przyglądałem. Nad nimi, na pojedynczej linii drutu doprowadzającego do domu prąd elektryczny, gwarki i szpaki zagadkowo wystukiwały niewidzialne zdanie. Wdrapałem się na traktor i znowu zacząłem kosić. Cykorie i złote różgi stuliły płatki, kurcząc się pod groźbą deszczu. Słup popołudniowego słońca przebił się przez kipiące chmury i rzucił na ziemię mój groteskowy cień z głową jak ogromny globus. Pod kapeluszem panował wieczny półmrok i szeleszczący nastrój bezpieczeństwa. Przerzuciłem traktor na czwarty bieg i ścigałem się z pogodą. Raz lewe koło zapadło się nagle w dziurę wygrzebaną przez świstaka i wstrząs omal nie wysadził mnie z siodła. Atakowałem moje prostokąty, falangi wysokiej trawy, a pod chmurami myszołów, który wybrał się na zwiady, szybował z wiatrem, nie ruszając skrzydłami. W pewnej chwili pierwsza kropla spadła mi na ramię, a potem druga stuknęła jak paznokcie o rondo kapelusza. Jedna falanga zmałała do wydłużonego trójkąta, druga przybrała falujący kształt klepsydry. Kierowałem się ku wierzchołkowi trójkąta, wracałem wzdłuż przeciwprostokątnej, i znów skręcałem ku górze. Ciężka kropla trafiła w maskę i parowała. Następna. Richard pędził czerwoną drogą w dół, ale Peggy została na grzędzie. Deszcz, zapowiedziawszy się, wahał się teraz i zwlekał; wykosiłem do końca trójkąt i zabrałem się do klepsydry. Wystrzępiona, prędko płynąca ciemna chmurka wędrowała przez pole nieba zaorane perłowymi brzdami. I wreszcie deszcz, raz jeszcze nabrawszy tchu, westchnął i zaczął spadać na ziemię, zrazu łagodnie, słodko, jak rosa z toaletowego rozpylacza elegantki, potem zaś z tak wytrwałą i nieokiełznaną siłą, siekąc po moim kapeluszu, przemaczając spodnie na udach, że skurczone kwiaty drgały pod uderzeniami, a chłostana trawa lśniła szklicie. Pchnąłem ześlizgujący się traktor pod górę, na wzniesione zbocze nie skoszonego jeszcze kawałka ziemi, potem po płaszczyźnie i znów w dół, póki środkowy przesmyk klepsydry nie zniknął pozostawiając już przede mną tylko dwa trójkąty o szerokości kilku pokosów. Gdy zawracałem po raz ostatni, zdziwiłem się, bo w odległym końcu pola, nad drogą, zobaczyłem kogoś; to Peggy stała na deszczu przyglądając się, jak dokańczam roboty. Trzymała w ręku motykę, a gdy się zbliżyłem, spostrzegłem, że jej rude włosy przylgnęły do głowy i spływają prostymi kosmykami wokół twarzy, która, by znieść burzę padającej na skórę chłosty, z napiętymi powiekami, z policzkami wydętymi jakby do śmiechu, przybrała wyraz spokojnego oczekiwania jak twarze umarłych. Nie uśmiechnęła się, gdy ze zgrzytem wjechałem na drogę wyżłobionymi koleinami, nieco



poniżej miejsca, gdzie stała, i zawołałem na nią, wyrzucając jej to szaleństwo. Przyjęła jednak do wiadomości moją obecność, bo poszła za traktorem ze spuszczonej oczyma jak konkubina w łańcuchach prowadzona w pochodzie, a jej błyszczące stopy ostrożnie wybierały drogę wśród zielonawego błota i kamieni, które deszcz wypolerował nadając im nieoczekiwaną ostrość. Tak mnie wzruszyło jej wierne oczekiwanie, myśl o jej ciele wydanym na chłostę deszczu z miłości dla mnie, że chciałem, gdy tylko dotrzemy pod okap stodoły, zeskoczyć z traktora i wziąć ją w objęcia, wcisnąć w plewy i suchy nawóz, który by oblepił czarnymi plamami jej białą moką skórę. Ale okapu już nie było i gdy wprowadzałem traktor wstecznym biegiem do wąskiej szopy, Peggy szła przez trawnik ku domowi, posuwała się z wolna przez ten skrawek trawy, na którym kiedyś widziałem matkę prześcigającą ojca między stodołą a domem. Popołudnie było skończone.

W domu pachniało mokrymi włosami Peggy. Matka ułożyła w kominku wiśniowe kłody i rozpałała ogień, a moja żona, przebrana z bikini w koszulę, obszytą na piersiach i na dole koronkami, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, z niebieskim ręcznikiem zarzuconym na ramiona, i suszyła włosy. Ogień zdawał się niebezpiecznie przenikać zasłonną włosów; Peggy zwiesiła nisko głowę i palcami na oślep rozcierała skórę głowy. Kłody na palenisku zapadając się trzeszczały. Richard czytał książkę; jedną nogę przerzucił przez poręcz fotela i kiwał nią jak wahadłem. Deszcz szumiał za ścianami domu, władczym gestem omiatał szyby okien zwróconych na dziedziniec, żył i skrzył się wśród zieleni i na zwichrzonych płaszczyznach oplecionej winem kraty pod oknami wychodzącymi na łąki. Matka w kuchni nakrywała do stołu.

— Czy nie będą niezadowoleni z tak wczesnej kolacji? — spytała po cichu, gdy przechodziłem na klatkę schodową.

— Zapytaj ich — odpowiedziałem. Uważałem, że w ogrodzie matka zepchnęła Peggy na niekorzystną pozycję i zdołała ukazać w jaskrawym świetle jej słabszą stronę, a ten jej tryumf wyczerpał moją cierpliwość. Nie chciałem, żeby teraz stwarzała pozory spisku przeciw tamtym dwojgu obcym. Przeciągnęła strunę.

Ale gdy będąc już na schodach usłyszałem głos matki, która zadawała Peggy pytania, a potem wesoły ton odpowiedzi, chociaż słów żadnej z nich nie mogłem rozeznaczyć, poczułem się wykluczony i zmrożony. Na górze zdjąłem mokre ubranie i nagi przeszedłem wśród szpaleru widm. Na podłodze, w miejscu gdzie babka, usiłując wstać z łóżka, upadła i umarła, plama maskowała swoją historię nieprzenikniętymi pozorami zniszczonych desek. Okno zwracało się ku trawnikowi, stodołę i drodze, jak gdyby oczy dziadka nadal wypatrywały listonosza — "Ślimaka", jak go przezywał. Sosnowa komoda nadal strzeże skarbów zmarłego, jego dzienników, cienkich czerwonych zeszytów, w których rok po roku wpisywał lakoniczne uwagi o pogodzie i prawie nic ponadto. W dniu narodzin mojej matki, w dniu, który omal nie zabił jego żony, zanotował tylko: "Urodziło się dziecko". Robocze spodnie ojca, gdy je rozwieszałem do wysuszenia na drzwiach łazienki, ociekały lodowatą wodą na moje skurczone z zimna lędźwie. Joan wciąż patrzyła w górę, gwiazdka wilgoci zamarała na jej dolnej wardze, załazek dziecka na zawsze pozostał w jej łonie. Nie użyłem ręcznika, lubię parować, nie tylko dla przyjemności fizycznej, lecz także dlatego, że cieszy mnie myśl o wilgoci ulatniającej się swobodnie i tracącej materialność, o topografii w świecie żywiołów, gdzie woda, spływając z gór w doliny, ucieka ku niebu. Nawet w kurzu, który pobudza mnie do kichania, gdy wzbija się w powietrze, widzę zbite kłębki wymiatane spod kanapy, a w pyłku kwiatowym utajone kwiaty. Suchy, gładki, ogromny pod spojrzeniem dużych niezbornych oczu mojej dziecięcej podobizny, włożyłem bieliznę, spodnie z zaprasowanym kantem, śliskie w dotknięciu, skarpetki, przez Peggy porządnie parami zwinięte w kłębki, półbuty i czystą białą koszulę, która wyglądała jak opakowanie prostokąta szarego kartonu, włożonego w nią dla usztywnienia.

Na dole matka powitała mój strój okrzykiem:

— Patrzcie! Jest mój wielkomiejski elegant!



W supermarkecie kupiła celofanową torbę groszku i teraz go łuskała. Każdy groszek melodyjnie spadał do durszlaka. Usiadłem po drugiej stronie stołu i pomogłem jej w tym zajęciu. Był to gest pokojowy. Matka garbiła się nad robotą i przez chwilę nie zwracała na mnie uwagi. Skończyłem łuskać pierwszą garść i wstałem, żeby wysypać z torby następną.

— Powiedz mi — odezwała się wówczas matka — co u nich słychać?

— U kogo?

— U twoich dzieci, oczywiście. Czy już zdążyłeś o nich zapomnieć? Co robią Ann, Charlie i Martha?

Małe, woskowozielone kulki, wskutek własnej tłustej pełni sprasowane w strąku w niemal sześcienny kształt, wymykały się seriami spod mego dużego palca i spadały gromadnie na dłoń. Wydobyłem z durszlaka głośne brzęknięcie i spróbowałem odpowiedzieć:

— Wszystko w porządku. Zawsze lubiły Kanadę i zdawały się uradowane jadąc tam.

— Chociaż bez ciebie.

— No cóż, nie mogłem przecież jechać z nimi. Miałem się właśnie żenić.

— Nie podnoś głosu, proszę cię. Różne mam dolegliwości, ale jeszcze nie ogłu-
chłam.

— Dobrze.

— Zauważyłam — ciągnęła matka — że wyraźniej pamiętam Charliego niż dziewczynki. Jakież to był żywy chłopczyk!

— Był?

— Dla mnie tak. Nie spodziewam się go jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

— Zobaczysz go z pewnością.

— Myślałam, że wyrosnie na farmera. Miał w sam raz odpowiednią budowę, mocne
rączki i nóżki, szeroką pierś.

— Jest nadzwyczaj silny, ale za mały.

— Och, wiem. Wystarczyło go wziąć na ręce... Chyba za pierwszym razem, gdy go
tutaj przywozłeś, siedział sobie rozmarzony w fotelu dziadunia, a ja pomyślałam: "Jakież
to maleńki, mięciutki kłębuszek!", ale gdy go wzięłam na ręce, okazał się cały supełkiem
mięśni, twardy jak gwóźdź i wcale nie uszczęśliwiony.

Roześmiałem się.

— Czy to było przed, czy też po tym, jak go uderzyłaś kijem?

— Jak on mnie uderzył, chciałeś powiedzieć. Zdaje się, że przedtem, może podczas
tej samej wizyty, nie jestem pewna. Pamiętam tylko, że spojrzał na mnie bardzo ozię-
ble, jakby mówił: "Jakim prawem ta gruba stara baba przerywa mi odpoczynek?"

— Dziwne, jak on się umiał zatapiać w marzeniach. Jedna z ciotek jego matki po-
dejrzewała, że jest niedorozwinięty, bo tak długo zwykł siedzieć bez ruchu i w milczeniu.

— Siedział cicho, bo miał coś ważnego do przemyślenia. W życiu nie widziałam dru-
giego tak myślącego dziecka.

Powiedziała to takim tonem, jakbym słyszał mego dziadka.

— Nawet ja nie byłem taki?

Matka zastanawiała się przez chwilę.

— Nie, ty nie byłeś taki skłonny do medytacji. Ty byłeś za to niezwykle wrażli-
wy. Pierwszego pogodnego dnia w sierpniu zaczynałeś kichać i nie przestawałeś aż do
pierwszych mrozów. Z oczu ci ciekło, miałeś je tak sklejone, żeś prawie otworzyć ich
nie mógł, aż serce mi się krajało. Charlie jest bardziej podobny do Joan z usposobienia,
z tego okropnego zamknięcia w sobie i ze straszliwej siły.

— Tak, była silna. Ale zawsze tylko biernie, nigdy sama nie podejmowała inicjatywy.

Matka wyczuła bliskość skargi i machnęła ręką, nie zgadzając się iść za mną tam,
gdzie chciałem ją zaprowadzić. Zawiniłem próbując skupić rozmowę na własnej osobie.

— Charlie! — powiedziała. — Mogę sobie go wyobrazić, jak czeka, z tą swoją cu-
downą umiejętnością odpoczywania, aż plony dojrzeją, i wtedy spieszy do żniw, praco-



wać z wszystkich sił swoich twardych mięśni i wypukłej piersi. On by się umiał, jak to moja matka nazywała, zakrzętać. Bez tego daru, a nie miał go mój ojciec, lepiej trzymać się z dala od farmy. Tak też mój ojciec robił, i właściwie postąpił rozsądnie. Sama nie wiem, czemu nie mogłam mu tego nigdy wybaczyć.

— Boję się o Charliego — powiedziałem. — Przejął się znacznie bardziej niż dziewczynki.

— One się także przejęły — odparła matka — ale potrafią to lepiej niż on zataić przed tobą. Ty sobie wyobrażasz, że kobiety lubią cierpieć. Nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy, nie ja w każdym razie tego cię nauczyłam. To nieprawda. Ale kobietom mniej się współczuje niż mężczyznom, ponieważ rodzą dzieci, toteż gdy kobieta płacze, wszyscy myślą, nawet ona sama, że będzie miała dziecko, a więc wszystko w porządku. Pojęcia nie mam, dlaczego dziecko miałyby być lekarstwem na każde zmartwienie.

— Z nich trojga — powiedziałem — Ann wydaje się w jakiś sposób najbardziej do mnie podobna. — Zobaczyłem jej twarz, nieładną szerokość jej twarzy i jej piękną otwartość, długie, proste nogi i wyraz ust, otwierających się radośnie, gdy Ann biegła. Moja starsza córka stanęła mi przed oczyma, jakbym po długiej pustce narkozy odzyskał nagle pamięć, chociaż nigdy nie zapomniałem jej imienia, dnia urodzin, faktu, że istnieje. Charlie nagle spojrzał na mnie. Czy mi się zdaje, czy je lody z rożka? Delikatne, proste, brązowe chłopięce włosy połyskiwały srebrzyście. Ann nazywała go piżmoszczurem. Szare oczy patrzyły uważnie, z mądrymi zmarszczkami w kącikach, prawie jak u dorosłego mężczyzny, wygięte wargi zdawały się gotowe do żartu, chociaż, sądząc z jego wyrazu, strofowałem go czy też może zaskoczyłem jakąś zupełnie nieprawdopodobną uwagą; mój syn był zawsze gotów wierzyć w najlepsze możliwości, traktować wszelkie strapienia — skaleczone kolano, przekorę siostry, moją nieobecność jako chwilowe drobne skazy na gładkim obszarze ładu. Był chłopcem bardzo porządnym, porządniejszym niż jego siostra Ann — składał ubranie, dbał o nie. A moja malutka Martha. Nie tyle widziałem ją, ile czułem, jak traci na wadze, kiedy ją podnoszę, śpiącą, z nowego niebieskiego łóżeczka, w zasupłanej nocnej koszulce, której bawełniana tkanina była gładka jak jedwab od zetknięcia z jej skórą, w koszulce zawiniętej w pasie i odsłaniającej płeć bledszą niż księżyc. Podnosiłem ją, jej zaczerwieniona główka kiwała się bezwładnie, gdy niosłem ją do łazienki, trzymałem tam nad oczekującą owalną miską, przysiadłszy na brzegu wanny pozwalałem jej opierać główkę o moje kolana, czekając na cichy szum i skromny plusk.

— Biedna Martha — powiedziałem.

— Dlaczego? Ona jest chyba najodporniejsza z całej trójki.

— Będzie siusiała w łóżku.

— Na pewno nie. To wspaniałe dziecko. Wszystkie twoje dzieci są wspaniałe, prawda, Peggy?

Moja żona weszła do kuchni, stanęła obok, nade mną. Widziana tak z dołu, wydawała się imponująco wysoka, nos miała lekko orli, rozpuszczone wilgotne włosy rozsypywały się wokół jej twarzy.

— Tak, są bardzo miłe — odpowiedziała mojej matce — i ja też ze smutkiem o nich myślę.

— Nikt od ciebie nie żąda smutku. My czujemy się szczęśliwi rozmawiając o nich.

— Joey przeżył piekło z powodu tych dzieci. — Moje własne wyrażenie: "przeżyłem piekło", zabrzmiało głucho, jakby Peggy sama rozumiała, że jestem tylko echem. Ciągnęła dalej: — Przepraszam, ale nie widzę potrzeby przypominania mu o nich, Joey musi odpocząć.

— Odpocząć od wspomnienia o rodzonych dzieciach? — powiedziała matka.

— Właściwie chciałam prosić, żeby pani nie używała rozmów o dzieciach jako broni przeciw mnie. To zanadto bolesne dla Joeya.

— Co za szalony pomysł! Jeśli o nich mówię, to dlatego, że jestem starą gadatliwą



dziwaczką, i dlatego że teraz nie mam innego sposobu obcowania z nimi prócz wspomnień. Cieszę się, że jestem babką, przyniosło mi to jakąś osobliwą pociechę, było osiągnięciem, którego nie spodziewałam się nigdy dla siebie, nie wiem zresztą czemu; a teraz mogę już tylko rozmawiać o nich. Ich ojcu wolno będzie je odwiedzać, ilekroć zechce, ale ja nie mam już nadziei, żebym mogła je oglądać znowu na farmie u babuni. Czy też gdzie indziej.

— Ależ z pewnością je zobaczysz — powiedziałem prędko, żeby zażegnać przerażające niebezpieczeństwo jej łez. — Przywiozę ci je tej jesieni, gdy wszyscy wrócą do miasta.

— Twoja żona pewnie nie będzie sobie tego życzyła — odparła matka. Powstrzymane łzy jakby wysuszyły jej gardło i wymawiała każde słowo bardzo twardo. — Trwaj przy żonie swojej, uczy Pismo Święte.

— Mam zamiar trwać przy mojej żonie — odpowiedziałem — ale z pewnością chcę także, żebyś widywała moje dzieci.

— Nie spodziewam się tego, a skoro już o tym mowa, wiedz, Joey, że nie spodziewam się również ciebie tu znowu zobaczyć. — Zwróciła się do Peggy: — Dziękuję, że ten jeden raz przyjechałaś, Peggy. Bardzo mi się spodobała twoja praca w ogrodzie.

— Może ja coś źle zrozumiałam — powiedziała Peggy. Jej spracowane ręce, nabiegłe krwią, ciężko zwisały ku udom, dotykając koronki. — Ale wiem, jak Joey zawsze sam się zadręcza z powodu dzieci, więc może przesadnie reaguję na sam dźwięk ich imion.

Matka spojrzała na mnie, potem na moją żonę i znowu na mnie. Wreszcie położyła dłonie płasko na stole i odepchnęła się od niego wstając tak wolno, że zdawała się rosnąć nad swoim krzesłem, po czym westchnęła. W takich momentach, zmieniając fizyczną postawę, często mówiła coś nieoczekiwanego, jakby ją bawiło, że tym sposobem uwalnia mnie od wewnętrznego napięcia.

— No cóż — powiedziała — moi rodzice nie rozstali się, chociaż nie byli z sobą szczęśliwi, i mówiąc szczerze, po dziś dzień wcale nie czuję do nich za to wdzięczności.

Odwróciła się do nas plecami i zajęła kuchnią. Peggy ofiarowała się z pomocą, ale matka odpowiedziała, że wstydziliby się zwałać całą robotę na gościa. Sylwetka i twarz matki wydawały mi się obce, ciężkie i bezbarwne, zastanawiałem się, czy nie dokucza jej ból. Ból rodziców zawsze było mi trudno wyobrazić sobie, jak galaktyki poza naszą galaktyką. Deszcz chłostał, pieścił, obejmował dom, wydobywał rezonans z jego drewnianych części, a całą łupinę oblewał morzem lśniącej trawy. Stojąc w oknie patrzyłem ku pobliskim lasom. Daleko za nimi, gdzie przedtem pohukiwała sowa, mruczał grzmot. W rozwichrzonym kwiatowym ogrodzie zbite przez deszcze płomyki gubiły białe płatki, w pełnych chwastów zagłębieniach u stóp przekwitłych ślazów kołysały się małe pomarańczowe konstrukcje o kształcie lampionów, których nie widziałem w żadnym innym ogrodzie, odkąd opuściłem Pensylwanię. Zapytałem matkę, co to za kwiaty.

— Nie wiem — odparła. — Dawniej nazywaliśmy je lampionami japońskimi, a podczas wojny zmieniono nazwę na chińskie lampiony. Teraz chyba są znowu japońskie.

Okno wychodziło na najbardziej opuszczoną część ogrodu, gdzie trawa była najmniejsza i gdzie przedtem leżała Peggy; na parapecie wznosiło się miniaturowe miasto, w którym pudełka z owsianką, karmą dla psów i ziarnem dla ptaków zastępowały drapacze chmur, a bramę miejską tworzył nie używany komplet na sól i pieprz z malowanego akwarelą fajansu, przysłany przeze mnie w prezencie z Cambridge piętnaście lat temu. To okno, ponieważ bardzo rzadko przez nie patrzyłem, miało dla mnie czar. Szyby zroszone były kroplami, które jak ameby w nagłej decyzji to łączyły się ze sobą, to rozdzielały i drgając spływały w dół, a siatka, jak nie dokończony haft czy też jak krzyżówka niewidzialnie rozwiązana, była inkrustowana nieregularnie mozaiką miniaturowych przejrzystych drobin deszczu. Fizyczne uczucie skrytej litości ogarnęło mnie i kazało mi się odwrócić; unikałem wzroku matki, żeby nagość mojej twarzy znowu nie zdradziła jej za wiele. Zostawiłem po lewej ręce uspokajające bulgotanie kuchni, poszedłem do pokoju szukać innych dzieci.



Peggy siedziała znów przed kominkiem ze skrzyżowanymi nogami. Podniosła na mnie oczy załzawione od gorąca. Richard zamknął książkę i zatrzymał wahadłowy ruch swojej nogi.

— No, wiecie państwo! — powiedział. — Zakończenie zupełnie nieoczekiwane.

— Czy to wciąż jeszcze historia chłopca, który miał taki gigantyczny wskaźnik inteligencji? — spytałem.

— Tak. Mając trzy lata odkrywa na własną rękę całą geometrię przy zabawie kolorowymi kawałkami płótna, tak samo potem odkrywa całą matematykę i w końcu pyta kogoś, ile czasu potrzebowałaby linia prosta skierowana pionowo w górę, aby powrócić z przeciwnej strony do punktu wyjścia. Rozumiesz, to jest teoria względności.

— Czy tak?

— Ależ tak, Einstein dowiódł, że przestrzeń jest zakrzywiona.

— Rzeczywiście, cudowne dziecko, jeśli tak wcześniej samo do tego doszło. I cóż się z tym chłopcem później stało?

— Jak już mówiłem, stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Chłopak kretynieje. Nie rusza się, tylko siedzi i nawet nie chce na nic patrzeć, aż wreszcie jego matka w zakończeniu tej historii szaleje z radości, że nauczył się trzymać w ręku widelec i wkładać kęs jedzenia do ust.

— Jak ta prosta, która od przeciwnej strony wraca do punktu wyjściowego.

— Nie przyszło mi to do głowy.

— Proszę cię, przestań czytać te opowiadania — powiedziała Peggy zza firanki suszących się włosów. — Na pewno są szkodliwe dla twojej psychiki.

— Zawsze to mówiłam Joeyowi — zawołała z kuchni matka — ale nie zwracał najmniejszej uwagi na moje napomnienia.

— No proszę, i moja psychika jest zdrowa jak ryba! — zawołałem do niej.

— Aha! — powiedziała Peggy.

Wkrótce, wcześniej, niż się spodziewaliśmy, matka podała kolację na stół: groszek, ziemniaki obsypane pietruszką i prasowaną konserwową zimną szynkę, którą poleciła mi pokroić w plastry. Zdziwiła mnie ostrość noża. Ojciec zawsze dbał o noże i narzędzia, byłby dobrym rzemieślnikiem, gdyby rodzina nie wymagała od niego, tak jak i ode mnie, żeby pracował w strefie rzeczy nienamacalnych. Gdy obdzieliłem wszystkich, matka spytała Richarda, co chciałby w życiu robić.

— O co właściwie pani chodzi?

— No, czy chciałbyś, na przykład, mieszkać w Nowym Jorku i robić to co Joey... cokolwiek on robi, bo nigdy nie mogłam dobrze zrozumieć?

Tłumaczyłem jej wiele razy. Pracuję w firmie, która organizuje programy szkoleniowe dla wielkich towarzystw przemysłowych na takie tematy, jak minimalizacja podatków, ekspansja zagraniczna, akwizycja zamówień od rządu federalnego, automatyzacja. Moją specjalnością jest racjonalne wykorzystanie pieniędzy na reklamę, czyli w najszerszym sensie prezentacja oblicza przedsiębiorstwa. Matka pragnęła, żebym został poetą, jak Wordsworth. Rzadko czytuje wiersze, ale ma jasne, dogmatyczne przeświadczenie o doniosłości poezji. Na życzenie ojca posłano mnie na wydział inżynierii do Harvardu, ponieważ z Harvardu wyszło więcej poetów, zaczynając od Emersona, a kończąc na Eliocie, niż z jakiegokolwiek innego amerykańskiego uniwersytetu. Los zażartował niezłotliwie z mego ojca, bo z moim uniwersyteckim dyplomem wkroczyłem w świat, w którym wśród rozpowszechnionej mglistej zamożności zręczny znawca starych bajek może zarobić więcej niż inżynier, pomijając nieliczne szczęśliwe wyjątki. Nie wiem, czy kiedykolwiek wyrzekłem się naprawdę poetyckich ambicji, a jeśli tak, nie mam pojęcia, kiedy się to stało. Z Joan ożeniłem się chyba dlatego, że gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem prowadzącą rower w jesiennym zmierzchu przez uniwersytecki dziedziniec, daleka, gibka, skupiona, przypominała mi dziewczynę z Samotnej żniwiarki, a z bliska — cichą Lucy, której śmierć mogłaby natchnąć mnie poematem.

— Jego ojciec — powiedziała Peggy — wyklada na uniwersytecie.



— To znaczy jest uczonym? — I nie czekając na odpowiedź matka dodała stanowczym tonem: — Richard zdradza naukowe upodobania. Byłam podobna do niego jako dziecko, z tą różnicą, że czytałam całymi dniami, bo rzeczywistość wydawała się zbyt przykra... Z tobą, Richard, jest trochę inaczej, prawda?

— Mnie się wydaje nie tyle przykra, ile nudna — odparł Richard.

— Wcale się nie dziwię — powiedziała matka. — Mieszkaśz przecież w klimatyzowanym wielkim mieście, gdzie wszystkie pory roku są jednakowe. Tu, na mojej farmie, każdy tydzień jest inny, każdy dzień jest niespodzianką. Inaczej wygląda pole, ptaki o czym innym gadają, nic się nie powtarza. Przyroda nigdy się nie powtarza; takiego sierpniowego wieczora jak dzisiejszy nie było jeszcze i nigdy już nie będzie.

Pozwalała sobie na smutek, więc przerwałam jej pytaniem, które miało być w pewnym sensie żartobliwe.

— Czy myślisz, że Richard powinien by zostać poetą?

— Nie — odparła. — Nie. Myślałam tak kiedyś o jednym chłopcu, a ja też staram się nie powtarzać. Świat się tak bardzo zmienił. Mało jest zawodów, w których ludzie naprawdę coś robią.

— Może będę selenografem — powiedział chłopiec.

— A to co takiego? — spytała matka, ostrożnie manewrując rękami wokół talerza, zbyt podejrzliwie wyczuwając możliwość, że zostanie ośmieszona.

— Geograf Księżyca — wyjaśnił Richard. — Będą potrzebni na Księżycu ludzie umiający sporządzać mapy.

— Mógłbyś wyspecjalizować się w jego ciemnej stronie — wtrąciłem.

— Tam właśnie zainstaluje się olbrzymi teleskop — poinformował nas Richard. — A wiecie dlaczego?

— Dlaczego? — spytała po chwili milczenia Peggy.

— Bo po stronie zwróconej ku nam przeszkadzałyby za silny odbłask Ziemi. Blask Ziemi — wytłumaczył mojej matce — to tak samo jak blask Księżyca, tylko że wprost odwrotnie. Jest niebieski.

Nic nie odrzekła i wiedziałem, czułem całą cierpnącą na mnie skórą, że spochmurniała dopatrując się osobistej zniewagi w naszej ucieczce z Ziemi.

— Czy na tej ciemnej stronie nie jest za zimno? — spytałem.

— Wystarczy zakopać się trochę pod powierzchnię. Na głębokości mniej więcej pięćdziesięciu stóp panuje niezmienna temperatura, około dziesięciu stopni Celsjusza.

Matka rzeczywiście traktowała jego zainteresowanie Księżycem jako dezercję wymierzoną przeciw jej osobie. Zgarbiła się i znieruchomiła nad talerzem, nozdrza jej zbieleły, oddech zamarł.

Peggy wyczuwając coś dziwnego w atmosferze i chcąc być uprzejma zapytała:

— Jak pani myśli, czy Richard powinien by zostać farmerem?

Matka podniosła swą dużą głowę. Na czole jej wystąpiły sine plamy.

— Musiałyby zdobyć się na więcej wyobraźni, niż pozwolicie mu mieć. Zaskoczony, wtrąciłem się co prędzej:

— Jak to? Moim zdaniem, Peggy pozwala mu mieć ogromnie dużo wyobraźni. Jest najmłodszym w Ameryce kartografem Księżyca.

W pośpiechu język mi się plątał i jąkałem się okropnie. Ręce Peggy przygładziły włosy na małej głowie.

— Nie mam pojęcia, o co wam chodzi.

Głos jej drżał niepokojąco i brzmiał fałszywie — głos modelki. Po swoim rozwodzie występowała od czasu do czasu na pokazach mody jako modelka, ale nigdy nie pozowała fotografom; była zbudowana zbyt potężnie, a jej koścista twarz wojownika wyglądała na zdjęciach asymetrycznie.

— Przepraszam, Peggy, masz najlepsze chęci, ale my także. Nie powinnaś być zazdrosna o mnie, gdy zajmuję się tym chłopcem.

— Zazdrosna? Pani ma fantastyczne pomysły.



Matka zwróciła się do mnie, jak do swego kronikarza, mówiąc:

— Odbiera mi moje wnuki, zamienia mojego syna w siwowłosego mazgaja, a teraz w dodatku nie pozwala mi okazać temu biednemu wykolejonemu dziecku odrobiny serca, którego mu bardzo potrzeba.

— Jest zawsze traktowany jak najserdeczniej — powiedziała Peggy.

— Och, z pewnością robisz dla niego wszystko, co lekarz zaleci. Miałam na myśli coś innego, mniej mechanicznego.

— Przez pięć lat chował się pod moją opieką zdrowo, mimo że bez ojca.

— Właśnie! Dlaczego pozbawiłaś go ojca, oto zasadnicze pytanie.

— Mogłabym to pani wyjaśnić, ale nie zechce mnie pani wysłuchać.

Matka wzruszyła ramionami.

— Nie uwierzyłabyś, ilu różnych rzeczy nasłuchiwałam się w życiu.

Była spokojna, zrozumiałem, że już się rozpogodziła, już wyładowała irytację.

Zląkłem się teraz o Peggy, bałem się, że pomyli się w interpretacji, że się potknie i przewróci. Tempo, tempo młodości chroniło ją od niebezpieczeństw; ta sprzeczka miała jeszcze pewną powierzchnię, po której Peggy powinna by gładko przemknąć.

— Co do nas dwojga — powiedziała — jestem pierwszą kobietą w życiu Joeya, która mu pozwoliła stać się mężczyzną.

To była jej tajemna pieśń, usprawiedliwienie, którym skłoniła mnie do rozwodu.

— Zdaje się — odparła matka — że każda z nas nadaje inny sens słowu "mężczyzna".

— Z pewnością, jeżeli to, co pani zrobiła ze swego męża, ma być przykładem sensu, jaki pani temu słowu nadaje.

Matka zwróciła się do mnie i podyktowała do kronik:

— Biedna Joan miała własne poglądy na moją metodę prania, ale przynajmniej nigdy nie próbowała krytykować mojego małżeństwa.

— Masz, czegoś chciała — odpowiedziałem jej z gniewem, bo Peggy nagle straciła rozpęd i utonęła. Oczy jej utonęły we łzach, a twarz w dłoniach, palcami na oślep ścisnęła skronie, włosy znów opadły naprzód, jak wtedy, gdy je suszyła przy kominku.

Znów znalazła się w niekorzystnej pozycji i znów, jak poprzedniego wieczora, matka zatrzymała wzrok na niej, a potem przeniosła na mnie pełne urazy spojrzenie.

— Czego to ja chciałam?

— Rady, współczucia. Dajesz do zrozumienia, że popełniłaś straszliwy błąd. Sama mówisz, że zrobiłaś z mego ojca kastrata, a kiedy pocziwa dusza w swojej naiwności gotowa jest ci uwierzyć, czujesz się znieważona.

— Co to jest kastrat? — spytał Richard.

Wziął na siebie obowiązek, który ja zwykle pełniłem przy rodzinnym stole, próbował żartować i zabierać głos w nadziei, że zmieni w ten sposób złowrogi rytm rozmowy.

— Coś takiego jak na przykład muł — wyjaśniłem.

Matka wybuchnęła śmiechem.

— A wiesz, że on rzeczywiście miał coś z muła! — powiedziała i jej obrzmiała, zgarbiona sylwetka stała się od razu lżejsza, jakby to zoologiczne porównanie rozwiązało jakąś ostatnią zagadkę w jej życiu.

Peggy podniosła twarz, miękka i zawstydzoną we mgle łez.

— Jak możecie się z tego śmiać?

— A jak ty możesz płakać? — odparła matka. — Ja przecież tylko chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie pozwalasz swojemu synowi dotknąć traktora.

— Owszem, dotknął go, mamó.

— Są cztery przednie biegi — powiedział Richard — i jeden pedał uruchamia sprzęgło, a drugi ten wał, na którym obraca się ostrze kosiarki.

— Widzę, Peggy — powiedziała matka — że będziemy musiały porozmawiać o naszych mężach. Ale później. Teraz popsułybyśmy Richardowi apetyt.

— Czy zostało jeszcze trochę tego ciastka z melasą? — spytał Richard.



— To suflet — powiedziałem.

— Wczoraj ci nie smakowało — odparła chłopcu moja matka.

Peggy pociągnęła nosem i powiedziała:

— A ja myślałam, że to jest marmelada z motyli!

Raz jeszcze przeciągle siąknęła nosem, jak zadowolona aktorka, bo wszyscy roześmieliśmy się i kochaliśmy ją. Przynajmniej tak sobie wyobrażałem. Zawsze trudno mi było wierzyć, żeby ktoś mógł spojrzeć na Peggy i nie pokochać jej, właśnie dlatego wszelkie moje obliczenia z nią związane są nieściśle. Niewykluczone, że mogłem zatrzymać ją jako kochankę, póki by jej uroda nie zwiędła, pozostając mężem Joan. Ale ządrosć dręczyła mnie różnymi urojeniami, świat zdawał się zaludniony przez energicznych mężczyzn, z których każdy na widok Peggy wysiadającej z taksówki, wysuwającej długą nogę i odsłaniającej nagie udo, gotów jest porwać ją i odebrać mi na zawsze.

Powietrze w domu było zatrute cierpieniem. Chociaż deszcz szumiał słodko wokół nas, zachęcając do zespolenia się przy ognisku, które przygasło, do czystego żaru, pozostały dystanse nie pokonane, ból stężony w atmosferze napierał na moje uszy wysokim, nikłym dzwonieniem. Wstrząsy traktora utrwaliły się w moich mięśniach tak, że kości zdawały się powleczone skorupą skamieniałych ruchów i gdy siedziałem z powieścią Wodehouse'a w ręku, nie odnajdując w niej zresztą iskry życia, miałem złudne wrażenie, że się kołyszę.

— Ogień nie ma co jeść. Może byś skoczył, Joey, do piwnicy?

Były to pierwsze słowa, jakie matka wymówiła, od chwili gdy wstaliśmy po kolacji od stołu. Pozmywała naczynia, a Peggy i Richard grali w pokoju na dywanie w tryktraka. Znaleźli w komodzie starą zwichrowaną deseczkę i niewystarczający komplet żetonów, który uzupełnili guzikami i drobnymi monetami. Czytając miałem ochotę uciszyć grzechot kostek, szcęk żetonów, okrzyki radości i oburzenia podnieconych graczy; ponura, hałaśliwa krzątanka w kuchni zdawała mi się monologiem, którego powinien bym uważnie słuchać. Odetchnąłem z ulgą, gdy usłyszałem jej głos.

Nie pamiętałem tej piwnicy: puszki z zeschniętą farbą, terpentyna, jabłka, słoje brodate od oprzędu pajęczyn, skrzynia z kartoflami, od których biła ciężka woń ziemi, i oparte o skrzynię narąbane drewno pachnące zimowym lasem, przygotowane tu przez mojego zmarłego ojca, połyskliwa góra węgla, niski kocioł, od którego aluminiowe przewody rozgałęziały się na suficie piwnicznym. Kiedyś spędziłem tutaj z ojcem piekielne popołudnie rozmazując krzepnący cement po klepisku. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że podłoga, którą wtedy położyliśmy, jest gładka i równa, wcale nie spękana; jak gdyby tamten dzień przechował się niby podziemny staw, jezioro skarbów w krypcie.

Zaniósłem drewno na górę i dołożyłem do ognia. Wszystkie trzy psy zostały przez matkę zaproszone i spały zbite w długi mokry kłęb na kanapie. Jedno bystre okrągłe ślepie otworzyło się, gdy rzuciłem kłody na blachę przed kominkiem, któryś z psów sapał głośno. Peggy nie oderwała wzroku od gry, chociaż rozbudzony na nowo blask ognia wydobył z cienia krągłość jej ud. Przed kolacją poszła na górę i przebrała się w kaszmirowy sweter i szaroniebieskie elastyczne spodnie, naśladujące kombinezon roboczy. Otrzeptałem z rąk okruszyny kory i wróciłem do książki. Zaciążyła nad nami dziwna cisza. Deszcz zniżył głos. Richard szeptał coś do Peggy, ale nie rozróżniałem słów zagłuszonych przez szelest odwracanej właśnie kartki.

W kuchni matka stłukła jakiś talerz. Aby rozwiać wszelkie wątpliwości, czy zrobiła to umyślnie, stłukła drugi po chwili głuchej, zdumionej ciszy. Druga eksplozja zabrzmiała mniej ostro niż pierwsza, jakby talerz tym razem uderzył o podłogę z ukosa.

Kłęb futer na kanapie poruszył się i rozdzielił na trzy poszczególne psy. Największy, z nastawionymi uszami, zjeżony, skoczył na parapet okna i zaczął ujadać na jakiegoś urojonego napastnika. Najmniejszy, szczeniak, umknął do kuchni, merdając tuż przy ziemi jasnym koniuszkiem ogona, w rozterce między strachem a radością. Poszliśmy za nim. Matka stała trzymając oburącz na wysokości piersi trzecią sztukę porcelany, owalny niebieski półmisek, lecz wahała się przez chwilę i widocznie minął już moment,



gdy mogła zdobyć się na ciśnięcie nim o podłogę. Półmisek należał do serwisu, który skompletowała w kinie w Olinger, wtorek po wtorku, przed wojną. Zaciskając powieki wykrzyknęła, z udana rozpaczą:

— Co mają znaczyć te szepty?

Na uprzątniętym stole została samotna biała porcelanowa cukiernica, którą przysłałem jej z San Francisco z okazji jakiejś rocznicy. Peggy chwyciła ją, spytała:

— Czy to jakaś nowa gra?

I cisnęła cukiernicą o podłogę. Cukiernica potoczyła się, nie stłuczona, wyrzucając ku górze cukier niby smugę dymu, skręconą w kształt widmowej ósemki, a potem zaturlała się do listwy pod ścianą, podskakując na uszkach.

— Jakie szepty? — spytałem matkę.

— Szeptaliście. Słyszałem, że Richard coś szeptał.

— Pytał mnie, dlaczego zrobiło się tak cicho — powiedziała Peggy.

— No więc dlaczego?

— Sama pani wie najlepiej — odparła Peggy. — Pani wytwarza ponury nastrój i martwi swojego syna.

— Mojego syna? To on mnie martwi. Mówi, że zabiłam jego ojca.

— Nigdy tego nie powiedziałem — zaprotestowałem.

Twarz matki, zwrócona ku mnie, zdawała się bardzo duża, jak porysowane żyłami, nachylone ściany skalne w wodzie przypiływu. Wydają się wśród fal duże, mokre i wygładzone.

— Sprzykrzyło mi się być wciąż nienawidzoną — powiedziała. — Straciłam wszystko prócz szacunku tego chłopca i nie życzę sobie, żeby on szeptał.

— Nikt cię nie nienawidzi.

— A mnie się sprzykrzyło to wszystko — powiedziała Peggy i powiodła wkoło spojrzeniem tak, byśmy musieli zrozumieć, że nasz dom jest dla niej labiryntem. — Nie mogę dłużej narażać Richarda na tak ustawiczne wybuchy zdenerwowania. Joey, odwieziesz nas do miasta, a potem, jeśli zechcesz, wrócisz tutaj sam. Przepraszam, ale widzę, że nic tu nie mogę pomóc i chyba obie, proszę pani, będziemy się czuły lepiej, jeśli wyjadę.

— Jest już późno — powiedziałem.

— Zostań albo jedź z nami, jak ci się podoba — odparła Peggy. — Żyłam przez pięć lat samotnie i w przeciwieństwie do niektórych mężczyzn nie boję się ciemności.

— Brawo! — powiedziałem. — Die Königin der Nacht.

— Kochanie, idę się pakować — rzekła Peggy odchodząc na górę. Zasuwa u drzwi prowadzących na klatkę schodową opierała się, więc Peggy — na szeroko rozstawionych nogach, napinając biodra — szarpnęła gwałtownie drzwiami i otworzyła je na oścież.

— Owszem, pomagała mi bardzo — powiedziała matka łagodnym, słabym głosem. Histeria opadła z niej jak maska.

— Pójdę i porozmawiam z nią! — Głos Richarda załamywał się przechodząc od sztucznej powagi do dzieciennego altu.

— Cóż jej powiesz? — Chciałem sam iść za nią, byłem zazdrosny. A właściwie chciałem być mały jak on i pobiec do niej.

— Nie wiem, coś wymyślę. — Uśmiechnął się pokazując szparę między zębami. — Zwykle udaje mi się ją uspokoić.

— Powiedz jej — zawołała za nim matka, gdy chłopiec był już na schodach — że od dawna zamierzałam wyrzucić te stare niebieskie talerze.

— Zwracając się do mnie dodała: — Nigdy mi się nie podobały, ale przecież dostałam je darmo. Chciwość człowieka ogłupia.

— Rozbijmy wszystkie moje fotografie, którymi się tu obstawiłaś — powiedziałem.

— Nie waż się ich tknąć. To jest mój syn. Nie mam syna innego niż na tych obrazkach.

— Masz takie dramatyczne pomysły, mammo.



Z miną znużoną i na tyle tylko przesadną, aby zostawić matce wybór, czy się zechce uśmiechnąć, czy nie, wyciągnąłem z za chłodni szczotkę i śmietniczkę i sprzątnąłem z podłogi niebieskie skorupy talerzy oraz białe kryształki cukru. Szczeniak starał się mi pomagać i mokrym nosem wciąż trącał mnie w rękę. Gdy się wyprostowałem, matka, wycierając naczynia, wskazała głową na sufit i powiedziała:

— Kupidyn rozmawia z Wenus.

— Gdyby Joan kiedykolwiek zabrała się do pakowania walizek, może pozostałbym do dziś jej mężem — powiedziałem.

— Nie mogę pojąć, dlaczego mnie przypisujesz jakieś winy w historii z Joan.

— O co cię obwiniam, o moje małżeństwo czy też o rozwód z Joan?

— O jedno i drugie. Twój ojciec był taki sam. Kobiety dyktują prawa, kobiety rodzą dzieci, wszystko robią kobiety. Mawiał nawet, że nie przypomina sobie, żeby mnie poprosił o rękę, to ja wszystko tak urządziłam.

Zawartość śmietniczki zsunęła się ze szczękiem do kosza na śmieci, taniego, zniszczonego grata z wymalowanymi dookoła bukietami czerwonych róż przewiązanych złotą wstążką. Figurował wśród rekwizytów sztuki wystawionej przez uczniów szkoły średniej i stamtąd go przywiózł ojciec. Jak wiele ojcowskich kruchych zdobyczy, okazał się absurdalnie trwałe.

— Biedny Charlie — powiedziałem. — Ciekawe, czy też stanie się jak Richard małym mężem swojej matki.

— Biedny Charlie, masz rację. Jak mogłeś to zrobić, Joey?

— Zdawało się to konieczne. Charlie jednak wie, że jest moim synem.

Wpatrywałem się w kosz na śmieci, może spodziewając się, że jego pełne skorup wnętrze objawi mi prawdę o stanie psychicznym mojego opuszczonego syna, i matka zaskoczyła mnie, gdy nagle stanęła za moimi plecami i położyła mi rękę na głowie tuż nad karkiem.

— Tyle smutku — powiedziała — w takiej małej głowie.

Na schodach rozległy się kroki. Odsunęliśmy się od siebie jak winowajcy. Richard wszedł do kuchni i oznajmił z dumą: — Zostaje.

— Co jej powiedziałaś? — spytałem.

— Że to byłoby niegrzecznie.

— Jesteś genialny. Mnie by to nigdy nie przyszło na myśl.

— Co chciałbyś dostać w nagrodę? — spytała go moja matka.

Chłopiec wskazał na mnie.

— On mówi, że pani ma jakieś książki, w których są nazwy różnych roślin. Czy mógłbym je obejrzeć?

— Roślin, mówisz. A ptaków nie chcesz?

— Dziękuję, wydaje mi się, że trzeba zacząć od roślin.

— O ile mnie pamięć nie myli, mam tylko Kwiaty polne Schuyera Mathewsa, stary album z pomarszczonymi kartkami. Dostałam go, kiedy byłam jeszcze w szkole, i zabierałam w pole tę książkę i farby, żeby malować rysunki odpowiednimi kolorami. Chyba ten album leży na półce, jeżeli robaki go nie zjadły.

— Będę się z nim obchodził ostrożnie.

— Jaka roślina specjalnie cię interesuje?

— Żadna w szczególności. Myślę, że zacznę od przeczytania wszystkiego. Umiem bardzo prędko czytać. W ten sposób poznam wszystkie rośliny.

Matka uśmiechnęła się i położyła rękę na jego głowie.

— Nie jestem pewna, czy taki sposób będzie skuteczny. Nie zna się roślin, póki człowiek nie zobaczy ich naprawdę, a w książce jest mnóstwo takich, których nie spotkasz nigdy, chyba że zostaniesz botanikiem. Albo włóczęgą.

— Nad jeziorem, gdzie byłem na campingu, rosło mnóstwo jaskrawo-fioletowych kwiatów.

— Nie wiem, co to mogło być — powiedziała matka. — Nigdy nie mieszkałam w po-



blizu wody. W naszych stronach najbardziej fioletowa jest ostróżka. Sprawdzimy, czy ma jakichś krewniaków. Teraz przypominam sobie, że na końcu książki jest indeks kolorów.

Przeszli do pokoju, a ja poszedłem na górę do Peggy. Sypialnie były puste. Zawołałem i Peggy odpowiedziała z łazienki. Wyszła stamtąd niezadowolona, że jej przeszkodziłem. W rękę trzymała małą paczuszkę zawiniętą w papier toaletowy, przesiąkniętą krwią.

— Co z tym zrobić? — spytała chmurząc czoło. Jej opalone powieki i kości policzkowe wyglądały, jakby je umalowała szminką, wzorem orientalnych aktorek.

— Daj to mnie — odparłem wyciągając rękę. — Przechowam ze czcią.

— Nie! — Żart jej nie ubawił, unikała spojrzenia prosto w moją twarz. Badała wzrokiem kąty pokoju. — Nigdzie nie ma kosza na śmieci.

— Jest kosz na dole.

— Twoja matka zobaczy.

— I użyje do praktyk czarnej magii, co? Przepraszam cię.

— Za co?

— Za tę scenę.

— Nie była straszna. Myślę, że obie z trudem powstrzymywałyśmy się od śmiechu. Roześmiałem się.

— Nie mam pojęcia, co ona naprawdę myśli.

— Ależ to jasne. Potrzebny jej tu na farmie mężczyzna i myśli, że ciebie utraciła.

— Nigdy mnie nie utraciła. Nigdy nie lubiłem farmy.

— Och, zdaje mi się, że ją lubisz. W ten sposób, w jaki lubisz mnie. Jest duża i możesz się nią chwalić.

Wzruszyło mnie, że myśli o sobie tak skromnie, bez złudzeń, niemal zgodnie z prawdą.

— To twoja wina — powiedziałem — że można być z ciebie dumnym. — Peggy zbliżyła się do toaletki i włożyła zużyty tampax do swojej torebki. — Co robisz? Zwariowałaś?

— Proszę cię, nie zagradzaj mi drogi. Schodzę na dół.

— Nie tłucz tam naczyń.

— Chce zrobić to, co mi radziłeś. Będę po prostu sobą.

— Poczekaj, Peggy. Dziękuję ci, że nie wyjechałaś.

— Nie mogłam przecież ciebie tu zostawić.

— Pojechałbym z tobą.

— Nie chciałabym zrobić tego twojej matce. Dlaczego nie starasz się patrzeć na to z jej punktu widzenia, zamiast traktować każdy jej gest jak groźbę?

— To jest groźba przeciwko tobie zwrócona.

Wreszcie spojrzała wprost na mnie. Jedną ręką przygładziła włosy.

— Dlaczego jesteś taki wrogi? — spytała i odpowiedziała sobie sama: — Tyś chciał, żebyśmy wyjechała.

— Na Boga, nie! Nie opuszczaj mnie! — Mój protest zabrzmiał komicznie.

Peggy uśmiechnęła się.

— Twój wdzięk polega właściwie na tym, że jesteś trochę łajdakiem, Joey.

I kończąc rozmowę przeszła obok mnie, a lampa wisząca na podeście schodów rozjaśniła jej skórę. Skóra mojej żony blednie, gdy Peggy jest zagniewana, staje się bardzo gładka w akcie miłości, opala się prędko, jakby składające się na nią atomy tańczyły w wyjątkowo szybkim tempie. Ramiona obsypane są piegami i puzkiem, przez co wydają się jeszcze dłuższe i jakby żrebakowate; pięty są żółte i szorstkie od ukąszeń modnych pantofli; brzuch jest tak biały, że sinawy ślad zostawiony przez ciężę wygląda jak żyła w marmurze. Do miejsc, gdzie jej skóra zdradza zaczerwienieniem zmęczenie i wiek, chciałbym przyłgnąć ustami i pocałunkiem zdjąć brzemię, które, jak sobie wyobrażam, od urodzenia nosiła dla mnie. Skóra ta ma odcień, który dla mnie jest odcie-



niem życia, a leży na powierzchni czy może tuż pod nią, jak rozproszone światło. Gdy Peggy przechodziła pod lampą, cień odskoczył po paraboli z jej czoła, a profil zarysował się ostro na tle białego tynku zewnętrznej ściany. Poszedłem za nią na dół.

Matka i Richard siedzieli obok psów na kanapie, pochyleni nad wymiętymi kartkami zniszczonej książeczki.

— Powój — mówiła matka — pospolicie w naszych stronach nazywany wilcem. Pole pełne wilców martwi farmera, oznacza, to, że ziemia jest wyjałowiona,

— Tu napisane convo... convolulus.

— Łacińskie nazwy są wspaniałe. — Odwróciła kartkę i przeczytała: — Phlox pilosa. Phlox divaricata. Phlox subulata. U nas ludzie mówią na nie: płomyki.

— Często się zastanawiałem, dlaczego kwiaty nie bywają nigdy zielone. Tylko w tej porze, kiedy obchodzi się dzień świętego Patryka, sprzedają zwykle zielone goździki.

— Zielonych nie spostrzegłoby się łatwo. Pszczoły nie widziałyby ich wśród liści. Cały sens kwiatów jest w tym, że przyciągają do siebie pszczoły. Kwiaty są kolorowe z tego samego powodu, z którego twoja matka ubiera się tak ładnie. — Uwaga ta była jedynym dowodem, że spostrzegła naszą obecność w pokoju. Wróciłem do Wodehouse'a, a Peggy zaczęła zbierać przybory do gry w tryktraka. Ogień tlił się przyjemnie. Deszcz padał z pełną rezygnacji wytrwałością. Dwa większe psy dopominały się, żeby je wypuścić. Matka i Richard odprowadzili je do psiarni, biorąc z sobą jedzenie dla nich, a gdy po chwili wrócili z ciemności panujących na zewnątrz, mieli ubrania przemoczone na plecach. Peggy powiedziała Richardowi, że już czas, aby się położył do łóżka, i poprosiła, żebym się zajął chłopcem, chociaż właśnie doczytałem powieść do epizodu kradzieży przeznaczonej na wystawę rasowej świni, co mnie rzeczywiście zaczęło bawić. Spełniłem jednak życzenie Peggy.

Dawniej Richard wstydził się przy mnie rozbierać. Teraz bez namysłu zrzucił na moich oczach koszulkę sportową z napisem Yale, przydeptane tenisówki, które nosił bez skarpetek, szorty koloru khaki, które Peggy w swym skąpstwie zrobiła mu obcinając własne zniszczone spodnie, i elastyczne bokserki. Jego jędrne pośladki miały perłową bladość, spiczaste ramiona były opalone na ciemny brąz. Nagi wyglądał jak faun niedorzecznie zamknięty między wytapetowanymi ścianami w świetle lampy. Pokazał mi na łydkach i brzuchu zadrapania, pokaleczył się, gdy babunia uczyła go szukać jeżyn.

— Babunia?

— Twoja matka. Tak kazała mi się nazywać.

— Świetny pomysł. Piżamę masz pod poduszką.

— Szkoda, że nie wziąłem tej książki o kwiatkach do poczytania.

— Przede wszystkim umyj zęby.

— Och, na pewno o tym nie zapomnę, to byłoby świętokradztwo. Mama wpadłaby w szal.

— Będiesz jej kiedyś wdzięczny. Ja mam bardzo marne zęby i sprawiają mi mnóstwo kłopotów.

— Czy ich nie czyściłeś?

— Nie zawsze o tym pamiętałem. Co najgorsze, jadłem za dużo słodczy.

Odwróciłem się, żeby spojrzeć raz jeszcze na fotografie Joan. Zdawało się, że czegoś wypatruje czujnie, z oczyma wzniesionymi, z ramieniem lśniącym w świetle, ale nie było prawdopodobne, żeby ta stara opuszczona farma mogła ziścić jakiegokolwiek jej nadzieje.

— Ej! — Richard nie wiedział jeszcze, jak mnie wypada nazywać.

— Słucham cię, mój chłopcze. — Zdawałem sobie sprawę, że zabiegam o jego względy.

— Dlaczego twoja matka stłukła te talerze?

— Może uważała, że nie są już potrzebne. Nie wiem.

— To nie to. Czy gniewała się na moją mamę za to, że chodziła w kostiumie kąpielowym?



Miał jedenaście lat. Staralem się przypomnieć sobie, ile wiedziałem, gdy miałem jedenaście lat. Byłem mniej więcej w tym wieku, gdy przyjechałem do domu po przyjęciu urodzinowym, na którym bawiliśmy się w toczenie butelki, i matka z odrobiną ironii zachowała się tak, jakbym został napadnięty, zgwałcony, jakby ślad szminki na moich ustach był krwią.

— Nie myślę, żeby to mogło ją rozgniewać. Czy miałyby za złe twojej matce, że jest kwiatem?

— Najdziwniejsze, że naprawdę o mało jej pszczoła nie ugryzła.

— Twoją mamę?

— Tak. Powiedziałem jej, żeby stała bardzo spokojnie, i rzeczywiście to pomogło, pszczoła odleciała.

— Jesteś dobrym opiekunem swojej mamy. — Słuchał uważnie, ale nie dosłyszał ironii. Ciągnąłem dalej: — Myślę, że moja matka tłukła talerze po to, żeby nam przypomnieć o swojej obecności. Boi się, że zapominamy o niej. Ludzie w jej wieku doznają takiego lęku.

— Nie wydaje się bardzo stara.

— W moich oczach jest stara. Znałem ją, gdy była taka jak twoja mama.

— Pod jakim względem?

— Młoda. Mieszkaliśmy wtedy w innym domu, w mieście, a moja matka często doganiała autobus. Raz zdarzyło się, że mój model samolotu uwiązł w koronie jakiegoś drzewa i matka wdrapała się na nie, żeby go dla mnie odzyskać. Była dobrą sportsmenką. W college'u grała w drużynie hokejowej.

— Moja matka nie ma żyłki sportowej. Ojciec nie cierpiał grać z nią w tenisa.

Wydało mi się, że leżę w łóżku, a młoda kobieta stoi nade mną, jej włosy, rozpuszczone na ramiona, opadają naprzód, wypełniając powietrze szybkim, płynnym ruchem, zwisają jak skrzydło obrzeżone światłem, zamykają mnie w namiocie, gdy kobieta pochyla się, żeby mnie pocałować na dobranoc. Taki obraz wywołała próba przypomnienia sobie matki młodej i wysmukłej. Miałem wrażenie, że za wysokim oknem rozciąga się pusta parcela, na której bawią się jeszcze starsze dzieci z sąsiedztwa.

— No, myj zęby — powiedziałem do Richarda.

Obserwowałem go, gdy mył zęby, podziwiając jego sprawność i myśląc o tych wszystkich drobnych obowiązkach, które trzeba opanować, żeby stać się dorosłym człowiekiem. Richard splunął do miski, opukał szczotkę z fascynującą dokładnością, odwrócił się i dla żartu niby groźny lew wyszczerzył do mnie zęby w pachnącym miętą uśmiechu. Najbardziej zdumiewa w dzieciach sposób, jakim — nie tyle przez nieświadomość niebezpieczeństw, ile po prostu przez swoje zwierzęce zuchwalstwo — dodają nam odwagi, niezbędnej, jeśli chcemy je chronić. Czarne i rozszteptane okno odbijało tył jego głowy; można by pomyśleć, że jakiś kudłaty stwór zagląda przez szybę. Cała dżdżysta, ciepła noc oblegała naszą oświetloną placówkę. Stałem na straży, gdy Richard uroczyście siusiał, wysuwając naprzód biodra, żeby zwiększyć margines błędu, i spod długich rżęs śledząc rytuał łączenia moczu z wodą. Wspominając ławeczkę, którą dałem Charliemu, żeby mógł stojąc na niej górować nad miską klozetową jak dorosły mężczyzna, pomyślałem, że tę umiejętność także każdy chłopiec musi opanować.

Zaproponowałem Richardowi, że mu coś poczytam. Propozycja, jak się zdaje, ubawiła go.

— Szybciej czytam sam, po cichu.

— Wiem. Myślałem, że może to podziała na ciebie usypiająco. A może brak mi dzieci, którym mógłbym czytać.

— Dobrze więc, poczytaj mi. Czy mam zejść na dół po tę książkę o kwiatkach?

— Byłaby chyba nudna do czytania na głos.

— Jest też antologia opowiadań fantastyczno-naukowych.

— Twoja matka uważa, że to się nie nadaje do czytania przed snem.

— Mama niepokoi się bez potrzeby mnóstwem rzeczy.



— Wiesz co? Opowiem ci jakąś historię.

— Umiesz?

— Opowiadałem dawniej co wieczór inną historię. Tamte dzieci były... — Omal nie powiedziałem "moje". — ...mniejsze, musisz więc wybaczyć, jeżeli historia będzie niezupełnie dostosowana do twojego wieku.

— Nie szkodzi. Lubię to, bądźmy jak dzieci.

Zastanawiałem się, czy wie, że powtarza niemal słowa Pisma Świętego. Jego matka od czasu do czasu używała czasownika "znać" w archaicznym, jak mi się zdawało, biblijnym znaczeniu. "Nie znałam mężczyzny do dwudziestego roku życia. Oczywiście, dla kobiety jest lepiej, kiedy już zna mężczyznę." Ich bezmyślny achrystianizm martwił mnie czasem i wyrzucałem sobie, że nigdy nie zdobyłem się na odwagę, żeby nauczyć Richarda wieczornego pacierza, tak jak nauczyłem tego moje dzieci. Zamknąłem oczy i czułem, jak jedna gwiazda czuje przyciąganie drugiej, Richard także zamknął oczy.

— Była sobie kiedyś pewna żaba i padał deszcz — zacząłem szukając po omacku wszystkimi zmysłami następnego obrazu. — Deszcz bębnił po jej usianej brodawkami skórze jak po dachu, więc żaba cieszyła się, że ma taką nieprzemakalną skórę.

— Każda skóra jest nieprzemakalna.

Otworzyłem oczy, zobaczyłem, że chłopiec wpatruje się w moją twarz z wyrazem bezczelności czy może strachu, co przypomniało mi jego ojca, i straciłem pewność, że przed chwilą Richard zamknął oczy.

— Ale ta skóra była szczególnie nieprzemakalna, ponieważ siedziała w niej żaba bardzo maleńka.

— Jak to? Przecież to nie ma sensu.

— Żaba żyła jak malutki król w swoim zamku wewnątrz tej skóry. Gdy wydawała rozkaz, wielkie nogi przerzucały ją z jednego liścia wodnej lili na sąsiedni, a gdy dawała inny rozkaz, język niby kusza na sznurku wystrzelał w powietrze i przeszywał biedną muchę. — Ile to razy słyszałem ostatnio ten epitet w innym połączeniu: "Biedna Joan"? — Ta żaba — ciągnąłem dalej — wyobrażała sobie, że ma gębę szeroką jak forteczna brama, a oczy na czubku głowy jak wieża, i doszły do niej pogłoski, że głęboko w lochach jej wnętrzości, gdzie nigdy jeszcze nie była, ukryty jest wspaniały skarb.

— W kiszkach! — roześmiał się Richard.

Na dole Peggy i moja matka zaczęły rozmawiać. Nie mogłem rozróżnić słów. Pilno mi było skończyć bajkę.

— No i pewnego dnia — powiedziałem — kiedy deszcz ustał i liście opadły, i wszystko dokoła nabrało brązowego koloru, żaba poczuła się okropnie znużona, więc postanowiła wybrać się na poszukiwanie cudownego skarbu, o którym ktoś — ale nie wiedziała kto — zapewniał ją, że jest ukryty w jej wnętrzu. Zaczęła więc schodzić w dół krętymi schodami ze swej głowy...

Richard śmiał się, a ja rozmyślałem, czy nie warto by na jego rozdzielone pośrodku zęby nałożyć klamerki, ale z pewnością Peggy naradzała się co do tego z dentystą.

— ...schodziła w dół przez szeroką beczkę gardzieli, po wygiętej drabince żeber, przez ciemną sklepioną salę, gdzie każdy krok odbijało echo...

— Przypomina mi się doktor Seuss — powiedział Richard.

— Ja raczej myślałem o Dantem — odparłem. — Słyszałeś coś o Dantem?

— Nazwisko brzmi jakoś z francuska.

— Mało brakowało, a byłbyś zgadł. No więc schodziła niżej i niżej, do coraz bardziej dziwnych i ciemnych pokoi, a im niżej schodziła, tym się stawała mniejsza i w końcu, gdy już była pewna, że dotarła do lochu ze skarbami, zniknęła.

Oczy chłopca rozszerzyły się w milczeniu tak, że mogłem obserwować widoczne w świetle lampy warstwy kolorów — ziarniste, promieniste, jakby delikatnie rozdarte — mieszczące się w jego brązowej tęczę. Tam, na parterze, kobiety podniosły teraz głosy; daremnie czekałem na śmiech.

— I to już koniec? — spytał Richard. — Żaba umarła?



— Któż mówi o śmierci? Zrobiła się taka maleńka, że nie mogła już sama siebie odnaleźć. Zapadła w sen zimowy.

— Aha, prawda. Mówiłeś przecież, że liście opadły.

— Naprawdę myślisz, że śmierć to zniknięcie?

— Nie wiem.

— No tak, ja też nie wiem. W każdym razie w jakiś czas później, wiosną, żaba obudziła się, rozejrzała w ciemnościach i pobiegła przez mroczne sale, po krętych schodach pod górę, aż do swoich oczu, otworzyła powieki i wyjrzała na świat. Niebo było błękitne. I to już koniec bajki.

— Podoba mi się, że otworzyła powieki jak okiennice.

— Dziękuję ci. Jesteś wdzięcznym słuchaczem.

— Opowiesz mi znowu kiedyś jakąś historyjkę?

— Chyba nie. Jesteś za duży.

— A ile lat ma teraz Charlie?

— Charlie?

— Twój prawdziwy syn.

— Ma siedem lat. W październiku będzie miał osiem.

— Nie jest za mały, mógłbym się z nim bawić.

— Tak myślisz? Może to jakoś urządzimy. Charlie wkrótce przyjedzie z powrotem do Nowego Jorku.

— Wiem.

Peggy mu powiedziała. Czułem, że za tym uprzejmym zainteresowaniem kryje się Peggy. Ale ja, w przeciwieństwie do niej, nie umiałem jeszcze wyobrazić sobie sytuacji pozbawionej już cech katastrofy, tego etapu, gdy dzieci mogłyby się z sobą bawić, jak gdyby rozwód stwarzał pewne kuzynostwo.

— Czy chcesz, żebym ci teraz przyniósł książkę do poczytania? Co wolisz, kwiaty czy opowiadania fantastyczno-naukowe?

— Daj spokój. Porządnie się dzisiaj zmachałem. Będę sobie tak leżał i słuchał deszczu. Wczoraj w nocy słyszałem, jak sowa huknęła.

— Ja też słyszałem. Zgaszę tę lampę, ale zostawię światło w łazience.

— Nie trzeba. Ja się nie boję ciemności.

— To na wypadek, gdybyś obudził się i nie pamiętał, gdzie jesteś.

Schyliłem się, żeby przekręcić wyłącznik lampy, i zamiast wyprostować się zaraz, spróbowałem pocałować Richarda. Chociaż nie było to w zwyczaju, spodziewał się tego i odwrócił głowę sztywnym skrętem, charakterystycznym dla małych chłopców, ale w ciemności nie mogłem rozeznaczyć, czy w moją stronę, czy też odsuwając się ode mnie. Moje usta natrafiły na zagłębienie w skórze tuż przy kąciku jego warg.

— Śpij, żabo — powiedziałem.

Gdy szedłem po schodach w kierunku głosów rozbrzmiewających w oświetlonym pokoju, dosięgła mnie, ogarnęła fala nikłej, znajomej woni; w pierwszej chwili niepewności pomyślałem, że może objawia się tak jakiś upragniony skarb, przez wilgoć wydobyty spomiędzy kamieni, tynku, drewna i historii domu. Ale naprawdę to wrażenie czyjejś obecności wywołał wilgotny ręcznik porzucony na schodach i ostro pachnący mokrymi włosami Peggy.

Moja żona i moja matka rozmawiały, rozmawiały od wpół do dziesiątej do dziesiątej, ale chociaż ta rozmowa — w której wiry sporów bezsensownie rozplływały się, gdy jedna lub druga opuszczała pokój i wracała z napełnionym na nowo kieliszkiem wina czy garstką precli, albo ze szklanką rozcieńczonego dżinu, a duszne tunele napięcia wywodziły na otwarte przestrzenie sielankowych niemal wspomnień, znowu po chwili zwięzające się niepostrzeżenie — chociaż ta rozmowa była niejako szczytowym momentem i celem naszej wizyty, nie mogłem jej się przysłuchiwać bardzo uważnie. Matka w półleżącej pozycji spoczywała na kanapie usłanej psią sierścią, Peggy wychylała się



naprzód z głębokiego fotela, w którym niegdyś królował mój dziadek, a ja siedziałem między nimi na ogrodowym krześle pomalowanym niebieską farbą i czytałem Wodehouse'a. Od czasu do czasu zwracały się, apelowały do mnie.

— Czy ty miałeś naprawdę wrażenie, Joey, że twój ojciec był tak tyranizowany? Peggy przecież nie wpadłaby sama na ten pomysł, gdybyś ty go jej nie podsunął.

— Joey, sam mówiłeś mi, że do dziewiętnastego roku życia nie pozwalano ci chodzić na randki z dziewczętami!

— Joey, czy to prawda, że Joan była niewierna, czy też wymyśliłeś to tylko na swoje usprawiedliwienie?

— Joey, potwierdź to, co mówię. Jeżeli teraz milczysz, to widocznie przedtem mnie okłamałeś.

— Joey, czy ona zawsze tak podnosi głos w rozmowie, czy też mój widok doprowadza ją do hysterii?

W przerwach między tymi gwałtownie miotanymi w moją stronę haczykami, które boleśnie raniły mi głowę i wyszarpywały ze mnie słowa uspokajające, samoobronne lub też gniewne — podczas gdy na moich kolanach paru przezroczyстых ekscentryków brykało wśród krajobrazu czystej zieleni — uświadamiałem sobie, że toczy się obfitym strumieniem rozmowa, a w jej bagnistym nurcie dwie irytująco niezgrabne istoty pływają się szukając czegoś i wymijając się ustawicznie: głosy ich coraz głębiej nurkowały w ciemnej zagadce, jaką każda z nich przedstawiała dla drugiej, ścigając cienie — mego ojca i mnie, jak przypuszczałem. Peggy powzięła wyobrażenie, które teraz, w straszliwej pełni tej wymiany zdań, mogła przeistoczyć z podejrzenia w oskarżenie, w szczegółowy rejestr win popełnionych w przeszłości, znanej jej tylko pośrednio z moich relacji, i twierdziła, że matka nie doceniała i zniszczyła mojego ojca, że nie była w dostatecznym stopniu dla niego "kobietą", że ściągnęła go na farmę, która w rzeczywistości była jej olbrzymim kochankiem, i w ten sposób wypaczała również we mnie, w swoim synu, poczucie męskości. Słyszając jak przez mgłę jej wywody, myślałem o moim ojcu takim, jakim był w rzeczywistości, o jego upartej cielesności i zabawnej dobroci — pozwalał sobie na samowyrzeczenie z taką przyjemnością jak inni ludzie na zmysłowość — zamykałem więc uszy przed głosem Peggy, który zbyt przykro klócił się z prostym, niewyraźnym stanem rzeczy. Matka ze swej strony wysunęła przeciwstawną legendę, której ośrodkiem byłem ja, jedyne dziecko, rzekomo wybraniec, poeta, oderwany przez nieświadomą tej prawdy osobę od idealnie odmaterializowanej i uległej żony, wciągnięty w grzech cudzołóstwa i potępiony na wieki za osierocenie rodzonych dzieci.

— Spójrz w jego oczy! — krzyknęła matka porywczo, a ja podniosłem wzrok ukazując na swojej twarzy dowód, którego obie szukały.

Może obie miały rację. Każda błędna koncepcja sama przez się staje się pewną tezą zawierającą odrobinę prawdy, skoro istnieje w jednym przynajmniej umyśle. Jak poczyła mnie moja praca zawodowa, prawda nie jest czymś statycznym, górskim szczytem, do którego przybliżają nas stopniowo różne stwierdzenia, niby ataki podejmowane kolejno przez nękaną mrozem alpinistów. Prawda raczej kształtuje się ustawicznie z ustalających się złudzeń. W Nowym Jorku pracuję wśród ludzi, których pomyłki wchodzą w rok później w modę i przez wszystkich bywają przyjęte, jak nowy fason butów.

Strach wzbraniał mi słuchać mojej żony i matki. Z takim rozmachem burzyły przeszłość, że bałem się dowiedzieć, iż nigdy nie znałem naprawdę ojca i sam siebie nie rozumiałem. Ich rozmowa wydawała mi się starciem dwóch ciemności, ale ciemność matki była pożywna, a ciemność Peggy zimna, gęsta i metaliczna. Z pewnością zostając moją żoną podjęła wraz ze mną ciężki obowiązek matkowania mojej matce, dostosowywania się do wykoślawień tego zachłannego ducha. Dym jej papierosa znieważał ten pokój.

Szczeniak przeniósł się z kanapy na dywanik przed kominkiem, niegdyś leżący w łazience, wkrótce jednak powędrował dalej, zaniepokojony bliskością ognia huczącego mu w uszach, i schronił się w kuchni pod stołem. Ogień domagał się nowych szczap.



Poszedłem do piwnicy, gdzie widmo mojego ojca wciąż jeszcze pracowało, i wróciłem z naręczem drew. Ogień buchnął z nową siłą i pomyślałem, że w jego dzikich oczach profil Peggy, dumnej i sztywnej w głębokim fotelu, wydaje się pewnie tak nieugięty jak karta z talii do gry. Równocześnie z przenikliwym szeptem deszczu głos matki odpowiedział:

— Dawniej niepokoiłam się o Joeya. Miewał nieoczekiwane wybuchy okrucieństwa. Nigdy nie dręczył co prawda owadów, ale torturował zabawki. Słyszeliśmy nieraz, jak w swoim pokoju przemawiał do nich, usiłował je zmusić do wyznań. Jego ojciec sądził, że to skutki propagandy wojennej. Możliwe, że miał słuszność. Ja myślałam, że w tym przypadku powód jest inny: ból był dla niego czymś tak rzeczywistym, że fascynował go. Kiedy przenieśliśmy się na farmę, daliśmy mu szczeniaka, Mitzi. Drażnił psinę tak, że chowała się przed nim w rurze ściekowej koło kurnika. Ale rosła i pewnego dnia okazało się, że jest za duża, by się we wnętrzu rury obrócić i wyleźć. Joey przybiegł do mnie; nigdy przedtem nie widziałam na jego twarzy takiego wyrazu i pamiętam, że wtedy pomyślałam: "Cokolwiek go w życiu czeka, nie może już nic gorszego przeżyć." Próbował dokopać się gołymi rękami do drugiego końca rury, tkwiącego w ziemi. Zanim zdążyliśmy dobiec na miejsce, pies zrozumiał, że może się wycofać bez odwracania. To bardzo sprytne zwierzęta. Koń nigdy by nie potrafił dojść do tak logicznego wniosku. Słyszałam o koniach, które spłonęły żywcem, mimo że tuż za nimi wrota stajni były otwarte. W dzieciństwie, w Alton, pewnego targowego dnia widziałam, jak koń udusił się usiłując zbiec z bryczką, w której oś pękła. W każdym razie w tej historii z Mitzi coś mi się nie podobało: Joey, chociaż gorąco wdzięczny psinie, że się wyratowała, prowadził ją tam, ilekroć był w złym humorze, i pokazywał jej wylot rury udając, że chce ją tam znów wpakować. To mi się wydawało nielojalne.

Deszcz i głos mojej matki połączyły się w uszach Peggy; w punkcie, gdzie się przecinały, kiwnęła głową raz, potem drugi, i zasnęła. W chwilę później wstała z wielką godnością i powiedziała:

— Przepraszam, powinnam już chyba pójść do łóżka.

— Świetny pomysł — odparła matka. — Cieszę się, że porozmawialiśmy, chociaż nie jestem pewna, czy dobrze wyraziłam swoje myśli.

— Sądzę, że to nigdy się nie udaje naprawdę — powiedziała Peggy. Chwila snu zostawiła na jej twarzy dziwny ślad, jak gdyby maskę. Odwróciła się, uśmiechnęła do mnie z wysoka i trochę kwaśno, i wyszła nie dając mi sposobności do towarzyszenia jej.

Kiedy kroki na górze skierowały się do łazienki i cichły, matka powiedziała:

— Czy myślisz, że popełniłeś błąd?

— W czym?

— Rozwodząc się z Joan i żeniąc z Peggy.

Byłem rad, że nazwała moją żonę po imieniu, równie po prostu i dokładnie tym samym tonem, jakim wymawiała imię Joan. Można by pomyśleć, że mówi o swoich dwóch córkach.

— Tak. Tak. Tak.

— Co znaczy to: "tak"?

Uśmiechnęła się przepraszając za tę trudność porozumienia między nami.

— Tak. Źle zrobiłem.

Podniosła brwi, może dlatego, że nie odpowiedziałem ściśle na pytanie. Następne jej słowa należały jakby do innego toku myśli.

— Dzieci?

— Nawet pomijając ich sprawę, zrobiłem źle. Joan nie dawała mi wielkiego szczęścia, ale naturalny kierunek mojego życia z nią się łączył. Opuszczając ją wykoleiłem swoje życie.

— I życia innych ludzi.

— Trudno się ruszyć nie naruszając jednocześnie życia innych.

— To samo ja sobie mówiłam, kiedy kupowałam farmę.



— Wiedziałem, że to pomyłka, nawet wtedy, gdy jeszcze nie było za późno. — Głos, trochę podniesiony i żywy, wydawał mi się obcy, chociaż dobywał się ze mnie. — Ale już za daleko się posunąłem, może to był mój upór, odziedziczony po ojcu, że za nic nie chciałem się cofnąć.

— Raczej ciekawość, którą masz po ojcu.

— Właśnie. Musiałem przekonać się, jak to będzie.

— A jak jest?

— W pewnym sensie cudownie. Ale są chwile, gdy ona dla mnie staje się otchłanią. Bywa czasem strasznie głupia.

— Nie jest inteligentna.

— Nie tak inteligentna jak my.

— I nie tak jak Joan.

— Dlaczego nie cierpiałaś Joan? W końcu ja też przestałem ją lubić z twojej winy.

— Fantazjujesz, lubiłam Joan. Miała własny styl. Miała to, co się dawniej nazywało towarzyskim wyrobieniem. Rzadka zaleta. Przypominała mi siostrę twojego ojca, a zawsze czułam się nieswojo w obecności tej szwagierki. Kiedy się do niej zbliżałam, ogarniał mnie niepokój, że nie umyłam się dość dokładnie. To ty nie lubiłeś Joan.

— Ścisłej byłoby powiedzieć, że jej nie znałem.

— Tak. W jakimś sensie Joan traktowała cię z góry.

— Teraz ją kocham. Niepojęte, jak bardzo kocham ją teraz, kiedy jest w Kanadzie.

— Przy Joan miałeś dość swobody, żeby zostać poetą. To jest twoja prawdziwa miłość, kochasz poetę, którym teraz już nigdy nie będziesz.

— Ja poetą... To ty chciałaś być poetką.

— Nie, ja chciałam być farmerem. Mój ojciec, który był farmerem, pragnął być mówcą.

Roześmiałem się z lekkości, z jaką snuła te legendy, mimo braku tchu i leżącej pozycji.

— A teraz — powiedziałem — ty jesteś mówcą, a ja farmerem.

Poruszyła się na kanapie z cichym okrzykiem, jak gdyby bólu.

— Nie śmieję się, Joey. Jak możesz się śmiać? Przecież wprowadziłeś moją śmierć do tego domu.

— Jak to?

— Ta kobieta jest zawzięta, uśmierci mnie, zanim rok upłynie.

— Tak myślisz?

— Przekonasz się sam. Wiedziałem, jak moja matka wyprawiała babcię Hofstetter na tamten świat nie tknąwszy jej nawet palcem. Kiedy wczoraj wieczorem zobaczyłam ją idącą tak wesoło ścieżką, wiedziałam od razu, że całuję własną śmierć.

— Jesteś zanadto egocentryczna, mamó. Ona cię nie zna. Nic jej nie obchodzi twoja osoba i twoja farma.

— Nie łudź się, Joey. Ona pochodzi z Nebraski, umie się poznać na kawałku dobrej ziemi. Chciałaby dostać te pieniądze, które tkwią w moich polach. Szkoda, że nie wiedziałeś, jak się ożywiła, kiedy szliśmy wzdłuż górnego pola, które w razie czego pierwsze by się zamieniło w parcele budowlane.

Roześmiałem się, bo wyobraziłem sobie bez trudu tę scenę. Peggy namiętnie lubi oglądać wystawy sklepowe.

Matka ciągnęła dalej:

— Zarabiasz pewnie więcej niż twój ojciec, ale nie dość, żeby utrzymać dwie kobiety. Nie wyobrażaj sobie, że ona i Joan będą zgodnie jadły z jednej miski. Kupiłeś sobie, Joey, kosztowną zabawkę. To jej bikini, czy jak wy to tam nazywacie, te modne spodnie, te przezrocyste nocne koszule... tego się nie dostaje w sklepie za piękny uśmiech.

— Jej koszule nie są przezrocyste.

— Może, za to oczy na pewno, i widzę w nich ruinę mojego syna.

—Może po prostu dlatego, że wyczuwając strach matki przed bliską już śmiercią



potrzebowałem jakiegoś wielkiego własnego zmartwienia dla równowagi, jak gdyby lustra, repliki, wydawało mi się, że w słowach matki tkwi prawda. Ruina. Pławiłem się z przyjemnością we wrażeniu, że tonę, duszę się, ginę, zapomniany, unicestwiony w głębinach pomyłki, którą matka przepowiadała, włączając jak gdyby mój upadek do własnej mitologii.

— Wziąłeś sobie pospolitą kobietę za żonę. To była prawda.

Wzruszyła ramionami nie do mnie, lecz raczej do tej zagmatwanej prawdy, wymagającej ciągłego rozsupływania, powiedziała:

— No cóż, Biblia mówi, że wszyscy trwonimy dziedzictwo. Dziwne tylko, że po sześciu tysiącach lat zostało na świecie jeszcze coś do roztrwonienia.

— Jest głupia. — Nigdy nie mogę nadażyć za matką i zawsze z opóźnieniem dochodzę do punktu, z którego ona przed chwilą wyszła. Uśmiechnęła się widząc, jak wyprostowałem się na krześle, dziecinnie podniecony odkryciem oczywistej prawdy. — Wyjątkowo głupia.

— Wiedziałeś chyba o tym.

— Nie — odparłem. — Skoczyłem z zamkniętymi oczami. Przypisywałem jej wszystko, czego pragnąłem. Nie mogłem uwierzyć, żeby istota tak piękna była mniej inteligentna ode mnie. Wyobrażałem sobie chyba, że sama się stworzyła.

— Widzisz. Zapomniałeś o Bogu.

W tym najjaskrawiej objawia się brak logiki mojej matki, że jej religijność obywała się jakby bez wiary.

— Przeciwnie — powiedziałem starając się słowami owinać jak najdokładniej bolesną ranę, którą jej oskarżenie musnęło — nigdy nie czułem się pod tym względem spokojniejszy. To jedyna pociecha średniego wieku. Problem przestaje istnieć.

Chciałem chyba wyrazić w ten sposób, że wierzę.

Z dziwnie władczym zniecierpliwieniem, które podobnie jak lekkość głosu zdawało się istnieć na marginesie jej bezwładnej masy i zasadniczej słabości, odsunęła jednym gestem i Peggy, i Boga.

— A co myślisz o farmie? — spytała.

— O farmie? Cóż mam myśleć? Istnieje bez wątpienia.

— Czy przestanie istnieć wraz ze mną?

Wstałem z krzesła, trochę urażony; jeśli moje wzburzenie trzeba by zakwalifikować jako grzech, był to grzech zazdrości.

— Nie przypuszczam, żebyś miała wkrótce odejść — odpowiedziałem matce. Gniewała mnie łatwość, z jaką przyjęła moją zdradę wobec Peggy, z jaką ją wchłonęła pasywnie, siedząc bez drgnienia, poświęcając wszystkie myśli, najskrytsze swoje myśli nie mnie, lecz farmie. Dlatego zlekceważyłem jej śmierć.

— To jest już blisko, tuż przede mną, Joey.

Jej głos był zmieniony, nagłocy, osłabły, a w tej pozie na kanapie wyglądała tak, jakby ją coś przytłaczało; odchyliła głowę i widziałem nagą, miękką i bladą szyję. Dławiło mnie w gardle, jak gdybym zaskoczył rodziców w akcie miłosnym. Chciałem uciec, ale jakaś nić — uprzejmość obowiązująca w stosunku do obcych, dziecinnie nawyk czekania na pozwolenie — trzymała mnie mocno pośród ścian deszczu i fotografii, pomiędzy ciemną kuchnią i dogasającymi popiołami na kominku.

Matka przyglądała mi się czujnie. Zastosowała znów jeden z tych swoich manewrów nagłego odwrotu, którymi ostatecznie zawsze narzucała mi synowski dystans, i podnosząc się rzekła:

— Mam nadzieję, że nie przemęczyłeś się dzisiaj tą robotą.

— Czuję miłe odrętwienie — odparłem.

— Oczy masz podpuchnięte, jak zwykle miewałeś w porze kwitnienia złotych różg. Myślałam, że mieszkając nad morzem wyleczyłeś się z tego.

— Żałuję, że nie dało się dziś zrobić więcej — odpowiedziałem. — Jeżeli pozwolisz, skosiłbym jutro przed odjazdem chociaż resztkę małego pola.



- Kiedy musicie wyjechać? — spytała.
- Późnym popołudniem. Poniedziałek to dzień roboczy, a dla Richarda szkolny. Westchnęła.
- Zobaczmy. A teraz nie każ Peggy dłużej czekać.
- Może pójdziesz pierwsza do łazienki?
- Nie, najpierw ty się umyj.
- Przyjemnych snów.
- Przyjemnych snów.

Na klatce schodowej głos deszczu brzmiał inaczej, a u szczytu schodów jego stukot zdawał się uwięziony po niewłaściwej stronie okna i jakby szukał czegoś między suchymi czasopismami, spiętrzonymi na szerokim parapecie i nie tkniętymi od dnia śmierci ojca. Oddech Richarda przeskoczył jedną nutę taktu, więc przystanąłem, żeby się upewnić, czy dziecko śpi. Wszedłem do naszej sypialni nieśmiało. Ciemność, otulona zewsząd deszczem, była absolutna, tylko w lustrze nad toaletą został owalny połysk światła. Nie ryzykując obudzenia Peggy zrezygnowałem z szukania piżamy i wsunąłem się do łóżka w slipach. Pustka, która mnie w nim przyjęła, zdawała się ogromna. Moja stopa ukradkiem zakreśliła szeroki łuk, nim dotknęła spokojnej skóry Peggy. Peggy leżała na wznak. Okno po mojej stronie było nie domknięte i werbel deszczu dudnił nieco mocniej, rozpylony w wachlarz dźwięków przez ten pryzmat powietrza. Zimna mgiełka obryzgiwała mi twarz, rękę, którą trzymałem przy twarzy, i nagą pierś. Kichnąłem. Pyłek kwiatowy i sieczka, które wdychałem przez cały pracowity dzień, pęczniały teraz w głębi mojego nosa. Kichnąłem po raz drugi.

- Zlitujże się! — powiedziała Peggy.
- To ten przeciąg! — Kichnąłem. — Otworzyłaś okno. Czy pozwolisz je zamknąć?
- Nie.
- Dobrze więc, zabij mnie.

Całe moje ciało sprężyło się do następnego kichnięcia, ale Peggy, jakby mocując się ze mną, opasała mi ciasno pierś ramieniem; ta drobna zmiana, dokonująca się pod uciskiem jej ramienia w moich chemicznych reakcjach, rozjaśniła mącąca się już głowę.

— Cóż za wrażliwość! — Jej głos był oschły. — Nie powinienesz być w ogóle opuszczać łona matki.

— Było mi tam rozkosznie — potwierdziłem. — Idealna pokojowa temperatura. — Peggy milczała, więc zapytałem: — Słuchałaś?

- Nie mogłam nic dosłyszeć. Czy przeprowadzaliście na mnie wiwisekcję?
- Jak możesz mówić takie okropności?
- Czuję, że oboje uważacie mnie za głupią. A zresztą wszystko mi jedno. Czuję się lepsza.
- Dobrze. Obejmuj mnie tak nadal.
- Nogi masz zimne jak lód. O czym rozmawialiście?
- Przeważnie o farmie. Czy można, czy też nie można kosić w niedzielę. Jak twoje krwawienie?

- Potop. Myślę, że to dla harmonii z deszczem.
- Biedactwo. Przydałoby ci się dziecko.
- Mam już dziecko. Nawet dwoje, licząc Richarda.
- Proszę cię, pozwól mi zamknąć okno, matka obawia się, że dostanę kataru.
- Jeśli koniecznie chcesz. Ale ja się chyba uduszę.

Wstałem, żeby zamknąć okno. Cichy stuk ramy okiennej podziałął jak naciśnięcie cyngla, błyskawica rozdarła noc za wzgórzem Schoelkopfa, a grzmot huknął jak porywczy i zanadto spoufalonny gość. Wróciłem do łóżka i położyłem się obok Peggy. Jej ciepło przeobrażało mnie cieleśnie. Położyła na mnie swoją owalną dłoń.

- Zlituj się — powtórzyła.
- Nie zważaj na to — powiedziałem. — To tylko głupota przyrody.
- Czy mogłabym ci jakoś pomóc?



— Nie, kochanie. Znadto się wysilasz, żeby spełnić obowiązki żony. Odpocznij. Po prostu bądź sobą.

Posłusznie cofnęła rękę. Pod nami, za nami psy zaszczekały i odpowiedziało im trzaśnięcie drzwi.

— A więc spałaś z profesorem Yale — powiedziałem. — Niech to diabli.

Boję się śnić o moich dzieciach. Gdy je opuściłem, z początku nigdy mi się nie śniły. Jeżeli w ogóle zdołałem zasnąć, zapadałem w nicość. Później, gdy rozłąka z Joan ustaliła się we własnym układzie nawyków i stała się czymś powszednim, śniłem o dzieciach co noc. Wystarczyło zamknąć oczy, by Ann i Martha przychodziły do mnie z jakimś splątaniem sznurkiem do rozsupłania, z połamanymi zabawkami do naprawy, z trudnym zadaniem do wyjaśnienia, z zawiałą łamigłówką, którą pomagałem im rozwiązać. Po małżeństwie z Peggy te sny rzadziej mnie nawiedzały. Dzisiejszy był pierwszy w tym tygodniu. Kosilem. Traktor potknął się o coś, usłyszałem głucho stuknięcie. Zatrzymałem traktor, zszedłem z niego, bojąc się, że odkryję rozbite bażancie jajka. Pole zmieniło się pod moimi stopami. Szukałem ścieżki przez jakiś obcy krajobraz, podobny do pustej parceli, ale zarośniętej kępami trawy jak bagno i dymiącej jak wysypisko śmieci. Na ziemi leżało coś, zwinięte w kłębek, okryte skorupą szarego błota. Nagle zaniepokojony, przepełniony litością, podniosłem to, obejrzałem i stwierdziłem, że jest to żywe stworzenie. Karłowaty człowieczek, garbaty homunculus, z głową spuszczoną na piersi, jakby się osłaniał przed ciosem. Cienki głosik powiedział: "To ja". Twarz pod warstwą zaskorupiałego błota, chociaż skurczona, była znajoma. Kto to mógł być? "Nie poznajesz mnie, tatusiu? Ja jestem Charlie." Przytuliłem go do piersi i poprzysiągłem, że nigdy nie rozstanę się już z nim.

Głos matki wymawiał moje imię. Potem zjawiała się jej twarz i rosła, nachylała się coraz bliżej. Matka miała na sobie ciemnozieloną suknię, włosy opadały jej na ramiona.

— Czy jedziesz do kościoła? — spytałem.

— Chyba pojedę — odparła. — Miałam złą noc.

Był ranek. Uświadomiłem sobie, że Charliego nie trzymam w ramionach, że jest w Kanadzie, że jest zdrowym, dobrze zbudowanym chłopcem. Uświadomiłem sobie również, że widząc moje nagie ramiona na prześcieradle, matka pomyśli, iż spaliśmy z Peggy nago, po miłości. Peggy nie było w łóżku.

— Słyszałem, jak psy szczekały — powiedziałem starając się pogodzić z wyobrażeniem, któremu nie mogłem zaprzeczyć.

— Drzwi, które wstawiono w stodole po rozbiórce przebudówki, zawsze trzaskają, gdy jest wiatr, a psy tego nie lubią. Czy pojedziesz ze mną?

— Do kościoła?

— Twój ojciec byłby z tego rad.

— A co będzie z Peggy i Richardem?

— Richard mówi, że nie przywiózł odpowiedniego ubrania.

— Która to godzina?

— Kwadrans na dziewiątą. Nabożeństwo w tym miesiącu odprawia się o wpół do dziesiątej.

Nasz kościół stanowił połowę rozdzielonej parafii. Pastor co niedziela odprawiał dwa nabożeństwa, o wpół do dziesiątej i o jedenastej, w dwóch kościołach oddalonych od siebie o kilka mil.

— Gdzie jest Peggy?

— Na dworze w swoim bikini. Nie zjadłam jej.

— Pytałaś, czy nie zechce pojechać do kościoła?

— Powiedziała, że pojechałaby, gdyby Richard zmienił zdanie.

— I nie masz ochoty jechać sama?

— Nie ufam już sobie przy kierownicy, a poza tym, czy nie byłoby ci przyjemnie przekonać się, że tu jeszcze są ludzie, którzy cię pamiętają?



— Nie.

— Prawdę mówiąc, nie byłam prawie od początku lata w kościele i mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

— No dobrze. Ale nie mogę ubrać się, póki stoisz nade mną.

— I naprawdę nie sprawi ci to przykrości? To ostatnia rzecz, do jakiej próbowałam bym cię przymuszać... — Była już chyba gotowa na moją odmowę.

Ale ja miałem ochotę pojechać do kościoła i zobaczyć, tylko zobaczyć innych ludzi, ludzi nie związanych ze mną niczym prócz tej dziwnej kurtuazji świadczonej światu przez chrześcijańską wiarę. Potrzebowałem, tak samo zapewne jak mój ojciec, diakon, sprawdzić własne istnienie poprzez rzeczywistość ich twarzy, czystych ubrań, ściągniętych ramion, by odnaleźć siebie w godzinie pauzy.

Wiernych zebrano się tego ranka niewiele. W pierwszych ławkach jak zawsze siedzieli bracia Henry, wszyscy trzej, handlarz paszy, przedstawiciel fabryki traktorów i nauczyciel, wraz z trzema mało różniącymi się od siebie, dobrze odżywionymi żonami i kilkorgiem pozostałych jeszcze przy rodzicach dzieci (Jessica, najstarsza córka Toma Henry'ego, przeniosła się z mężem, pilotem, do Santa Fe; Morris, syn Willisa Henry'ego, ożenił się z katoliczką i dał się namówić na zmianę wyznania), a także z paru wnuczętami, które w świeżo uprasowanych ubrankach i wykrochmalonych sukienkach wierciły się i rozglądały ciekawie. Za nimi, oddzielona przestrzenią dwóch pustych ławek, siedziała para blondynów o czerwonych karkach, jak mi szepnęła matka, właściciele nowo otwartej restauracyjki pod Galilee. Po drugiej stronie środkowego przejścia stara pani Rouck, w swoim odwiecznym czarnym kapeluszu, ozdobionym metalowymi paciorkami, dzieliła ławkę ze smukłą Puertorykanką, słomianą wdową, która (jak mi znów szepnęła matka) mieszkała w przyczepie samochodowej zaparkowanej na terenie dawnej posiadłości Gouglera. Puertorykanka siedziała sztywno wyprostowana, popielata woalka osłaniała jej śniady profil, a dzieci jak ziarnka fasoli podskakiwały koło niej. Nie znałem żadnego z mężczyzn, którzy zbierali składki; reprezentowali nowy typ w naszej okolicy, rekrutowali się z początkujących przemysłowców w poprawnych jednorzędowych letnich marynarkach, z inżynierów, dentystów, dojeżdżających do miasta urzędników. Odetchnąłem widząc, że nikt prócz rodziny Henry i sędziwej Katie Rouck nie może mnie pamiętać z czasów, gdy przychodziłem do kościoła z rodzicami jako posepny i przemądrzały chłopak. Pamiętałem nad ołtarzem mgliste malowidło ścienne, osmolone od dymu gromnic, które przedstawiało Wniebowstąpienie i było dziełem wędrownego artysty sprzed pół wieku. Stopy Chrystusa wysunięte spod rąbka szaty, jakby dyskretnie w odlocie uniesionej, zdawały się doskonale spokojne. Teraz wisiała tam szkarłatna draperia, a na jej tle mosiężny nowoczesny krzyż — dar — jak usłyszałem od matki — Russela Henry'ego, ofiarowany dla uczczenia pamięci jego rodziców. Nabożeństwo wydało mi się dobrze znajome, chociaż lata upłynęły, odkąd je słyszałem po raz ostatni. Responsoria automatycznie cisnęły mi się na usta. Pastor, gładki i bardzo młody, o dobrych dziesięć lat młodszy ode mnie, recytował formuły nosowym, pedantycznym głosem przy akompaniamencie wprawnych gestów; gdy szedł na kazalnicę, okazało się, że jest niezwykle niskiego wzrostu, czego przedtem, w łudzącej perspektywie prezbiterium, nie mogłem zauważyć.

Wybrał na temat nauki tekst z Księgi Rodzaju, II, 18. Kazanie, wygłaszane z namaszczeniem, miało dziwnie uczony charakter; twarz i nerwowe ręce kaznodziei wydawały się blade w świetle padającym z góry na kazalnicę. "Rzekł też Pan Bóg: Niedobrze być człowiekowi samemu; uczynimy mu pomoc jemu podobną." Zważcie przede wszystkim, że Adamowi potrzebna była pomoc. W hebrajskiej wersji mamy tu słowo āzer, co oznacza, bez określania płci, pomoc, taką, jaką mógłby nieść majstrowi jego czeladnik lub jeden rolnik drugiemu. My wszyscy, mężczyźni i kobiety, zostaliśmy więc posłani na ziemię nie po to, abyśmy się nawzajem kochali, jak to chcieliby interpretować niektórzy sentymentalni teologowie, ale po to, byśmy wspólnie pracowali. Praca nie jest skutkiem upadku człowieka. Gdy świat był nowy i jeszcze nieskalany, Bóg osadził Adama w raju,



“aby uprawiał i strzegł go”. Aby go uprawiał.

W następnym wierszu czytamy: “Utworzywszy tedy Pan Bóg z ziemi wszelkie zwierzęta ziemi i wszelkie ptactwo powietrzne, przywiódł je do Adama, aby zobaczyć, jak je nazwie; wszystko bowiem, czym nazwał Adam istoty żyjące, jest ich imieniem.” Zwracają tu naszą uwagę dwa ciekawe szczegóły. Po pierwsze, Bóg — można by rzec: naiwnie — stworzył przed Ewą zwierzęta na pomocników i towarzyszy dla Adama w jego samotności. Po drugie, pierwszą pracą Adama, pierwszą jego pracą, o jakiej mówi Biblia, było nazwanie tych zwierząt. Czy rzeczywiście jest w tym coś zdumiewającego? Czyż nieme stworzenia ziemskie nie są zaprawdę naszymi towarzyszami? Czy jakaś iskra pierwotnego zamierzenia boskiego nie przebłyskuje w oczach psa, konia, a nawet jałówki prowadzonej na rzeź? Czyż człowiek, tworząc cywilizację, nie widział w zwierzętach nie tylko pożywienia dla siebie i pomocników do dźwigania ciężarów, lecz również źródła natchnień, jak na przykład w locie ptaków i w majestacie lwów? Czy nie wiązał go z nimi uczciwie wieki pakt, przestrzegany i zachowywany? Czy to takie dziwne, że pierwszą pracą Adama było nadanie imion niemym pomocnikom? Czy mowa nie jest czynnością gospodarską, jak gdyby ogradzaniem pól? Wszyscy tu jesteśmy farmerami lub synami czy córkami farmerów, toteż wiemy, jak liche robaki spulchniają glebę, otwierając dostęp do niej powietrzu. Podobnie też mowa przewietrza jałowe, twarde bryły pierwotnej materii, otwierając dostęp do intelektu i ducha.

— Nie jestem synem farmera — szepnąłem do matki.

— Ććć! Jesteś także moim synem.

“Przypuścił tedy Pan Bóg twarde sen na Adama, a gdy zasnął, wyjął jedno żebro z niego i napełnił ciałem miejsce jego. I zbudował Pan Bóg z żebra, które wyjął z Adama, niewiastę i przywiódł ją do Adama.”

Jak wielu spośród was zapewne wiadomo, na ten ustęp powoływano się, żeby usprawiedliwić pierwsze próby stosowania eteru podczas operacji chirurgicznych, bo niektórzy ludzie obawiali się, czy narkoza nie sprzeciwia się zasadom chrześcijaństwa. Ale zwróćmy uwagę na trzy inne okoliczności stworzenia Ewy. Została wzięta z ciała Adama. Była stworzona później niż on. Bóg stworzył ją, podczas gdy Adam spał. Co nam to mówi o mężczyznach i kobietach naszych dni? Po pierwsze, czy problem kobiety nie wynika z tego właśnie, że zrobiona została z części Adama, że zatem należy do podgatunku, nie jest zupełnie równa mężczyźnie, stanowi część całości? Określenie “człowieczeństwo” obejmuje także kobiety, a na szachownicy królowa, chociaż ma najwyższą władzę, zalicza się do pionków. Słownik Webstera daje następującą definicję kobiety: “Dojrzała osoba płci żeńskiej, w odróżnieniu od mężczyzny i dziecka.” Pozostaje wrażenie, że w ten sposób określona, jest jakimś pośrednim ogniwem między dzieckiem a mężczyzną.

Bracia Henry spojrzeli po sobie, a w pierwszych ławkach dał się słyszeć uprzejmy śmiech.

— Po drugie, została stworzona później niż mężczyzna. Pomyślcie o Bogu jak o robotniku, który uczy się w miarę praktyki. Mężczyzna jest dziełem jego rąk mniej wypolerowanym, lecz bardziej ambitnym; kobieta — piękniejszym i sprawniejszym. Zauważcie, że ją zrobił Bóg wkrótce po stworzeniu “wszystkich zwierząt ziemi i wszelkiego ptactwa powietrznego”, a ręka jego, pracując w tym samym wciąż rytmie, nadała kobiecie urodę właściwą jego stworzeniom. Żebro jest zaokrąglone. Mężczyzna po zjawieniu się kobiety popadł w rozterkę, bo nie wiedział, w którą stronę się zwrócić. Połowa jego istoty zwracała się do niej, która jest jego żebrem, jakby do swego wnętrza, do upragnionego, utajonego tam ciepła, w którym napięcie rozluźnia się i roztopia. Druga jednak połowa jego istoty zwraca się na zewnątrz, ku Bogu, po prostej linii nieskończoności. Szuka tam rozwiązania zagadki swojej śmierci. Ewa tym się nie dręczy. W pewnym sensie Ewa nie zna śmierci. Już samo jej imię Hava znaczy “żyjąca”. Macierzyństwo jest dla niej konkretną odpowiedzią, którą mężczyzna chciałby znaleźć w abstrakcji. Ale my, chrześcijanie, wiemy, że nie ma odpowiedzi abstrakcyjnej, nie ma żadnej odpowiedzi



innej niż konkretna rzeczywistość Chrystusa.

Ostra twarz pastora przybladła bardziej jeszcze, wychylona w świetle padającym z góry na pulpit.

— Po trzeciej, kobieta została stworzona, gdy Adam spał. Jej piękność będzie miała zawsze w oczach mężczyzny coś z sennego marzenia. Co dzień budzimy się jak Adam zdumieni widokiem tej naszej kopii... ale nie, to nie jest kopia, bo jej ufna miękkość i wdzięczna cierpliwość stanowią przeciwieństwo naszej własnej natury. Wyciągając do niej ramiona Adam dokonuje aktu wiary.

“I rzekł Adam: To teraz kość z kości moich i ciało z ciała mego; to będę zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest.” Język oryginału Księgi Genezis rozróżnia gramatycznie rodzaje. Mężczyzna — ish — nazywa kobietę isha, a więc uznaje w niej jakiś element samego siebie. Element niezbędny. Karl Barth, wielki teolog naszych przyjaciół i rywali z Kościoła reformowanego, tak mówi o kobiecie: “Z powodzeniem lub bez powodzenia, kobieta całym swoim istnieniem odwołuje się do dobroci mężczyzny.” Odwołuje się do jego dobroci. “Dobroć bowiem — ciągnie dalej Barth — należy od początku do jego szczególnych obowiązków jako człowieka”. Od początku, od pierwszego momentu, gdy Bóg tchnął w oblicze tego tworu z mułu dech żywota i gdy “stał się człowiek istotą żyjącą”.

A więc kobieta, jeżeli nie mylę się w interpretacji tego tekstu, posłana jest na ziemię, aby mężczyźnie pomagała w jego dziele, które jest dziełem Boga. Stoi od mężczyzny niżej i zarazem nad nim góruje. Nadając jej imię wywiedzione z własnego imienia, Adam formułuje akt wiary: “To teraz kość z kości moich i ciało z ciała mego.” Mówiąc tak przyjmuje na siebie obowiązek dobroci. Wiąże się etycznie z ziemią. Dobroć różni się od sprawiedliwości jak trawa od gwiazd. Jedno i drugie jest nieskończone. Bez świadomego uznania Boga nie może być sprawiedliwości. Ale dobroć istnieć może bez wiary. Tkwi nieodłącznie w naturze Stworzenia, w samych miękkich liniach i obfitości rzeczy przez Boga ukształtowanych. A teraz módlmy się.

W drzwiach uścisnąłem wiotką i zimną, drobną dłoń pastora i unikając spotkania z jego czarnymi, śmiałymi, bardzo tutejszymi oczyma, powiedziałem mu, że jego kazanie było znakomite.

Idąc za mną matka z kolei powiedziała mi ściszym, monotonnym głosem, jakiego używa, aby wyrazić zastrzeżenia:

— Nieczęsto słyszy się takie młode kazania.

W samochodzie spytałem ją:

— Dlaczego kazanie wydało ci się młode?

— Sama nie wiem — odparła. — Uprzykrzyło mi się męskie gadanie o kobietach. Kobiety po prostu nie są aż tak bardzo interesujące.

— Mnie pastor wydał się inteligentny.

— O tak, zajdzie daleko, ta parafia nie zatrzyma go na długo. Doszedłszy do czterdziestki zostanie biskupem, chyba że będzie zanadto strzelał oczyma.

Roześmiałem się. — A czy strzela?

— Ludzie tak mówią. Mamy teraz w chórze kilka bardzo ładnych kobiet. — Kazanie nurtowało ją widocznie, bo po chwili dodała: — Nie, Joey, gdy mężczyzna zaczyna gadać w ten sposób, zawsze podejrzewam, że próbuje usprawiedliwić się z jakiejś kobiecej krzywdy.

Jej ton zaskoczył mnie, tak wyraźnie brzmiała w nim osobista nuta. Klimat mojej matki był tak egocentrycznie ode mnie niezależny, że poczułem urazę; zmieniłem temat.

— Czy rodzina Henrych wie o moim rozwodzie?

Rozmawialiśmy z nimi przez chwilę po nabożeństwie, w nie złagodzonej żadnym cieniem upale późnego ranka, na czerwonych kamieniach i ubitej ziemi parkingu. Byli dla mnie serdeczni i uprzejmi, a ja pytałem o Jessikę, której smukłe nogi i szeroko rozstawione oczy niegdyś wielbiłem tak gorąco, że moje wiejskie łóżko skrzypiało. Russel, Willis i Tom mówili mojej matce po imieniu, a to przenosiło nas — stojących przed



starym kościołem, na którego zworniku wypisana była data i którego półkoliste okienko nad portalem zdobił witraż — z powrotem w epokę, gdy ja jeszcze nie istniałem. Bracia Henry i moja matka chodzili razem do szkoły. Zauważyłem, że zmęczyła ją ta rozmowa.

— O, z pewnością — odpowiedziała. — Wszyscy się tutaj bardzo tym zainteresowali. Mamy cię stale na oku.

Głos jej zdawał się napięty i jak gdyby uwięziony gdzieś bardzo płytko w krtani.

— Jakże mi przykro. Czy wszyscy byli zgorszeni?

— Niełatwo nas dzisiaj zgorszyć. Zeszłej zimy burmistrza Alton oskarżono o pobieranie haraczu od właścicieli podejrzanych lokali w dzielnicy targowej.

Roześmiałem się znowu. Nikt nie umiał mnie tak rozśmieszyć jak matka.

— A jednak nie chciałbym stać się bohaterem skandalu w oczach tutejszych ludzi. Ty przecież wśród nich żyjesz.

— Och, Joey, zdaje się, że nas, mieszkańców tego zapadłego kąta, masz za głupców. Ci ludzie poznali Joan. Rozumieją, że to nie była odpowiednia dla ciebie żona.

— Nie była odpowiednia?

Zdawało mi się, że z rękoma na kierownicy zawisłem w powietrzu; wyczuwałem, że coś stara się, bardzo ostrożnie, bo na oślep, przedrzeć przez równomierne szare światło.

W głosie matki zabrzmiało zniecierpliwienie.

— Oczywiście. Ta druga jest bardziej w twoim stylu. Hofstetterowie zawsze miewali wymagające żony.

Była zanadto brutalna, za lekką ręką przekreślała moją pierwszą, moją czułą i głęboką, cichą i zamkniętą w sobie żonę. Nosilem w sercu pamięć o Joan jak złudzenie, zbyt bolesne, by się go zaprzec, chociaż się nie potwierdziło.

— A więc postaramy się nie zawieść Hofstetterów — powiedziałem.

— Wiesz dobrze, o czym mówię. Krew się odzywa. Ty masz po ojcu skłonność do nadmiernej uległości. Wyrastałeś na okropnie potulne stworzenie, póki cię nie przywiozłam na farmę. Dlatego właśnie to zrobiłam. I z powrotem zmiękłeś po ożenku z Joan. Joan była jak Olinger. Przyzwoita. Dystygowana.

Jej szyderczy ton zabolął mnie.

— Mówisz, aby mówić, mam. W dodatku męczysz się, brak ci tchu.

— I nie tylko tchu.

— Co ci jest?

Między słowami robiła niepokojące pauzy, jakby po każdym musiała w milczeniu zbierać na nowo siły.

— Patrz przed siebie, pilnuj drogi. Na przykład to twoje zajęcie. Nigdy nie mogłam wybaczyć Joan, że pozwalała ci się marnować i prostytuować przy takiej robocie.

— Nie zabraniała mi rzucić tej roboty.

— To mało. Powinna była zażądać, żebyś to rzucił. Ale nigdy nie odwróciła tych swoich dumnych niebieskich oczu, żeby na ciebie spojrzeć.

— Nieprawda!

Ale tętno biło mi żywiej i z tej zamaskowanej walki czerpałem samolubną radość. Matka krzyknęła. Nie był to swobodny krzyk, lecz przedłużony skowyt, jaki pies wydaje, gdy ścisnąć mu przednie łapy. Skręcałem właśnie w lewo z szosy na naszą polną drogę, upłynęła więc sekunda, może dwie, nim ośmieliłem się odwrócić wzrok i spojrzeć na matkę. To była ona i nie ona. Twarz miała nabrzmiąłą, szczególnie wokół oczodołów, jakby starała się powstrzymać napór jakiejś od wewnątrz działającej siły; skrzyżowała tęgie ramiona na piersi i z przymkniętymi oczyma opuściła nisko głowę. Płaszczyzny twarzy, jak płaszczyzny chmur, wymykały się spod praw perspektywy. Skóra pomiędzy brwiami zwilgotniała.

— Co mam zrobić?

— Jedź dalej. To nie pierwszy raz.

— Krzyknęłaś tak przerażająco...



Zaskoczyłem ją tą krytyczną uwagą w momencie, gdy miała, jak mi się wydało, krzyknąć znowu, bo prędko zacisnęła wargi tłumiąc krótki, wysoki jęk, a twarz jej w milczeniu poddała się straszliwej fali, która wypełniła i wygładziła wszystkie zmarszczki.

— Na Boga, mamó!

Fala przesiliła się, matka odetchnęła, wciąż z zamkniętymi oczyma, chwytając powietrze ostrymi, płytkimi wdechami i rozchylając przy tym usta, jakby w oczekiwaniu pocałunku. Zdjąłem stopę z pedału gazu i nacisnąłem hamulce. Matka otworzyła oczy, bezlitosne i pozbawione wyrazu.

— Nie zatrzymuj się, wież mnie na moją farmę.

— Ależ to nonsens, jeżeli potrzeba ci lekarza.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— W domu mam proszki. — Zdawała się nasłuchiwać, żeby rozstrzygnąć, czy ma czas na żartobliwą próbę usprawiedliwienia. — Za wiele miałam wrażeń w ciągu ostatnich dwóch dni. Zwykle prowadzę spokojne życie.

Ruszyłem znowu naprzód. Mniejsze pole, jeszcze zjeżone od zielska, przesunęło się obok nas. Ukazała się skoszona już przeze mnie przestrzeń. Gdy mijaliśmy gruszę, matka raz jeszcze krzyknęła, głośniejsze, ale na niższej nucie; to był prawie jęk. Pochlebilo mi, że pozwoliła sobie teraz na okrzyk, chociaż pierwsze dwa stłumiła, oszczędzając moją nieświadomość.

— Czy to serce? — spytałem.

— Raczej mięśnie ramion i piersi — odparła. — Myślę, że gdy dojdzie do samego serca, nie będę mogła nic już o tym opowiedzieć.

Przeciąłem trawnik i zatrzymałem wóz przed kuchenną werandą. Psy zaszczekały, poza tym jednak farma wydawała się pusta; pompa i rozszczepiony krzew ligustru wyglądały jak para intruzów, skamieniałych ze strachu na widok wracających gospodarzy.

— Czy będziesz mogła przejść do domu?

— Chyba tak, ale nie mogę otworzyć drzwiczek.

Myślałem, że nie może poradzić sobie z klamką mojego citroena, ale zobaczyłem, że nie próbuje nawet poruszyć ramieniem. Obszedłem wóz wkoło i pomogłem jej wysiąść. Pozwoliła mi się dotknąć, wziąć się pod rękę. Miałem wrażenie, że jej stopy mocno stąpają po trawie, ale nie wyprostowała zgarbionych pleców i wahała się chwilę, nim nabrała odwagi, żeby oddalić się od punktu oparcia, jakim był samochód.

— Psy trzeba będzie wypuścić na spacer — powiedziała.

Psy szczekały zajadle; może zwęszyły w naszej zwartej grupie nową istotę, potwornie skomponowaną ze znajomych zapachów i kształtów, którym ufały. Gdy powoli okrążaliśmy maskę samochodu, szczeniak przewrócił pustą miskę na wodę, a jeden z większych psów, to skacząc, to opadając, drapał pazurami drucianą siatkę.

W domu nie było nikogo. Talerze, których nie mieliśmy czasu zebrać po śniadaniu ze stołu, mokły w stalowosinych, ostygłych mydlinach. Bezszerowo chodzący elektryczny zegar i błyszczące drobiazgi, prezenty, które przysyłałem z odległych miast, zatroskane fotografie prowadziły w dalszym ciągu swoje rozmowy. My byliśmy widmami ze strefy obcej ich światu.

— Peggy? Peggy! Richard!

Nikt nie odpowiedział.

— Pozwól mi teraz odejść, Joey — rzekła matka. — Pójdę na górę i położę się do łóżka. Dziękuję, że mnie zawiozłeś do kościoła.

— Czy dasz sobie radę sama?

— Jeżeli nie, to usłyszysz, jak się zwalę ze schodów.

Zachowywaliśmy się, jak zawsze, z wzajemną staroświecką kurtuazją i bojąc się nawzajem dotknąć. Poszła na górę sama, unosząc prawe ramię na tyle, by przytrzymać na głowie kapelusz, a ja czekałem, póki jej ociężałe kroki nie przecięły na skos podłogi nade mną.

— W porządku? — zawołałem.



Nie dosłyszałem wyraźnie, wydało mi się jednak, że odpowiedziała:

— Jak najlepiej.

— Poszukam teraz Peggy! — krzyknąłem.

Przyszło mi na myśl, że matka uzna to może za dezercję. W mojej intencji była to obietnica ratunku. Stało się nagle zupełnie jasne, że sam nie potrafię jej uratować. Biegłem przez trawnik, skurcz żołądka przypomniał mi znane jeszcze z dzieciństwa uczucie, że jestem nic niewart, że zawiniłem, że świat jest jakimś barwnym, niepowtarzalnym widowiskiem, które mnie z niewiadomych powodów ominęło, i że pędząc przez ciemniejące ulice Olinger słyszę jak przez mgłę odgłosy tego festynu, ale nie mogę go odnaleźć.

Nie wiedziałem, w którą stronę się zwrócić. Wszędzie pleniły się chwasty i nad wszystkim ciążyła złowieszcza niedzielna beczynność. Farma już nie wydawała mi się zieloną, legendarną przystanią z dala od autostrad, lecz pustynnym kawałkiem ziemi odległym o dwanaście minut jazdy od Alton, nie strzeżonym odludziem przyciągającym ciemne typy z podmiejskich ruder, próżnią wsysającą wariatów i gwałcicieli. Mój syn — bo tak nazywałem Richarda w skrótowym języku strachu — występował w tej wizji jako świadek godny litości i litowałem się nad nim bardziej niż nad samą ofiarą; jego bezradność i szeroko otwarte, zrozpaczone oczy wyobrażałem sobie lepiej niż jego matkę, niż jej gwałconą nagość. Pobiegłem do skrzynki na listy i wyjrzałem na drogę. Była pusta, wspinała się, wygięta w kształt wąskiego S, na wzgórzu ku skrzynce Schoelkopfów. Unosił się nad nią jeszcze czerwonawy pył po niedawnym przejeździe jakiegoś samochodu. Skręciłem w stronę dużego pola i już miałem na nie wejść, gdy zatrzymał mnie głos, który wreszcie odnalazł moje imię:

— Joey!

Richard wyszedł zza ściany stodoły. Dotychczas zasłaniał go zakręt. Włożył swoje nowe okulary przeciwsłoneczne i jego twarz bez oczu wydawała się blada, niepewna, trochę obrażona, a usta maleńkie i sarkastyczne. Odwrócił się i krzyknął w przestrzeń:

— To oni!

— Gdzie jest twoja matka?

— Zbiera jeżyny.

Gdy bieглиśmy obaj drogą ku fundamentom suszarni tytoniu, wyjaśnił:

— Przejeżdżał samochód pełen mężczyzn, więc przycupnęliśmy w krzakach.

Ciężkie niebo tu i ówdzie przecierało się i małe bezbarwne cienie podrygiwały u naszych stóp.

Peggy w swoim bikini, z nagimi ramionami, stała po pas w kolczastych zaroślach i spokojnie wyciągała ręce ku najgęstszemu krzakom i najlepszym owocom, które dojrzewały tuż pod starym murem odartym przez słońce z tynku. Wyglądała jak łania mojego gatunku, pasąca się bezpiecznie w gąszczu. Pierwszego wrażenia, że jej ukochane ciało nurza się w cierniach, nie ośmieszyło nawet odkrycie, że chociaż tors miała nagi, piersi ledwie osłonięte wąską szmatką w kropki, od pasa w dół ubrana jest w elastyczne spodnie naśladujące granatowy roboczy kombinezon; w tym centaurowym kostiumie — moja wielkowiejska żona, której zwykłym tłem było hotelowe foyer i automatyczne windy — wydawała się bardziej naturalna, bardziej zdecydowana praktycznie poświęcić się farmie.

— Zrobiłam wielkie głupstwo — powiedziała. — Przed chwilą przejeżdżał drogą samochód, a w nim jakieś podejrzanе typy, więc schowałam się w krzakach, ale obawiam się, że to był sumak jadowity.

— Poznaje się go po listkach, potrójnych i błyszczących.

Spojrzała w dół.

— O Boże, tak, to sumak. Znów będę miała bąble na całym brzuchu.

— Trudno, musisz znów umyć się żółtym mydłem. Chodź prędko, trzeba wracać do domu. Matka miała jakiś dziwny atak.

— Och, nie, Joey! Czy to coś groźnego?

— Nie wiem. Może ty lepiej ocenisz.



- Czy zatelefonowałeś do policji, żeby przysłali sanitarkę? — spytał Richard.
- Nie mam pojęcia, do kogo dzwonić. Nie wiem, jak tutaj można sprowadzić sanitarkę — odparłem.
- Przestańcie straszyć się nawzajem — powiedziała Peggy.

Ale jej twarz, drobna w obramowaniu rozpuszczonych i potarganych włosów, wyrażała nie mniejszy strach niż nasze. Ostrożnie wyśliznęła się spośród kolczastych gałęzi, podnosząc wysoko przetak do połowy napełniony owocami. Richard pobiegł przodem; wiedziałem, co się dzieje w jego żołądku. Bał się, że ominie go widowisko, i bał się, że je zdąży zobaczyć. Peggy szła obok mnie i kroki jej nie zmieniły rytmu pod moją pieśczętą, gdy pewny, że od strony domu zasłania nas stodoła, dotknąłem najpierw jej wilgotnego karku, a potem przesunąłem palce wzdłuż kręgosłupa w dół, gdzie linia kończyła się łukiem między nogawkami spodni. Ta długa, żywa linia była dla mnie opisem smutku, tak jak w nowym malarstwie, gdy artyści, wracając z królestwa abstrakcji do natury, malują niebo nieprawdopodobną ziemistą czerwienią, ale oczy nasze mimo wszystko widzą w tym obrazie niebo.

Peggy poszła na górę do matki i po jakimś czasie wróciła mówiąc, że matka leży i zdaje się przygnębiona, ale łagodna. Zażyła swoje proszki, położyła się do łóżka i duszności mniej teraz jej dokuczają, lecz ból ramienia promieniuje na cały lewy bok. Zgodziła się z Peggy, że powinienem wezwać lekarza, który jednak o tej porze zapewne jest w kościele. To menonita. Peggy posłała Richarda z jeżynami na górę, ja poszedłem do telefonu stojącego na parapecie okna, z którego było widać stodołę. Graafowie zajmowali ćwierć strony w książce telefonicznej, ale znalazłem między nimi jednego tylko lekarza. Jego telefon nie odpowiadał. Słuchając dzwonienia wpatrywałem się w stodołę, której sylweta, bez nieładnej przybudówki, tchnęła dziwną grozą, i przyszło mi na myśl, że wyobrażała moich rodziców i że ojciec zniknął. Przez lukę powstałą po zburzeniu przybudówki widziałem kawałek łąki i kępę sumaków z kilku przedwcześnie czerwonymi liśćmi, jakby indywidualnie zatrutymi, a telefon milczał. Na górze Richard śmiał się, głos matki melodyjnie torował sobie drogę po ostrzu jakiegoś zalotnego komentarza. Peggy odgarniając włosy z czoła przygotowywała lunch. Psy czekały.

Wyszedłem na dwór, zdjąłem smycze przedłużone sznurem do suszenia bielizny, wiszące na gwoździu wbitym w słup werandy tuż obok kubka z podziałką, który nam służył do picia wody. Gdy znalazłem się w psiarni, psy obskoczyły mnie wkoło, a ja przyczepiłem smycze do ich obroży. Szczeniaka puściłem wolnego. Dwa większe psy, z nosami przy ziemi, z uszami położonymi płasko na głowach, ciągnęły mnie przez ogród warzywny. Sierść na łopatkach jeżyła im się z uciechy, że je wypuszczono z zamknięcia, a chwilami, za gwałtownie wrywając się naprzód, krztusiły się i charczały w zaciśniętych obrożach. Ręka, wokół której owinałem sznur, piekła mnie boleśnie; pod zagonem słoneczników psy zwęszyły jakiś trop i ciągnęły tak mocno, że musiałem biec. W ogrodzie nisko płożące się ciemne liście truskawek były zduszone przez wybujałe zielska, mleczce, łopuchy i babkę. Ziemia, którą Peggy spulchniała motyką, zszarzała i z powrotem zasklepiła się skorupą. Psy w napięciu wszystkich mięśni wlokły mnie za sobą poprzez drogę w fascynujący nowy świat odsłoniętych tropów, na skoszone przeze mnie pole.

Schnące pokosy martwej trawy wyznaczały plan, wedle którego pracowałem. Ścierńsko usiane było obficie kwiatami, które ocalały od noża kosiarki lub które wczoraj się urodziły. "Kwiaty — pomyślałem — pierwowzór reklamy", i przyszło mi do głowy, że może da się to spostrzeżenie wykorzystać w mojej zawodowej pracy. Motyl wypłoszony przez szczeniaka rozdziwił się na motyla i jego cień.

Nasze cienie skurczyły się do swoich południowych drobnych rozmiarów. Szare chmury, chaotycznie rozproszone, trwały w powietrzu, uparte jak ból, przypominając unicestwiony plan strategiczny czy może bezładny odpływ życia. Chciałem wracać i bałem się, że psy zaciągną mnie aż do granic farmy. Gdy jednak tuż za grzbietem



dużego pola, skąd w zimie można było dostrzec przebłyskujący srebrny szczyt ratusza w Alton, zatrzymałem psy, zawróciły posłusznie i jak gdyby przestrzegając zwykłego szlaku spacerów z matką, poprowadziły mnie wzdłuż żywopłotu z sumaków i baldaszków chińskich dolnym skrajem pola, koło fundamentów suszarni tytoniu, na drugą stronę drogi i do naszego ogrodu. Skakały wesoło, udając, że się opierają, ale pozwoliły się zamknąć w psiarni. W kępkach sierści na tylnych łapach uwięzło mnóstwo bodiaków i małych zielonych nasion o kształcie zaokrąglonych grotów. Spojrzałem w dół i stwierdziłem, że przyroda mną także się posłużyła, bo na mankietach spodni przeniosłem wiele nasion.

W domu Richard czytał, a Peggy, która już przygotowała sandwicze z kiełbasą, odgrzewała teraz grzybową zupę. Stół był nakryty dla trzech osób.

— Jak się czuje moja matka?

— Powiedziała, że jeżyny są doskonałe i że nie będzie jadła lunchu — odparł Richard. Czytał mojego Wodehouse'a.

— Czy spróbujesz przed lunchem raz jeszcze zatelefonować do doktora? — spytała Peggy.

— Jesteś pewna, że matka życzy sobie doktora?

— Tak mówiła. Czemuż by nie miała nie chcieć?

— Jakoś to do niej niepodobne.

Peggy, która patrzyła na swoje ręce zajęte nalewaniem mleka, podniosła na mnie oczy; były ciemne. Przypomniała mi się nieoczekiwana uwaga matki o mężczyznach usprawiedliwiających się z kobiecej krzywdy.

— Idź na górę i zapytaj — powiedziała Peggy.

Na schodach, wciąż jeszcze w swoim miejskim ubraniu, poczułem jakiś sztywny przedmiot w bocznej kieszeni marynarki i wyciągnąłem złożony program nabożeństw. Ojciec miał zwyczaj składać kościelne programy i wtykać je do kieszeni zamiast wyrzucać od razu. Niczego nie lubił wyrzucać, a ta bezskuteczna tkliwość irytowała mnie w dzieciństwie. Odłożyłem zdezaktualizowany program na stos czasopism, które u szczytu schodów na parapecie okna wciąż jeszcze czekały, aby je ktoś stamtąd usunął.

— Mamo?

Spała, wysoko oparta na dwóch poduszkach, a jedno nagie ramię leżało na kołdrze. Włosy, widziane z góry, wydawały się zupełnie białe, a ręka, z odwróconą dłońią, leżała obok przetaka z jeżynami — Peggy nazrywała za dużo niedojrzałych — na pół otwarta, przypominała krótką i szeroką rękę dziecka. Sen pogłębił bruzdy biegnące od nozdrzy do kącików warg i zarysował równoległe drugorzędne linie na jej policzkach, gdzie przedtem nie było zmarszczek. Zobaczyłem w niej teraz starą kobietę. Dotychczas wydawała mi się zawsze tylko cięższą wersją tej samej zwinnej młodej matki, która prześcigała ojca na ścieżce ze stodoły. Wyczuwałem w niej tamtą kobietę i miałem wrażenie, że ją przede mną ukrywa za karę. We śnie matka wymknęła się z zasięgu mojego rozpoznania i krytyki, weszła bezwiednie w arktyczną strefę starości. Ramię, zaskakująco gładkie, od spodu miało odcień srebrzysty w świetle, które w oknie było złote od przywiedłych po brzegu liści pelargonii, sterczących sztywno na parapecie. Uświadomiłem sobie, że matka podlewa, pielęgnuje, "uprawia" rośliny w tym pokoju, gdzie, jak mówiła, nie sypiała teraz nigdy, i że wszędzie wokół mnie na całym obszarze farmy są tysiące drobnych dowodów jej starań, które wkrótce wraz z nią znikną z powierzchni ziemi. Śmierć wydawała się czymś ubocznym, błędem przeoczonym przez matkę, gdy kupowała farmę, niewartą uwagi skazą, która rozrosła się do ogromnych rozmiarów. Westchnęła spokojnie i chrapliwie, poruszyła wiotką ręką; odsunąłem przetak, w czwartej części wypełniony, żeby nie rozsypały się jeżyny. Schyliłem się nad matką tak, jak kiedyś na plaży nad chwiejnym rysunkiem, które dzieci moje zrobiły obwodząc grubą linią kształt mojego ciała, kiedy leżałem wyciągnięty na piasku. Ten kształt wydawał się groteskowo mały, gdy zabrakło w nim wibracji życia.

Poszedłem do naszej sypialni, żeby się przebrać. Na dole Peggy, widząc mnie znów



w ojcowych roboczych spodniach, spytała:

- Czy będziesz kosił?
- Nie mogę. Dziś niedziela.
- Wyjedziemy dzisiaj? Co zrobimy?
- Nie wiem, czy można ją zostawić.
- Proszę cię, zatelefonuj do lekarza.
- Boję się.
- Nie bądź dzieckiem.

Tym razem ktoś na mój telefon odpowiedział: żona doktora Graafa Z tonu domyśliłem się, że oderwałem ją od niedzielного stołu. Przekazała moją prośbę do drugiego pokoju i powtórzyła mi odpowiedź doktora. Obiecał przyjechać o wpół do trzeciej. Na razie polecił nie budzić matki.

Zjedliśmy lunch. Richard spytał, kiedy pojedziemy do domu.

— Masz ochotę wrócić do domu? Myślałem, że ci się tutaj podoba.

— Nie ma tu co robić.

— Moja matka bardzo by się zasmuciła słysząc, co mówisz.

— Już słyszała. Przyznała mi racje. Powiedziała, że jej tu dobrze, bo nigdy nie lubiła wciąż coś robić.

— Nie możemy wrócić do miasta, póki nie dowiemy się, jak poważnie jest chora. Może wyprawie twoją mamę i ciebie samych do domu.

Na myśl o takiej możliwości serce we mnie rozszerzyło się aż po granice, aż po najdalsze kąty i kamienie graniczne farmy: wkrótce będzie jesień, przezroczyście drzewa, obmyte niebo. Tłum gwiazd na niebie, astrów w ogrodzie, pierwszy szron.

— Sądzę, że potrzebna jest jej stała, zawodowa pielęgniarka.

— Może dałoby się namówić Joan, żeby wzięła na siebie te funkcje. Joan musi sobie poszukać zajęcia. Płaciłbym jej alimenty w formie pensji za opiekę nad matką.

— Czy to ma być dowcip?

— A czy ty wiesz, ile kosztuje zawodowa pielęgniarka?

— Chciałeś zapewne powiedzieć, że dużo mniej niż ja.

— O wiele mniej, ale i tak cholernie dużo.

— Moglibyśmy do niej co dzień wieczorem telefonować o umówionej godzinie, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku — wtrącił się Richard.

— Moglibyśmy zainstalować prywatną stację telewizyjną, żeby za naciśnięciem wyłącznika móc o każdej porze zobaczyć, co się z nią dzieje — odparłem.

— Czytałem gdzieś, że już są takie urządzenia na oddziałach dla niemowląt w szpitalach.

— Przepraszam, znów nie nadażam za postępem techniki.

— Nie dokuczaj Richardowi — powiedziała Peggy. — Jeżeli chcesz wyładować swój zły humor na mnie, proszę bardzo, ale nie na nim.

— O? Myślałem, że w obliczu prawa stanowimy legalną całość. Ty, ja, Richard, dziekan McCabe i kilkudziesięciu innych nie zidentyfikowanych bliżej panów.

Zerwała się, wyciągnęła nad stołem rękę i chciała mnie trzepnąć; chwyciłem w powietrzu za przegub i wykręciłem tak, że musiała usiąść z powrotem. Ale ten pojedynek, odzwierciedlony w szeroko otwartych oczach Richarda, w przewrotny sposób dał jej przewagę. Chociaż przez sekundę ja byłem górą, jej bezbronność zaraz znów mnie pograżyła, osaczyła, przytłoczyła. Trzymając obolałą prawą rękę w lewej, Peggy oznajmiła:

— Powiedzmy to sobie jasno, Joey. Nigdy więcej nie wspominaj mi Joan w ten sposób. Sam wybrałeś. Nie miałam nad tobą żadnej władzy, starałam się być w stosunku do ciebie uczciwa, pozostawiłam ci wolny wybór. Jeżeli masz do powiedzenia coś konkretnego, proszę cię, mów, ale nie drażnij mnie tak, jak w dzieciństwie drażniłeś tamtego psa. Nie pokazuj mi ustawicznie pułapki. Jeżeli muszę się zgodzić na pewne wyrzeczenia, żeby twoja matka miała zapewnioną dobrą opiekę, zrobię wszystko, co



trzeba, ale nie jestem Joan, i wszyscy o tym wiedzieliśmy z góry, nie będę cię więc za to przepraszała.

Próbowałem załagodzić sprzeczkę, bo wiedziałem, że Peggy przypadkiem tylko stała między mną a moją błyskawiczną wizją farmy, farmy do mnie należącej, farmy jesienia, ciepła jej liści, samotności jej pól, łagodnej nieskończoności jej gałęzi.

— Nie pleć głupstw — powiedziałem. — Jesteś cudowna.

Ale nie umiałem połączyć w jednej wizji farmy i Peggy i z niezrozumiałych powodów wydawało mi się to jej winą, ograniczeniem, które znosiłem w całkowitym niemal milczeniu i z urazą aż do wpół do trzeciej, kiedy spieszonym krokiem wszedł doktor Graaf, pachnący antyseptycznym mydłem i kwaszoną kapustą.

Po odjeździe doktora poszliśmy na górę. Peggy i Richard zatrzymali się nieco dalej od łóżka, ja tuż przy nim. Było już po trzeciej i wiedziałem, że niedzielny popołudniowy ruch zaczyna narastać na autostradzie. Matka leżała, wysoko podparta w łóżku, a siwe włosy zdawały się ciemne na tle białej poduszki. Można by pomyśleć, że zeszcupiała; skóra jej przypominała papier, jak bywa u osób dopiero co zbudzonych ze snu, a lekko skrzywione usta układały się w wyraz rozbawienia.

— Co doktor tobie powiedział?

— Że warto by pomyśleć o umieszczeniu cię w szpitalu.

— Na jak długo?

— Dopóki nie zmniejszy się prawdopodobieństwo powtórzenia się ataków.

— Czemuż miałyby się zmniejszyć? Dlaczego nie pozwoli mi umrzeć tutaj, gdzie jest moje miejsce? Tutaj umarli moi rodzice, tutaj umarł mój mąż, ja także chcę tutaj umrzeć. Tyle chyba wolno wymagać od tych trutniów lekarzy. Nie opuszczę mojego kawałka ziemi.

— Nie chodzi o umieranie. Chodzi o twoją wygodę i o poprawę stanu zdrowia.

— Sam dobrze wiesz, jak to jest. — Patrzała mi prosto w twarz, oczy miała bardzo trzeźwe. Te oczy nie żądały już niczego prócz prawdy. Ja mimo trzydziestu pięciu lat czułem się jeszcze za młody, żeby żyć w tym żywiole. Dostosowując się więc do mnie czy też może powracając do dawnego zwyczaju, zaczęła błaznować, przesadzać: — Duch już się we mnie niecierpliwi. Czuję, jak prze do wyjścia.

Dostroiłem się do tego tonu.

— To nie znaczy — powiedziałem — że masz myśleć tylko o sobie. Pomyśl, w jakim świetle mnie byś postawiła. Z pożegnalnego uścisku ręki wnioskuje, że doktor Graaf i tak niezbyt wysoko ocenia moje synowskie cnoty.

— Och! — odparła. — Hofstetterowie nigdy w tych stronach nie cieszyli się najlepszą opinią, za późno teraz starać się o uznanie sąsiadów. Od dawna uchodzimy tutaj za postrzeleńców i łotrów. Twojego ojca lubili, bo pochodził z innego stanu i mogli na niego patrzeć z góry, ale ty i ja... Nam już nic nie pomoże, Joey.

— Proszę cię, żebyś nie kierowała się względami pieniężnymi.

W ten sposób dałem jej do zrozumienia, że zgodzę się na wszystko, co zechce, i że jestem jej wdzięczny za upieranie się przy czymś, czego ja nie mogłem jej zaproponować.

Wzruszyła ramionami z irytacją.

— A czyż można w jakiegokolwiek sprawie pomijać względy pieniężne? To ważny wzgląd. Prawda, Peggy?

Peggy przysunęła się o krok bliżej.

— Może pani wolałaby, żebyśmy tutaj zostali?

— Dziękuję ci, Peggy, ale wolę, żebyście pojechali. Chcę, żebyście wszyscy razem wrócili do Nowego Jorku, gdzie jest wasze miejsce. Spełniliście obowiązek, wszyscy troje, sprawiliście starej kobiecie wiele radości, a nie wasza wina, że jej arterie nie mogą już znieść nadmiaru szczęścia.

— Ale jakże zostawimy panią samą, bezradną, w łóżku? — spytała Peggy.



— A kto mówi, że jestem bezradna? Jak będzie trzeba, to wstanę. Schoelkopfowie uważają na mój komin, jeśli nie zobaczą dymu, przyjadą. Psy będą czekały. Zresztą mamy przysłowie, że tak człowiek śpi, jak sobie pościelił. — Pogłaskała kołdrę. — Mało jest kobiet, które mogą się pochwalić, że tak jak ja same sobie pościeliły.

Zaśmiała się z cicha i był w tym śmiechu ton próżności, która musiała ją cechować za młodu i która stwardniała już w dumę w epoce, gdy poznałem moją matkę.

Spojrzała na Richarda.

— Przyjedziesz tutaj znowu, Richard?

Skinał głową bez uśmiechu, jego brązowe oczy były zafascynowane, zakłopotane i błyszczące.

— Następnym razem postaram się nie wbijać klinów między ciebie a twoją mamę, przyrzekam. To była złośliwość starej czarownicy.

— Poczekamy do zmierzchu — powiedziałem nagle, prawie krzyknąłem, bo napięte nerwy ciągnęły mnie z powrotem do wielkiego miasta, gdzie byłbym daleko od tej choroby, od tej poziomej postawy rezygnacji.

Kanciasta ręka mojej matki, ręka o krótkich palcach, spracowana jak ręka mężczyzny, odrzuciła nieodwołalnie tę ofiarę.

— Nie kłopotz się o skoszenie pól, Joey. Sammy któregoś dnia dokończy tę robotę. Zrobięś Iwią część. — Odwróciła głowę ku Peggy. — To dobry chłopak, zawsze mnie kusilo, żeby go przemęczać pracą.

— Tak, to dobry chłopak. — I powtarzając te słowa matki, Peggy uśmiechnęła się spontanicznie, tak samo jak w moim śnie i tak samo jak przy pierwszym naszym spotkaniu na pewnym przyjęciu, w mieszkaniu, gdzie rozwieszona na ścianach duże abstrakcyjne obrazy wyglądały jak okna, przez które widać dokonującą się całopalną ofiarę. Czułem się tam zagubiony, bezczynny, nikt nie pytał mnie o zdanie, całe moje życie zdawało się wytracone z właściwego toru. Peggy stała rozmawiając z Joan; kiedy zbliżyłem się, obie, Joan w niebieskiej sukni, a Peggy w żółtej, zwróciły twarze w moją stronę, a gdy Joan powiedziała: "To mój mąż" — Peggy męskim gestem podała mi rękę i uśmiechnęła się nieoczekiwanie szeroko, jakby z niedowierzaniem.

— Co za uśmiech — powiedziała matka. — Peggy, następnym razem, jak tutaj przyjedziesz, jeśli się na to zdobędziesz i jeśli oczywiście będę jeszcze żyła, musisz zrobić u fotografa zdjęcie, chce mieć twoją fotografię.

Nowy Jork, miasto, które jest zawsze swoją własną fotografią, żywą pamiątką moich dziecięcych marzeń o ucieczce, wzywało mnie, ciągnęło stąd, do samochodu, na drogę, szosą do autostrady. Wstydzilem się tego pragnienia, a mimo to utwierdzałem się w nim. Matka raz jeszcze zwróciła się do mnie. Oczy jej odmłodziły we łzach i była w nich teraz prośba.

— Joey — powiedziała. — Jak będziesz sprzedawał moją farmę, nie oddaj jej tanio. Zażądaj uczciwej ceny.

Ustalaliśmy warunki, konieczna była ostrożność. Musiałem odpowiedzieć w naszym dawnym języku, w naszym jedynym języku, aluzyjnym i przekornym, który z konspiratorskim taktem do niczego nie zobowiązywał i pozostawiał przeszłość pozornie nie-
tkniętą.

— Twoją farmę? — powiedziałem. — Zawsze o niej myślałem jako o naszej farmie.

DTP by SHADE

